NOWOŚĆ
2022
RIZZOLI
I ISLES
TESS
GERRITSEN
NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH
WYSŁUCHAJ
MNIE
Wielki powrót duetu śledczego
Jane Rizzoli i Maura Isles!
ALBATROS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Mieszkańcy opuszczonej przez ludzi osady Królestwo Boże, ukrytej w przysypanej śniegiem dolinie, rozpłynęli się w powietrzu, porzucając dwanaście identycznych domostw. Doktor Maura Isles, która podczas konferencji patologów sądowych w Wyoming wybiera się ze znajomymi na wycieczkę w góry, trafia tam przypadkiem, kiedy ich samochód utyka w zaspie śnieżnej. Całkowicie odcięci od świata z powodu śnieżycy i braku zasięgu komórek, ani nie mogą się stamtąd wydostać, ani nikogo zawiadomić o swoim losie. A wiedzą, że w osadzie wydarzyło się coś przerażającego i nie są w niej bezpieczni.

Kiedy po kilku dniach w Wyoming zostaje odnaleziony samochód ze spalonymi ciałami, tamtejsza policja uważa, że są wśród nich szczątki Maury Isles. Tylko detektyw Jane Rizzoli nie wierzy w śmierć przyjaciółki i rozpoczyna własne śledztwo.

# TESS GERRISTEN

# WYSŁUCHAJ MNIE

Z angielskiego przełożył
Jerzy Żebrowski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

TESS GERRITSEN

Amerykańska pisarka, z zawodu lekarka internistka. Po studiach praktykowała w Honolulu na Hawajach. W 1987 r. opublikowała pierwszą powieść, ale jej kariera pisarska nabrała rozpędu w 1996 r., gdy ukazał się jej pierwszy thriller medyczny **Dawca** (prawa filmowe zakupił Paramount). Dzięki odniesionemu sukcesowi mogła zrezygnować z praktyki lekarskiej. W kolejnych latach ukazały się m.in.: **Nosiciel**, **Grawitacja** (milion dolarów za prawa filmowe!), **Grzesznik**, **Sobowtór**, **Autopsja**, **Klub Mefista**, **Ogród kości**, **Mumia**, **Dolina umarłych**, **Milcząca dziewczyna**, **Umrzeć po raz drugi**, **Igrając z ogniem**, **Kształt nocy** i **Studentka** (napisana wspólnie z Garym Braverem).

Stephen King uznał ją za najciekawszą autorkę thrillerów medycznych – „Lepszą od Cooka, Palmera, a nawet Michaela Crichtona".

Łączny nakład jej książek zbliża się do 30 milionów egzemplarzy, a przekłady publikowane są w 30 językach i regularnie pojawiają się na listach bestsellerów w USA i Europie.

Na podstawie jej powieści powstał serial telewizyjny **Partnerki** z kobiecym duetem śledczym – Rizzoli & Isles.

www.tessgerritsen.com

*Tej autorki*

DAWCA

CIAŁO

INFEKCJA

NOSICIEL

GRAWITACJA

OGRÓD KOŚCI

IGRAJĄC Z OGNIEM

KSZTAŁT NOCY

STUDENTKA

(wspólnie z Garym Braverem)

**Jane Rizzoli & Maura Isles**

CHIRURG

SKALPEL

GRZESZNIK

SOBOWTÓR

AUTOPSJA

KLUB MEFISTA

MUMIA

DOLINA UMARŁYCH

MILCZĄCA DZIEWCZYNA

OSTATNI, KTÓRY UMRZE

UMRZEĆ PO RAZ DRUGI

SEKRET, KTÓREGO NIE ZDRADZĘ

WYSŁUCHAJ MNIE

Tytuł oryginału:
LISTEN TO ME

Copyright © Tess Gerritsen 2022
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022
Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2022

Redakcja: Joanna Kumaszewska
Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka
Zdjęcie na okładce: © Andrey Armyagov/Shutterstock
ISBN 978-83-6751-258-9

*Wydawca*
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu elektronicznego

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczyk

# Spis treści

Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Podziękowania

*Dla Josha i Laury*

# Rozdział pierwszy

## Amy

Powinnam była założyć botki, pomyślała, wychodząc z Biblioteki Snella i widząc świeżą warstwę zmieszanego z błotem śniegu pokrywającego kampus. Kiedy rano szła na uczelnię, kolejny już wiosenny dzień z przyjemną temperaturą około dziesięciu stopni pozwalał jej wierzyć, że nastał wreszcie koniec zimy, włożyła więc dżinsy, bluzę z kapturem i nowe różowe buty z delikatnej skóry, na płaskich obcasach. Ale podczas gdy ona cały dzień pracowała w bibliotece na laptopie, na zewnątrz powróciła sroga zima. Teraz zrobiło się ciemno, a przy szalejącym na dziedzińcu przenikliwym wietrze chodnik miał się wkrótce zamienić w lodowisko.

Westchnęła ciężko, zapięła bluzę i założyła na ramiona ciężki plecak z książkami i laptopem. Nie ma rady. Trzeba iść. Zeszła ostrożnie po schodach biblioteki i wylądowała po kostki w błocie. Czując, jak pieką ją przemoczone stopy, brnęła alejką między budynkami Haydn Hall i Blackman Auditorium. No cóż, zmarnowała nowe buty. Co za głupota! Pokarało ją, że nie sprawdziła rano prognozy pogody. Że zapomniała, że marzec w Bostonie może złamać dziewczynie serce.

Gdy dotarła do Eli Hall, nagle przystanęła i odwróciła się. Czyżby słyszała za sobą czyjeś kroki? Przez chwilę wpatrywała się w alejkę między dwoma budynkami, ale zobaczyła jedynie puste przejście lśniące w świetle latarni. Kampus opustoszał z powodu ciemności i złej pogody i nie słyszała już żadnych kroków, tylko bębnienie deszczu ze śniegiem i odległy szum samochodów jadących po Huntington Avenue.

Otuliła się szczelniej bluzą i ruszyła dalej.

Dziedziniec kampusu pokrywała śliska, lśniąca skorupa lodu. Fatalnie niedopasowane do pogody buty zapadały się z chrzęstem w zamarzające kałuże, opryskując dżinsy lodowatą wodą. Nie czuła już palców u nóg. Wszystkiemu winien był profesor Harthoorn. To przez niego spędziła cały dzień w bibliotece i nie dotarła jeszcze do domu, by zjeść kolację z rodzicami. Czuła, że nieuchronnie odmrozi sobie teraz palce u stóp, tylko dlatego, że w jej pracy dyplomowej – trzydziestodwustronicowym tekście, nad którym pracowała od miesięcy – widać było jego zdaniem „brak kompetencji". Była, jak twierdził, „niewyczerpująca", ponieważ nie uwzględniła kluczowego wydarzenia w życiu Artemisii Gentileschi, życiowej traumy, która przepoiła jej malarstwo tak potężną siłą i ekspresją – tego, że została zgwałcona.

Jakby kobiety były bezkształtnymi bryłami gliny, które muszą zostać zgniecione i sponiewierane, by stały się wartościowe. Jakby Gentileschi musiała paść ofiarą staromodnej napaści seksualnej, by zostać artystką.

Idąc przez dziedziniec i rozchlapując breję, czuła coraz większą złość na uwagi Harthoorna. Co taki zasuszony starzec jak on mógł wiedzieć o kobietach i wszystkich dokuczliwych i irytujących problemach, które muszą znosić? O tych pomocnych radach udzielanych im przez mężczyzn tonem głosu, który mówi: „Ja wiem lepiej!"?

Dotarła do przejścia dla pieszych i stanęła, bo zapaliło się akurat czerwone światło. Oczywiście, że musiało być czerwone. Nic jej się dzisiaj nie udawało. Samochody przejeżdżały obok, rozchlapując wodę. Śnieg z deszczem bębnił o jej plecak. Zastanawiała się, czy nie zmoknie jej laptop i czy nie zmarnuje w ten sposób całej popołudniowej pracy. Tak, to byłoby idealne zwieńczenie tego dnia. Zasłużone, bo nie sprawdziła prognozy pogody. Nie zabrała parasola. Włożyła te idiotyczne buty.

Czerwone światło nadal się paliło. Czyżby się zepsuło? Może powinna je zignorować i przebiec przez ulicę?

Była tak skoncentrowana na sygnalizacji, że nie zauważyła stojącego za nią mężczyzny. Nagle zwrócił czymś jej uwagę. Może usłyszała szelest jego nylonowej kurtki albo poczuła zapach alkoholu w jego oddechu. Natychmiast uświadomiła sobie jego obecność i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Mężczyzna miał podbródek osłonięty szalikiem i czapkę naciągniętą aż na brwi. Był tak okutany z powodu zimna, że widziała właściwie tylko jego oczy. Nie unikał jej wzroku; spojrzał jej prosto w oczy tak przenikliwie, że poczuła się zniewolona, jakby zgłębiał jej największe tajemnice. Nie zbliżył się do niej, ale to spojrzenie wystarczyło, by poczuła się nieswojo.

Zerknęła na drugą stronę Huntington Avenue, na znajdujące się tam lokale. Meksykańska knajpka była otwarta, jasno oświetlona i wewnątrz widziała kilku klientów. Bezpieczne miejsce; w razie potrzeby mogła zwrócić się tam do kogoś o pomoc. Mogła tam wpaść, żeby się rozgrzać, a potem wezwać ubera, żeby zabrał ją do domu.

Światło w końcu zmieniło się na zielone. Zeszła zbyt szybko z krawężnika i podeszwa jej skórzanego buta poślizgnęła się na lodowatej nawierzchni. Machając rękami, starała się utrzymać równowagę, ale plecak pociągnął ją do ziemi i wylądowała na tyłku w brei. Przemoczona i wstrząśnięta, próbowała się podźwignąć.

Nie zauważyła reflektorów pędzącego samochodu.

# Rozdział drugi

## Angela

### Dwa miesiące później

*Jeśli coś zauważysz, zgłoś to.* Wszyscy słyszeliśmy tę radę tyle razy, że ilekroć widzimy jakąś podejrzaną paczkę w miejscu, w którym nie powinna się znajdować, albo spostrzegamy, że w okolicy kręci się ktoś obcy, natychmiast zwracamy na to uwagę. Przynajmniej ja, zwłaszcza że moja córka Jane jest policjantką, a mój partner Vince emerytowanym policjantem. Opowiadali koszmarne historie, więc możecie być pewni, że jeśli tylko coś zauważę, nie będę milczeć. Obserwowanie tego, co dzieje się w sąsiedztwie, jest moją drugą naturą.

Mieszkam w miasteczku Revere, które – ściśle mówiąc – nie należy do Bostonu, jest raczej jego uboższym kuzynem w północnej części aglomeracji. Po obu stronach mojej ulicy stoją stłoczone skromne jednorodzinne domki. Frank (który wkrótce będzie moim byłym mężem) nazywał je „domami na start”, gdy wprowadziliśmy się tutaj czterdzieści lat temu, tyle że potem nie przenieśliśmy się do większego. Podobnie jak Agnes Kaminsky, która nadal mieszka obok, lub Glen Druckmeyer, który zmarł w domu naprzeciwko, więc zamieszkanie tutaj raczej nie było dla niego dobrym startem. Z biegiem lat widywałam rodziny, które wprowadzały się, a potem wyprowadzały. Dom po mojej prawej jest znów pusty i na sprzedaż; czeka na następną rodzinę, która go zajmie. Na lewo ode mnie mieszka Agnes. Była moją najlepszą przyjaciółką, dopóki nie zaczęłam spotykać się z Vince’em Korsakiem; oburzyło ją to, bo nie jestem

jeszcze rozwiedziona, więc uznała mnie za rozpustnicę. Mimo że to Frank zostawił mnie dla innej kobiety. Blondynki. Tak naprawdę Agnes miała do mnie pretensje o to, że „świetnie się bawię” po odejściu męża. Że „cieszę się” z pojawienia się w moim życiu nowego mężczyzny i całuję się z nim na podwórku. A co jej zdaniem powinnam robić, gdy porzucił mnie mąż? Włożyć żałobną suknię i skrzyżować nogi, by mi tam całkiem zarosło? Prawie już ze sobą nie rozmawiamy, ale nie musimy. Dobrze wiem, czym zajmuje się Agnes. Tym co zawsze: pali swoje virginia slims, ogląda kablówkę i rozgotowuje warzywa.

Ale nie mnie ją oceniać.

Po drugiej stronie ulicy na rogu stoi niebieski dom Larry’ego i Lorelei Leopoldów, którzy mieszkają tu od jakichś dwudziestu lat. Larry uczy angielskiego w miejscowym liceum i choć nie mogę powiedzieć, że jesteśmy blisko, gramy w każdy czwartkowy wieczór w scrabble’a, znam więc dobrze zakres jego słownictwa. Dom obok Leopoldów, w którym zmarł Glen Druckmeyer, jest zwykle wynajmowany. A w następnym, dokładnie naprzeciwko mnie, mieszka Jonas, sześćdziesięciodwuletni kawaler, dawny komandos z Navy SEALs; wprowadził się sześć lat temu. Lorelei zaczęła go ostatnio zapraszać do mnie na scrabble’a, o czym właściwie nie powinna sama decydować, ale okazał się doskonałym nabytkiem. Przynosi zawsze butelkę caberneta Ecco Domani, ma bogate słownictwo i nie próbuje przemycać niedozwolonych obcych wyrazów. Scrabble to w końcu amerykańska gra. Muszę przyznać, że Jonas jest przystojny. Niestety, wie o tym i lubi kosić trawnik przed domem bez koszuli, wyprężając tors i napinając mięśnie. Oczywiście nie mogę się oprzeć pokusie przyglądania się mu, a on zdaje sobie z tego sprawę. Gdy widzi mnie w oknie, macha w moją stronę, więc Agnes Kaminsky uważa, że coś nas łączy, co nie jest prawdą. Przyjaźnię się po prostu ze wszystkimi

sąsiadami i jeśli wprowadzają się na naszą ulicę nowi lokatorzy, zawsze zjawiam się pierwsza u ich drzwi, z uśmiechem i chlebem z cukinią. Ludzie to doceniają. Zapraszają mnie do swoich domów, przedstawiają dzieci, mówią, skąd pochodzą i czym się zajmują. Proszą, żebym poleciła im hydraulika albo dentystę. Wymieniamy się telefonami i obiecujemy, że wkrótce się spotkamy. Zawsze tak było ze wszystkimi sąsiadami.

Dopóki nie zjawili się Greenowie.

Wynajmują żółty dom pod numerem 2533, ten, w którym zmarł Glen Druckmeyer. Stał pusty przez rok i cieszę się, że ktoś w końcu go zajmuje. Niedobrze jest, jeśli domy są zbyt długo niezamieszkane – to świadczy o nieatrakcyjności całej ulicy.

Kiedy widzę, że podjeżdża wóz przeprowadzkowy z wypożyczalni U-Haul z rzeczami Greenów, wyciągam od razu z zamrażarki bochenek mojego słynnego chleba z cukinią. Gdy się rozmraża, stoję na ganku, próbując rzucić okiem na nowych sąsiadów. Widzę najpierw mężczyznę, który wysiada zza kierownicy: to wysoki, muskularny blondyn. Nie uśmiecha się. To pierwszy szczegół, który mnie uderza. Czy nie powinieneś się uśmiechać, kiedy docierasz do swojego nowego domu? On tymczasem obserwuje chłodno okolicę, obracając głowę i kryjąc oczy za okularami lustrzankami.

Macham do niego na powitanie, ale nie od razu mi odpowiada. Przez chwilę mi się przygląda. W końcu mechanicznie unosi rękę, jakby chip w jego skomputeryzowanym umyśle przeanalizował sytuację i uznał, że należy odwzajemnić pozdrowienie.

No cóż, myślę, może jego żona okaże się przyjaźniejsza.

Wysiada z furgonetki od strony pasażera. Ubrana w dżinsy smukła platynowa blondynka po trzydziestce. Ona również rozgląda się po ulicy,

ale strzela oczami na boki jak wiewiórka. Macham do niej i odpowiada mi zdawkowo.

Nie potrzebuję dodatkowej zachęty. Przechodzę przez ulicę i mówię:

– Witam jako pierwsza nowych sąsiadów!

– Miło panią poznać – odpowiada. Zerka na męża, jakby czekała na jego pozwolenie, czy może powiedzieć coś więcej. Wyczuwam między nimi jakieś napięcie. Najwyraźniej nie są zgodną parą. Przypominam sobie natychmiast, ile rzeczy może nie wyjść w małżeństwie. Coś o tym wiem.

– Jestem Angela Rizzoli – przedstawiam się. – A państwo?

– Ja… hm… mam na imię Carrie. A to Matt – duka kobieta, jakby musiała się zastanowić nad każdym słowem.

– Mieszkam przy tej ulicy od czterdziestu lat, więc jeśli potrzebują państwo jakichś informacji, wiecie, kogo pytać.

– Proszę opowiedzieć nam coś o sąsiadach – odzywa się Matt. Spogląda na numer 2535, niebieski dom obok tego, w którym mają zamieszkać. – Jacy oni są?

– Och, to państwo Leopoldowie. Larry i Lorelei. Larry uczy angielskiego w państwowym liceum, a Lorelei jest gospodynią domową. Widzi pan, jak ładnie utrzymują podwórko? Larry dba o nie, nigdy nie pozwala, żeby w ogrodzie pojawiły się chwasty. Nie mają dzieci, więc są miłymi, spokojnymi sąsiadami. Z drugiej strony mieszka Jonas. To emerytowany komandos i… mój Boże… ma o czym opowiadać. A dom naprzeciwko, tuż obok mojego, zajmuje Agnes Kaminsky. Jej mąż zmarł przed laty i pozostała samotna. Chyba jej z tym dobrze. Byłyśmy przyjaciółkami, dopóki mój mąż… – Uświadamiam sobie, że za dużo mówię, i milknę. Nie muszą wiedzieć, o co posprzeczałam się z Agnes. Z pewnością usłyszą o tym od niej. – Mają państwo dzieci? – pytam.

To proste pytanie, lecz Carrie spogląda znów na męża, jakby potrzebowała jego zgody na odpowiedź.

– Nie – rzuca w końcu. – Jeszcze nie.

– Więc nie potrzebujecie opiekunki do dziecka. Zresztą coraz trudniej je znaleźć. – Zwracam się do Carrie: – Rozmraża mi się w kuchni bochenek pysznego chleba z cukinią, z którego… muszę przyznać… słynę w całej okolicy. Zaraz go przyniosę.

Mężczyzna odpowiada za nich oboje:

– To miłe, ale dziękujemy. Mamy alergię.

– Na cukinię?

– Na gluten. Nie jadamy pszenicy. – Kładzie dłoń na ramieniu żony i popycha ją w kierunku domu. – Hm… musimy się rozpakować. Do zobaczenia. – Wchodzą do środka i zamykają drzwi.

Patrzę na furgonetkę, której jeszcze nawet nie otworzyli. Czy każda inna para nie chciałaby najpierw wnieść rzeczy do domu? Pierwsze, co bym zrobiła, to wypakowanie ekspresu do kawy i czajnika. Ale nie, Carrie i Matt Greenowie zostawili wszystko w furgonetce.

Przez całe popołudnie stoi zaparkowana na ulicy i zamknięta na głucho.

Dopiero po zmierzchu słyszę brzęk metalu i kiedy wyglądam na ulicę, widzę sylwetkę Matta stojącego z tyłu samochodu. Wchodzi do środka i chwilę później ciągnie po rampie wypakowany pudłami wózek. Dlaczego czekał do zmroku, żeby rozładować wóz? Czego nie chce pokazać sąsiadom? W furgonetce nie może być wiele ich rzeczy, bo kończy pracę w dziesięć minut. Zamyka pojazd i wraca do domu. Palą się w nim światła, ale nic nie widzę, bo zaciągnęli żaluzje.

Mieszkając czterdzieści lat na tej ulicy, miałam za sąsiadów alkoholików, cudzołożników i damskiego boksera. Może nawet dwóch. Nigdy jednak nie spotkałam tak nieprzystępnej pary jak Carrie i Matt

Greenowie. Może byłam zbyt wścibska. Może mają problemy małżeńskie i unikają kontaktów z dociekliwą sąsiadką. Może to całkowicie moja wina, że nie przypadliśmy sobie do gustu.

Muszę dać im trochę czasu.

Ale następnego dnia i przez dwa kolejne przyglądam się domowi pod numerem 2533. Widzę, jak Larry Leopold wychodzi do pracy w szkole. Widzę, jak Jonas, bez koszuli, kosi trawnik. Widzę, jak moja nemezis Agnes wydmuchuje dym z papierosa, z demonstracyjną dezaprobatą przechodząc dwa razy dziennie przed moim domem.

A Greenowie? Mijają mnie jak duchy. Udaje mi się tylko dostrzec przez chwilę Matta za kierownicą czarnej toyoty, gdy wjeżdża do garażu. Podglądam, jak wiesza żaluzje w oknach na piętrze. Widzę, jak kurier dostarcza paczkę do ich domu, i dowiaduję się od niego, że została nadana z firmy BH Photo w Nowym Jorku (nigdy nie zaszkodzi wiedzieć, że kurier z FedExu dostarczający do nas przesyłki uwielbia chleb z cukinią). Nie widzę tylko, by ci ludzie gdziekolwiek pracowali. Prowadzą nieregularne życie, wchodzą i wychodzą o różnych porach, jakby byli już na emeryturze. Pytam o nich Leopoldów i Jonasa, ale nie wiedzą więcej niż ja. Greenowie są zagadką dla nas wszystkich.

Wyjaśniłam to wszystko przez telefon mojej córce Jane, która – wydawać by się mogło – powinna być równie ciekawa tej sprawy jak ja. Uważa jednak, że to nie przestępstwo, jeśli ktoś chce trzymać się z daleka od wścibskich sąsiadów. Jest dumna ze swojego instynktu policjantki, dumna z tego, że potrafi wyczuć, gdy coś jest nie w porządku, ale nie ma szacunku dla intuicji matki. Kiedy dzwonię do niej po raz trzeci w sprawie Greenów, traci w końcu cierpliwość.

– Zadzwoń do mnie, jak naprawdę coś się wydarzy – mówi opryskliwie.

Tydzień później znika szesnastoletnia Tricia Talley.

# Rozdział trzeci

## Jane

Obok różowego zamku unosiły się bąbelki powietrza, poruszając gąszczem plastikowych wodorostów, wśród których stała pełna kosztowności skrzynia piratów. Rusałka o kręconych rudych włosach leżała wsparta na łożu z muszli, w otoczeniu tłumu adorujących ją skorupiaków. Tylko jeden mieszkaniec tej podwodnej Krainy Czarów był żywy i w tym momencie wpatrywał się w detektyw Jane Rizzoli przez zaplamione krwią szkło.

– Dość wymyślne akwarium jak dla jednej złotej rybki – stwierdziła Rizzoli. – Chyba ma tu całą obsadę filmu *Mała syrenka*. I to wszystko dla rybki, którą za rok spuszczą z wodą w toalecie.

– Niekoniecznie. To welonka – zauważyła doktor Maura Isles. – Teoretycznie może żyć dziesięć, dwadzieścia lat. Rekordzistka przeżyła czterdzieści trzy.

Zaglądając przez szybę, Rizzoli widziała mgliście Maurę, która przykucnęła po drugiej stronie akwarium i badała zwłoki pięćdziesięciodwuletniej Sofii Suarez. Choć było sobotnie przedpołudnie i dochodziła jedenasta, Maura wyglądała dystyngowanie elegancko, co Rizzoli nigdy się nie udawało. Nie chodziło tylko o idealnie dopasowane spodnie i żakiet czy przycięte równo czarne włosy. Nie, to było coś w Maurze. Ta kobieta o karminowych ustach, wykorzystująca swój intelekt jako tarczę, onieśmielała większość detektywów z wydziału bostońskiej policji. Jej intelekt był teraz całkowicie pochłonięty odczytywaniem języka śmierci z ran i plam krwi.

– Naprawdę? Złota rybka może przeżyć czterdzieści trzy lata? – nie mogła uwierzyć Rizzoli.

– Sprawdź to.

– Po co ci taka bezużyteczna informacja?

– Żadna informacja nie jest bezużyteczna. To klucz czekający na zamek, do którego będzie pasować.

– Dobrze, sprawdzę. Bo każda rybka, którą miałam, zdychała w ciągu roku.

– Bez komentarza.

Rizzoli wyprostowała się i rozejrzała ponownie po skromnym domu kobiety, która tam żyła i zginęła. Kim byłaś, Sofio Suarez? Próbowała to odgadnąć, odczytując wskazówki z książek na półkach, z pilotów ułożonych starannie na stoliku. Pedantyczna kobieta, która lubiła szydełkować, sądząc po czasopismach leżących na stole. Regał był wypełniony poradnikami dla pielęgniarek i romansami, kolekcją książek kobiety, która obcowała w pracy ze śmiercią, ale nadal chciała wierzyć w miłość. W kącie, na stoliku ozdobionym jasnymi plastikowymi kwiatami, stała w ramce fotografia uśmiechniętego mężczyzny o roziskrzonych oczach i z efektowną grzywą czarnych włosów. Mężczyzny, którego tajemniczą obecność wyczuwało się nadal w każdym pomieszczeniu tego domu.

Nad „ołtarzykiem” ku czci zmarłego wisiało ślubne zdjęcie młodej Sofii i jej męża, Tony’ego. W dniu, kiedy się pobrali, ich twarze rozświetlała radość. Tego dnia musieli wierzyć, że czeka ich wiele szczęśliwych lat i że wspólnie się zestarzeją. Ale w zeszłym roku śmierć zabrała jej męża.

A minionej nocy zabójca przyszedł po żonę.

Rizzoli podeszła do frontowych drzwi, gdzie na podłodze leżał spryskany krwią zwinięty stetoskop.

*Tutaj zaatakował.*

Czy zabójca czekał już na nią, gdy weszła wieczorem do domu? Czy był zaskoczony, gdy usłyszał klucz w zamku, i spanikował, bo zdał sobie sprawę, że za chwilę go zdemaskuje?

*Pierwszy cios jej nie zabija. Nadal żyje. Jest przytomna.*

Podążyła za śladami krwi rozmazanymi na podłodze, znaczącymi rozpaczliwe próby ofiary, by uciec napastnikowi. Prowadziły od frontowych drzwi przez salon, obok bulgoczącego cicho akwarium.

I tu wszystko się kończy, pomyślała, spoglądając na ciało.

Sofia Suarez leżała na boku na posadzce, z podkurczonymi nogami, jak niemowlę w łonie matki. Miała na sobie niebieski uniform pielęgniarki z przypiętym szpitalnym identyfikatorem: *Pielęgniarka dyplomowana S. Suarez*. Jej zmiażdżoną czaszkę otaczała kałuża krwi, a zniekształcona twarz była nie do rozpoznania. Nie przypominała kobiety, która promieniała tak radośnie na ślubnej fotografii.

– Widzę tutaj, na tym odprysku, odcisk buta – odezwała się Maura. – A tam pozostał ślad podeszwy.

Rizzoli przykucnęła, by przyjrzeć się odciskom.

– Wygląda na męski but. Rozmiar czterdzieści jeden, czterdzieści dwa? – Odwróciła się do drzwi. – Jej stetoskop leży przy wejściu. Zostaje zaatakowana, gdy tylko wchodzi. Doczołguje się do tego miejsca. Zwija się w kłębek, może próbując się bronić, osłonić głowę. I wtedy on znów ją uderza.

– Znaleźliście broń?

– Nie. Czego powinniśmy szukać?

Maura uklęknęła obok ciała i dłonią w rękawiczce rozsunęła ostrożnie włosy kobiety, żeby odsłonić skórę głowy.

– Te rany mają wyraźne kształty. Są okrągłe. Chyba trzeba szukać młotka z płaską główką.

– Nie znaleźliśmy żadnego. Ani ze śladami krwi, ani bez.

Z sypialni na tyłach domu wyłonił się Barry Frost, partner Rizzoli. Jego blada zwykle twarz miała niepokojący odcień szkarłatu, co było skutkiem wczorajszej wyprawy na plażę bez nakrycia głowy. Rizzoli skrzywiła się, gdy tylko na niego spojrzała.

– Nie znalazłem jej torebki ani telefonu komórkowego – oznajmił. – Ale znalazłem to. Było podłączone do gniazdka w sypialni. – Uniósł kabel ładowarki. – Chyba od laptopa Apple’a.

– Gdzie jest ten laptop? – spytała.

– Tu go nie ma.

– Jesteś pewien?

– Chcesz sama poszukać? – Jak na niego była to wyjątkowo sarkastyczna reakcja, ale może sama się o nią prosiła. Pewnie dokuczała mu ta opalenizna.

Obeszła już dom wcześniej i teraz przeszukiwała go ponownie, szeleszcząc ochraniaczami na buty. Zajrzała do pokoju gościnnego, w którym łóżko było przykryte złożoną bielizną i pościelą. Potem poszła do łazienki, gdzie szafkę pod zlewem wypełniały kremy do twarzy i balsamy obiecujące wieczną młodość, której nigdy nie zapewniały. W apteczce były buteleczki z tabletkami na nadciśnienie i alergię, a także przepisywany na receptę hydrokodon, którego data ważności upłynęła przed sześcioma miesiącami. W łazience najwyraźniej niczego nie ruszono, co zmartwiło Rizzoli. Zazwyczaj apteczka jest jednym z pierwszych miejsc, które interesują włamywacza, a hydrokodon był łakomym kąskiem.

Rizzoli przeszła do głównej sypialni i zobaczyła na toaletce kolejne oprawione zdjęcie Sofii i jej męża w szczęśliwszych czasach. Gdy oboje

żyli. Stali obok siebie na plaży; lata, które minęły od ślubu, dodały im zmarszczek i kilogramów. Mieli szersze talie i głębsze bruzdy w kącikach oczu. Otworzyła szafę i zobaczyła, że oprócz rzeczy Sofii wiszą tam nadal marynarki i spodnie Tony'ego. Jakie to musiało być bolesne, gdy otwierając ją co rano, widziała ubrania zmarłego męża. A może czuła ulgę, mogąc dotknąć rzeczy, które nosił, wdychać jego zapach?

Zamknęła drzwi szafy. Frost się nie mylił: jeśli Sofia miała laptop, nie było go w tym domu.

Poszła do kuchni. Na blacie leżała mąka kukurydziana i plastikowe torebki z suszonymi liśćmi kukurydzy. Poza tym w kuchni panował porządek, wszystko lśniło czystością. Sofia była pielęgniarką. Może miała we krwi dbałość o zmywanie i dezynfekowanie powierzchni. Rizzoli otworzyła szafkę i zobaczyła półki zastawione nieznanymi jej przyprawami i sosami. Wyobraziła sobie, jak Sofia pcha wózek z zakupami między regałami w supermarkecie, planując posiłki, które dla siebie przyrządzi. Mieszkała sama i zapewne jadała też samotnie, a zważywszy na zapas przeróżnych przypraw, pewnie lubiła gotować. To był jeszcze jeden element zagadki, jaką stanowiła Sofia Suarez, kobieta, która uwielbiała gotowanie i szydełkowanie. Kobieta, która tak bardzo tęskniła za zmarłym mężem, że trzymała w szafie jego rzeczy, a w salonie ustawiła ołtarzyk ku jego czci. Kobieta, która kochała romantyczne powieści i swoją złotą rybkę. Kobieta, która mieszkała samotnie, ale z pewnością nie była sama, gdy zginęła. Ktoś stał nad nią z narzędziem zbrodni. Ktoś był świadkiem jej ostatniego tchnienia.

Rizzoli spojrzała na potłuczone szkło z rozbitej szyby w kuchennych drzwiach, przez które wszedł zabójca – sięgnął ręką do środka i odsunął rygiel. Na żwirowanym podwórku stał jeden pusty kubeł i rosło kilka chwastów. Dostrzegła tam także odpryski szkła, ale żadnych śladów butów.

Furtka miała prostą zasuwę, którą dało się łatwo otworzyć od zewnątrz. Nie było żadnych kamer ani systemu alarmowego. Sofia musiała czuć się bezpiecznie w tej okolicy.

Komórka Rizzoli rozbrzmiała przenikliwym dźwiękiem skrzypiec. Był to motyw z filmu *Psychoza*. Poczuła napięcie – nie bez powodu. Nie patrząc, kto dzwoni, wyciszyła telefon i weszła z powrotem do domu.

Pielęgniarka. Kto, do cholery, zabija pielęgniarkę?

– Nie odbierzesz? – spytała Maura, gdy jej przyjaciółka wróciła do jadalni.

– Nie.

– Ale dzwoni twoja matka.

– Właśnie dlatego nie odbiorę. – Rizzoli zobaczyła, że Maura unosi brwi. – Dzwoni już trzeci raz. Wiem, co mi powie: „Co z ciebie za policjantka? Nie obchodzi cię porwanie?”.

– Kogoś porwano?

– Nie. Zniknęła jakaś dziewczyna z sąsiedztwa. Nie pierwszy raz ucieka z domu.

– Jesteś pewna, że tylko o to chodzi?

– Rozmawiałam już z policją w Revere, zajmują się tym. Nie powinnam się wtrącać. – Rizzoli spojrzała ponownie na zwłoki. – Mam dość spraw na głowie.

– Detektyw Rizzoli?! – zawołał ktoś.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach policjanta.

– Tak?

– Przyjechała właśnie wnuczka sąsiadki. Jest gotowa tłumaczyć, jeśli zechce pani podejść do domu obok.

Rizzoli wyszła z Frostem na zewnątrz, gdzie słońce świeciło tak jasno, że przystanęła na chwilę i zmrużyła oczy, patrząc na przyglądających się im widzów. Na chodniku stało kilkanaścioro okolicznych mieszkańców, zwabionych widokiem zaparkowanych na ich ulicy radiowozów. Gdy podjechała furgonetka ekipy od badania miejsc zbrodni i stanęła na końcu szeregu, siwowłose kobiety pokręciły głowami i z przerażeniem zasłoniły dłońmi usta. Nie było tu atmosfery cyrkowego widowiska, z jaką Rizzoli tak często stykała się w Bostonie, gdzie miejsca zbrodni dostarczały ludziom rozrywki. Śmierć Sofii najwyraźniej poruszyła tych, którzy ją znali, więc przyglądali się w ponurym milczeniu, gdy dwoje detektywów szło do sąsiedniego domu.

Frontowe drzwi otworzyła młoda Azjatka w prążkowanych spodniach i odprasowanej białej bluzce. Był to dziwnie oficjalny strój jak na sobotni poranek.

– Nie doszła jeszcze do siebie, ale chce z panią porozmawiać – powiedziała.

– Jest pani jej wnuczką? – spytała Rizzoli.

– Tak. Lena Leong. To ja zawiadomiłam policję. Babcia zadzwoniła najpierw do mnie. Wpadła w panikę. Prosiła, żebym zatelefonowała na policję, bo słabo mówi po angielsku. Zjawiłabym się tu wcześniej, żeby tłumaczyć, ale musiałam spotkać się w mieście z klientem.

– W sobotę rano?

– Niektórzy z moich klientów nie mogą przyjść innego dnia. Jestem prawniczką imigracyjną i reprezentuję wielu pracowników restauracji. Mają wolne tylko w soboty rano. Trzeba robić to, co konieczne. – Lena zaprosiła ich gestem do środka. – Babcia jest w kuchni.

Rizzoli i Frost przeszli przez salon, gdzie stała przykryta plastikowym pokrowcem kanapa w szkocką kratę, jakby nieużywana. Stolik zdobiła misa

z owocami wyrzeźbionymi ze szlachetnych kamieni, zielonymi jabłkami z jadeitu i winogronami z różowego kwarcu. Wiecznie lśniące produkty, które nigdy się nie zepsują.

– Ile lat ma pani babcia? – spytał Frost, gdy podążali za Leną do kuchni.

– Siedemdziesiąt dziewięć.

– I nie mówi w ogóle po angielsku?

– Och, rozumie o wiele więcej, niż chce się przyznać, ale wstydzi się mówić. – Młoda kobieta przystanęła w przedpokoju i wskazała fotografię na ścianie. – To babcia, moi rodzice i ja, gdy miałam sześć lat. Rodzice mieszkają w Plymouth i ciągle proszą babcię, żeby się do nich przeprowadziła, ale odmawia. Mieszka w tym domu od czterdziestu pięciu lat i nie zamierza rezygnować z niezależności. – Wzruszyła ramionami. – Jest uparta. Cóż na to poradzić?

Zastali panią Leong w kuchni. Siedziała przy stole, podpierając rękami głowę, z siwymi włosami rozczochranymi jak puszek dmuchawca. Miała przed sobą filiżankę herbaty, z której unosił się zapach jaśminu.

– *Nai nai?* – powiedziała Lena.

Starsza pani podniosła powoli wzrok na gości. Miała oczy zaczerwienione od płaczu. Wskazała na krzesła i wszyscy usiedli. Lena zajęła miejsce obok babci.

– Najpierw, Leno, proszę nam powiedzieć, co usłyszała pani przez telefon – zaczął Frost, wyciągając notes.

– Babcia mówiła, że planowały z Sofią spotkać się dziś rano. Ale gdy poszła do domu obok i wcisnęła dzwonek, nikt nie otworzył. Drzwi nie były zamknięte, więc weszła do środka. Zobaczyła krew. A potem Sofię.

– O której to było?

Lena spytała babcię i ta odpowiedziała po mandaryńsku potokiem słów, które z pewnością znaczyły o wiele więcej niż tylko określenie godziny.

– Tuż przed ósmą rano – wyjaśniła Lena. – Zamierzały robić razem tamales. Zwykle robią to w styczniu, ale po niedawnej śmierci męża Sofia była jeszcze zbyt wstrząśnięta.

– Chodzi o pana Suareza? – spytała Rizzoli. – Jak umarł?

– To był udar krwotoczny. Operowali go, ale już się nie obudził. Był trzy tygodnie w śpiączce, zanim zmarł. – Lena pokręciła głową. – Taki miły człowiek, taki dobry dla mojej babci… Właściwie dla wszystkich. Chodząc na spacery po okolicy, trzymali się z Sofią za ręce. Jak nowożeńcy.

Frost podniósł wzrok znad notesu, w którym coś zapisywał.

– Powiedziała pani, że pani babcia i Sofia zamierzały robić dziś rano tamales. Jak się porozumiewały?

Młoda kobieta uniosła brwi.

– Słucham?

– Pani babcia nie mówi po angielsku. A zakładam, że Sofia nie znała chińskiego.

– Nie musiały ze sobą rozmawiać, bo gotowanie to sposób komunikacji. Obserwowały i próbowały wszystkiego razem. Zawsze wymieniały się potrawami. Sofia robiła tamales, a moja babcia wyśmienitą potrawkę z ogonów wołowych.

Rizzoli spojrzała na półkę obok kuchenki, na zestaw przypraw i sosów tak innych niż te, które miała Sofia. Przypomniała sobie mąkę kukurydzianą w kuchni ofiary i wyobraziła sobie, jak te dwie kobiety siedzą obok siebie i zawijają farsz w liście kukurydzy, śmiejąc się i trajkocząc w dwóch różnych językach, ale świetnie się rozumiejąc.

Patrzyła, jak pani Leong ociera twarz, pozostawiając wilgotne smużki na policzku, i pomyślała o swojej matce, równie zażarcie niezależnej i żyjącej samotnie. Pomyślała również o wszystkich innych kobietach

w mieście, które spędzają samotne noce w swoich domach. O kobietach, które zaalarmowałby brzęk tłuczonego szkła i obce kroki.

– Czy w nocy pani babcia słyszała coś niezwykłego? – spytała. – Jakieś głosy albo inne hałasy?

Zanim Lena zdążyła to przetłumaczyć, pani Leong już kręciła głową. Najwyraźniej zrozumiała pytanie i odpowiedziała kolejnym potokiem słów po mandaryńsku.

– Mówi, że niczego nie słyszała, ale chodzi spać o dziesiątej – wyjaśniła jej wnuczka. – Sofia miała wieczorny dyżur w szpitalu i zwykle wracała do domu między wpół do dwunastej a północą. O tej porze babcia już spała. – Przerwała, gdy starsza pani odezwała się ponownie. – Pyta, czy to właśnie wtedy się to zdarzyło, gdy tylko wróciła do domu.

– Tak sądzimy – potwierdziła Rizzoli.

– Czy to był napad rabunkowy? Bo w okolicy zdarzyło się kilka włamań.

– Kiedy? – zainteresował się Frost.

– Jedno parę miesięcy temu, w sąsiednim domu. Właściciele spali i niczego nie słyszeli. Wtedy tata zainstalował nowe rygle w drzwiach babci. Nie sądzę, żeby Sofia założyła je u siebie. – Lena spojrzała po kolei na oboje detektywów. – Czy to właśnie się zdarzyło? Ktoś próbował ją okraść, a ona go nakryła?

– Z jej domu zginęła część rzeczy – przyznała Rizzoli. – Torebka, telefon komórkowy. Być może także laptop. Proszę spytać babcię, czy Sofia go miała.

Znów nastąpiła szybka wymiana zdań po mandaryńsku.

– Tak – powiedziała Lena. – Babcia mówi, że Sofia używała laptopa w zeszłym tygodniu w kuchni.

– Czy może go opisać? Jakiego był koloru, jakiej marki?

– Och, wątpię, żeby znała markę.

– Jabłko – odezwała się pani Leong, wskazując na misę z owocami na blacie.

Frost i Rizzoli spojrzeli na siebie zaskoczeni. Czyżby właśnie odpowiedziała na ich pytanie?

Wyjął komórkę i pokazał logo na jej tylnej ściance.

– Takie jabłko? Komputer marki Apple?

Starsza pani skinęła głową.

– Jabłko – powtórzyła.

Lena się roześmiała.

– Mówiłam, że rozumie więcej, niż chce przyznać.

– Czy może nam powiedzieć coś więcej o tym komputerze? Jakiego był koloru? Stary czy nowy?

– Jamal – odparła babcia. – On pomóc jej kupić.

– Okej. – Frost zanotował to imię. – W którym sklepie pracuje Jamal?

Pani Leong pokręciła głową. Odwróciła się sfrustrowana i powiedziała coś do wnuczki.

– Och, ten Jamal – rzuciła Lena. – To chłopak z naszej ulicy, Jamal Bird. Pomaga wielu starszym paniom w sąsiedztwie. No wiecie… tym, co nie potrafią podłączyć telewizora. Musicie pomówić z nim o komputerze.

– Zrobimy to – zapewnił Frost, zamykając notes.

– Babcia mówi, że powinien pan zrobić okład z zimnej zielonej herbaty i nagietka, detektywie.

– Co?

– Na oparzenie słoneczne.

Starsza pani wskazała na mocno zaczerwienioną twarz Frosta.

– Poczuć się lepiej – oznajmiła i po raz pierwszy zdobyła się na uśmiech. Nic dziwnego, że właśnie dzięki Frostowi ta smutna kobieta w końcu się uśmiechnęła. Siwe staruszki zawsze traktowały go jak dawno utraconego wnuczka.

– Jeszcze jedno – odezwała się Lena. – Babcia mówi, że musicie być ostrożni, rozmawiając z Jamalem.

– Dlaczego? – spytała Rizzoli.

– Bo jesteście z policji.

– Ma coś przeciwko policjantom?

– Nie on, tylko jego matka.

# Rozdział czwarty

– Dlaczego chcecie rozmawiać z moim synem? Podejrzewacie, że zrobił coś złego?

Beverly Bird tarasowała frontowe drzwi tak, że stanowiła niepokonaną zaporę dla każdego, kto próbowałby wtargnąć do jej domu. Choć była niższa od Rizzoli, wydawała się masywna jak pień drzewa, stojąc pewnie w rozkroku, w różowych klapkach na nogach.

– O nic pani syna nie oskarżamy – oznajmił spokojnie Frost. Rizzoli zawsze na nim polegała, gdy trzeba było załagodzić kryzysową sytuację. – Mamy nadzieję, że Jamal będzie mógł nam pomóc.

– Ma dopiero piętnaście lat. Jak niby może pomóc w sprawie o zabójstwo?

– Znał Sofię i…

– Jak wszyscy w sąsiedztwie. Ale wy skupiacie uwagę na jedynym czarnym chłopaku w okolicy?

Oczywiście musiało jej się tak wydawać – i jak mogło być inaczej? Dla matki cały świat jest niebezpiecznym miejscem, a gdy jest się matką czarnego chłopaka, zagrożenia wydają się jeszcze większe.

– Pani Bird – odezwała się Rizzoli. – Ja też jestem matką. Rozumiem, dlaczego się pani niepokoi, że chcemy rozmawiać z Jamalem. Ale potrzebujemy pomocy, żeby znaleźć komputer pani Suarez, a słyszeliśmy, że pani syn pośredniczył w jego zakupie.

– Pomaga przy komputerach wielu ludziom. Czasem nawet mu za to płacą. Proszę się rozejrzeć w sąsiedztwie. Jak pani myśli, ilu spośród tych staruszków potrafi sobie radzić choćby z telefonami?

– Więc jest idealną osobą, żeby pomóc nam znaleźć jej zaginiony laptop. Ktoś, kto się do niej włamał, zabrał go i musimy się dowiedzieć, co to była za marka i model.

Pani Bird przyglądała im się przez chwilę, jak niedźwiedzica, która rozważa, czy intruzi stanowią zagrożenie dla jej dziecka. Niechętnie odsunęła się na bok, by wpuścić ich do domu.

– Ale żebyście wiedzieli, że mam komórkę i nie zawaham się nagrać tej rozmowy.

– Jeśli poprawi to pani samopoczucie – rzuciła Rizzoli. Kto nie ma w tych czasach komórki? W takim świecie musiała teraz działać policja. Każdy ich ruch był nagrywany i krytykowany. Na miejscu tej kobiety postąpiłaby tak samo.

Beverly Bird poprowadziła ich do wnętrza domu, stukając różowymi klapkami. Po chwili zawołała przez drzwi do syna:

– Kochanie, policja! Chcą porozmawiać z tobą o Sofii!

Chłopak musiał podsłuchać ich rozmowę, bo nie zareagował na jej słowa, nawet się nie odwrócił. Siedział przy komputerze z opuszczonymi ramionami, jakby już był sfrustrowany ich wizytą. Pokój zagracały typowe rzeczy nastolatka: ubrania na łóżku, niebieskie buty Nike na podłodze, plastikowe figurki na półkach. Thor. Kapitan Ameryka. Czarna Pantera.

– Mogę usiąść? – spytała Rizzoli.

Chłopak wzruszył ramionami, co oznaczało „Proszę bardzo”. Albo po prostu „Jak pani chce”. Gdy przyciągnęła sobie krzesło, zauważyła leżący na nim inhalator. Dzieciak miał astmę. Położyła inhalator na biurku i usiadła.

– Jestem detektyw Rizzoli – przedstawiła się. – A to detektyw Frost. Jesteśmy z wydziału zabójstw bostońskiej policji i potrzebujemy twojej pomocy.

– Chodzi o Sofię, tak?

– A więc słyszałeś, co się stało.

Skinął głową, nadal na nią nie patrząc.

– Widziałem radiowozy.

– On został w domu, a ja poszłam zobaczyć, co się dzieje – odezwała się z progu jego matka. – Nie pozwoliłam mu wychodzić, żeby nie było żadnych nieporozumień. Wy, policjanci, wyciągacie czasem pochopne wnioski.

– Staram się tego nie robić, proszę pani – zapewniła ją Rizzoli.

– Więc po co tu jesteście? – spytał Jamal.

Obrócił się w końcu na krześle, by na nią spojrzeć, i zobaczyła jego zawilgotniałe brązowe oczy z niewiarygodnie długimi rzęsami. Był drobny jak na piętnastolatka i wyglądał krucho. To przez astmę, pomyślała.

– Z mieszkania Sofii zginęło parę rzeczy, między innymi jej laptop. Pani Leong twierdzi, że pośredniczyłeś w jego zakupie.

Zamrugał i jego rzęsy zalśniły.

– Była miłą kobietą. Zawsze starała się zapłacić mi za to, co dla niej robiłem.

– A co na przykład?

– Różne rzeczy. Podłączałem telewizor. Instalowałem nowy komputer. Bardzo jej współczułem po śmierci męża.

– Jak my wszyscy – dodała pani Bird. – Najgorsze nieszczęścia przytrafiają się zawsze dobrym ludziom.

– Opowiedz nam o laptopie Sofii – zwrócił się do Jamala Frost. – Kiedy pomogłeś jej go kupić?

– Jakieś dwa miesiące temu. Jej stary laptop się zepsuł i potrzebowała nowego. Nie miała zbyt wiele pieniędzy i spytała mnie, jaki powinna kupić.

– Wiele kobiet w sąsiedztwie prosi go o pomoc – wtrąciła matka chłopca z nutą dumy w głosie. – Jest lokalnym specem od techniki.

– A więc gdzie kupiła ten komputer? – chciał wiedzieć Frost.

– Znalazłem jej coś na eBayu. To była prawdziwa okazja. MacBook Air dwa tysiące dwanaście za sto pięćdziesiąt dolców. Grafika nie miała dla niej znaczenia, więc uznałem, że cztery gigabajty pamięci jej wystarczą. Potrzebowała komputera tylko do korzystania z wyszukiwarek.

Frost zapisał to w notesie.

– A zatem MacBook Air, dwa tysiące dwanaście…

– Ekran trzynaście i trzy dziesiąte cala. Intel Core jeden przecinek osiem gigaherca…

– Chwileczkę, za szybko. Daj mi to wszystko zanotować.

– A może wydrukuję panu parametry techniczne? – Jamal odwrócił się do komputera i wystukał na klawiaturze wszystkie dane. Kilka sekund później włączyła się drukarka i wypadła z niej kartka papieru. – Laptop był srebrny – dodał.

– I mówiłeś, że kosztował tylko sto pięćdziesiąt dolarów? – upewniła się Rizzoli.

– Tak, taką cenę wylicytowała, a sprzedawca miał dobre oceny. Kiedy dostała ten laptop, poszedłem do niej i pomogłem jej zainstalować wi-fi.

– Wow! Przydałby mi się ktoś taki jak ty, żeby ustawić szybkie wybieranie numerów.

Jamal po raz pierwszy się uśmiechnął, ale był to zdawkowy uśmiech. Jeszcze im nie ufał. Być może nigdy nie zaufa całkowicie.

– Niektóre kobiety naprawdę mu płacą – wtrąciła znowu matka chłopca. – Żeby nie musiał pomagać im za darmo.

– Ale Sofii nigdy nie prosiłem o zapłatę – oświadczył chłopak. – Dawała mi tamales.

– Przyrządzała je wspaniale – powiedziała Beverly Bird.

Tamales, których nie zdążyła już zrobić, pomyślała Rizzoli. Czasem ludzi z sąsiedztwa łączą takie drobiazgi jak tamales.

– A co z jej komórką, Jamal? – spytał Frost. – Pamiętasz ją?

Chłopiec uniósł brwi.

– Też zaginęła?

– Tak.

– To dziwne. To stary android, który miała od zawsze. Z powodu słabego wzroku nie bardzo mogła z niego korzystać, dlatego do przeglądania internetu potrzebowała laptopa.

– Czego szukała w internecie?

– Próbowała odnaleźć jakieś stare artykuły z gazet. Trudno to robić na małym ekranie telefonu, jeśli ma się problemy z oczami.

Frost przerzucił kartkę w notesie i pisał dalej.

– A więc to był stary android. Jakiego koloru?

– Wiem, że miał niebieską obudowę z tropikalnymi rybkami. Lubiła ryby.

– Niebieska obudowa z tropikalnymi rybkami. Okej. – Frost zamknął notes. – Dziękuję.

Jamal westchnął głośno, najwyraźniej czując ulgę, że przesłuchanie się skończyło. Ale mylił się. Rizzoli miała jeszcze jedno pytanie.

– Nie zrozum mnie źle, ale muszę być skrupulatna – zaznaczyła. – Możesz nam powiedzieć, gdzie byłeś tej nocy, około dwunastej?

Jego twarz natychmiast się zachmurzyła. Tym jednym pytaniem zniszczyła całe zaufanie, jakim zaczął ich darzyć.

– Wiedziałam – prychnęła z oburzeniem pani Bird. – Dlaczego o to pytacie? Po to naprawdę tu przyjechaliście, prawda? Żeby go oskarżać?

– Nie, proszę pani. To wyłącznie rutynowe pytanie.

– Takie pytania nigdy nie są rutynowe. Szukacie powodu, żeby oskarżyć mojego syna, a on przecież nie skrzywdziłby Sofii. Lubił ją. Jak my wszyscy.

– Rozumiem, ale…

– Ale skoro chcecie wiedzieć, powiem wam wprost: wczorajsza noc była gorąca, a mój syn źle znosi upały. Miał ostry atak astmy. Nie mógł wyjść z domu i zrobić komukolwiek krzywdy.

Gdy jego matka kipiała gniewem, Jamal milczał; siedział z wyprostowanymi dumnie plecami i ramionami. Rizzoli nie mogła cofnąć tego pytania. Zadałaby je każdemu nastolatkowi, który mieszkał w okolicy, gdzie dochodziło do włamań. Każdemu nastolatkowi, który znał ofiarę i był w jej domu.

Jej następne pytanie mogło zaboleć jeszcze bardziej.

– Jamal – powiedziała cicho. – Bywałeś w mieszkaniu Sofii, więc mogą tam być twoje odciski palców. Musimy wyeliminować je spośród innych, które tam znajdziemy.

– Potrzebujecie moich odcisków – rzucił głucho.

– Tylko po to, żeby wiedzieć, których możemy nie brać pod uwagę.

Westchnął zrezygnowany.

– Okej, rozumiem.

– Przyjedzie tu technik, żeby je pobrać. – Spojrzała na jego matkę. – Pani syn nie jest podejrzany. Co więcej, okazał się bardzo pomocny, więc dziękuję. Dziękujemy wam obojgu.

– Taaa… jasne – odparła szyderczym tonem Beverly Bird.

Gdy Rizzoli wstała, by wyjść, chłopak zapytał:

– A Henry? Co się z nim stanie?

Pokręciła głową.

– Henry?

– Jej rybka. Sofia nie ma żadnej rodziny, więc kto ją będzie karmił?

Rizzoli zerknęła na partnera, a ten tylko pokręcił głową. Zwróciła się więc do Jamala:

– Co wiesz o złotych rybkach?

# Rozdział piąty

Z doświadczenia Rizzoli wynikało, że w szpitalach zdarzają się zawsze złe rzeczy. Narodziny jej córki Reginy przed czterema laty powinny być radosnym wydarzeniem, a okazały się bolesnym koszmarem zakończonym krwawą strzelaniną. Ludzie zjawiają się tu, by umrzeć, pomyślała, gdy wchodzili z Frostem do szpitala Pilgrim, a potem jechali windą na piąte piętro, na OIOM chirurgii. Podczas pandemii, gdy w mieście szalał COVID-19, to naprawdę było miejsce, gdzie ludzie przybywali na spotkanie ze śmiercią, ale w ten niedzielny wieczór na oddziale panowała tajemnicza cisza. Przy stanowisku recepcji siedziała samotna pielęgniarka, a monitory pokazywały rytm pracy serca sześciu pacjentów.

– Detektywi Rizzoli i Frost z bostońskiej policji – przedstawiła siebie i partnera Rizzoli, pokazując pielęgniarce odznakę. – Musimy pomówić z koleżankami Sofii Suarez. Z kimkolwiek, kto z nią pracował.

Pielęgniarka skinęła głową.

– Przypuszczaliśmy, że się zjawicie. Wiem, że wszyscy są gotowi rozmawiać. – Sięgnęła po telefon. – Zawiadomię również doktora Antrima.

– Doktora Antrima?

– To szef OIOM-u chirurgi. Powinien być jeszcze w szpitalu. – Podniosła wzrok, gdy z jednej z izolatek wyłoniła się pielęgniarka. – Mary Beth, przyjechała policja.

Pielęgniarka natychmiast do nich podeszła. Była ruda i piegowata, a na rzęsach miała grudki czarnego tuszu.

– Jestem Mary Beth Neal, przełożona pielęgniarek. Jesteśmy wszyscy w szoku z powodu Sofii. Schwytaliście już sprawcę?

– Prowadzimy wstępne śledztwo – odparła Rizzoli.

Do stanowiska recepcji podchodziły kolejne pielęgniarki z posępnymi twarzami. Frost notował szybko ich nazwiska. Fran Souza, postawna kobieta o przystrzyżonych jak u mężczyzny ciemnych włosach. Paula Doyle, blondynka z końskim ogonem, szczupła, opalona i wysportowana jak modelka firmy L.L. Bean. Alma Aquino, z wielkimi oprawkami okularów okalającymi jej delikatną twarz.

– Nie mogliśmy uwierzyć w to, co się stało, gdy usłyszeliśmy w nocy wiadomości – powiedziała Mary Beth. – Nie znamy nikogo, kto chciałby skrzywdzić Sofię.

– Niestety, ktoś to zrobił – rzuciła Rizzoli.

– Więc to musiał być ktoś, kto jej nie znał. Boże, świat oszalał.

Stojące w kręgu pielęgniarki kiwały ze smutkiem głowami. Osobom, które przysięgały ratować ludzkie życie, odbieranie go, zwłaszcza komuś z ich otoczenia, musiało rzeczywiście wydawać się aktem szaleństwa.

Drzwi na oddział otworzyły się z sykiem i wyszedł lekarz. Poły białego fartucha omiatały mu długie nogi. Nie zamierzał podawać im ręki: w postpandemicznym świecie zachowanie dystansu stało się nową normą, ale stanął wystarczająco blisko, by Rizzoli mogła odczytać nazwisko na jego identyfikatorze. Był po pięćdziesiątce, nosił okulary w szylkretowych oprawkach i miał poważną twarz. Właśnie to najbardziej rzuciło się w oczy Rizzoli – jego powaga. Dostrzegła ją w zmarszczonych brwiach i zatroskanym spojrzeniu mężczyzny.

– Jestem Mike Antrim – przedstawił się. – Szef oddziału intensywnej opieki.

– Detektywi Rizzoli i Frost.

– Wciąż mieliśmy nadzieję, że pomylono nazwisko, że chodziło o kogoś innego – powiedziała Mary Beth Neal. – O inną Sofię.

Przez chwilę wszyscy milczeli i słychać było jedynie szum wentylatora w jednej z izolatek.

– Proszę nam powiedzieć, jak możemy pomóc – odezwał się w końcu doktor Antrim.

– Próbujemy ustalić, co zdarzyło się w piątek. – Rizzoli rozejrzała się po obecnych. – Kiedy widzieli ją państwo po raz ostatni?

– Był koniec wieczornego dyżuru – odparła Fran Souza. – Przekazujemy pacjentów nocnej zmianie o jedenastej. Skończyliśmy pewnie około jedenastej piętnaście.

– A potem?

– Ja poszłam do domu.

Inne pielęgniarki skinęły głowami, potwierdzając, że one także.

– A pan, doktorze? – spytała Rizzoli.

– W piątek byłem tutaj, miałem dyżur na oddziale.

– O której widział pan Sofię wychodzącą ze szpitala?

– Nie widziałem, jak wychodziła. Byłem zajęty pacjentem spod siódemki. Miał kryzys. Próbowaliśmy ustabilizować go przez wiele godzin, ale niestety, do rana zmarł. – Przerwał, spoglądając w kierunku izolatki numer siedem.

– Pechowe łóżko – stwierdziła cicho Mary Beth. – Tam umarł też Tony.

Frost podniósł wzrok znad notesu.

– Tony?

– Mąż Sofii – wyjaśnił doktor Antrim. – Był naszym pacjentem niemal przez miesiąc. Biedna Sofia, pracowała tutaj, gdy leżał po operacji nieprzytomny w izolatce. Był jak członek rodziny.

– Ona także – dodała Mary Beth.

Znów nikt się nie odzywał. Rozlegały się tylko westchnienia.

– To prawda – przerwał milczenie Antrim. – Jesteśmy tu wszyscy jedną rodziną. Gdy kilka miesięcy temu przyjęto do szpitala moją córkę Amy, Sofia pielęgnowała ją i traktowała jak własne dziecko. Nie mogliśmy życzyć sobie lepszej opieki.

– Czy pańska córka wyzdrowiała? – spytała Rizzoli. Bała się usłyszeć odpowiedź.

– Och, tak, Amy dobrze się już czuje. Potrącił ją na pasach jakiś pirat drogowy. Miała złamaną w trzech miejscach nogę i wymagała natychmiastowej operacji pękniętej śledziony. Byliśmy z żoną przerażeni, ale tutejsze pielęgniarki pomogły jej przez to przejść. Zwłaszcza Sofia, która…. – Załamał mu się głos i lekarz odwrócił wzrok.

– Czy przychodzi państwu na myśl ktoś, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić? Może jakiś były pacjent? Albo krewny pacjenta?

– Nie – odpowiedziały jednocześnie pielęgniarki.

– Nikt by jej nie skrzywdził – dodał Antrim.

– Wszyscy nam to powtarzają – przyznała Rizzoli.

– Bo to prawda – oznajmiła Mary Beth. – Powiedziałaby nam, gdyby ktokolwiek jej groził.

– Widywała się z kimś? – spytał Frost. – Był w jej życiu jakiś nowy mężczyzna?

– Tony zmarł zaledwie pół roku temu – odburknęła Mary Beth, najwyraźniej oburzona tym pytaniem. – Naprawdę pan myśli, że spotykała się z innym mężczyzną?

– Wydawała się czymś zmartwiona w ostatnim czasie? – dociekała Rizzoli.

– Była po prostu milcząca. To oczywiste… po stracie Tony’ego. Prawdopodobnie dlatego przestała bywać na naszych comiesięcznych składkowych imprezach.

Rizzoli zauważyła, że Antrim marszczy brwi.

– Doktorze? – spytała.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Wtedy wydało mi się to dziwne i zastanawiam się teraz…

– Nad czym?

– To było w zeszłą środę, kiedy wychodziłem ze szpitala. Zobaczyłem Sofię na parkingu. Rozmawiała przez telefon. To było tuż przed jej zmianą, więc pewnie około wpół do trzeciej po południu.

– Co było w tym dziwnego?

– Wydawała się zdenerwowana, jakby otrzymała jakieś złe wiadomości. Usłyszałem tylko: „Jesteś pewien? Jesteś tego pewien?”.

– Słyszał pan coś jeszcze?

– Nie. Gdy mnie zobaczyła, przerwała rozmowę. Jakby nie chciała, by ktoś był jej świadkiem.

– Wie pan, z kim rozmawiała?

Pokręcił głową.

– Na pewno macie dostęp do listy jej połączeń – powiedział. – Nie możecie się dowiedzieć?

– Czekamy jeszcze na billing od jej operatora. Ale owszem, dowiemy się.

– Po prostu wydało mi się to dziwne, rozumie pani? Znaliśmy ją wszyscy od dziesięciu, piętnastu lat, odkąd zaczęła pracować w tym szpitalu, i nie mam pojęcia, dlaczego była taka skryta.

Jakie sekrety mogła ukrywać pięćdziesięciodwuletnia owdowiała pielęgniarka? – zastanawiała się Rizzoli. Sofia nie była notowana, nie miała nawet niezapłaconych mandatów. Przeszukali jej mieszkanie i nie znaleźli

żadnych narkotyków ani plików banknotów, a stan jej konta bankowego był skromny.

Może ten sekret nie dotyczył jej.

– A jej mąż, Tony? – spytała. – Czym się zajmował?

– Był listonoszem – wyjaśniła Mary Beth. – Przepracował trzydzieści lat i uwielbiał tę pracę. Lubił rozmawiać z ludźmi na gankach. Uwielbiał nawet ich psy, a one jego.

– Nie, one uwielbiały przysmaki, które im przynosił – sprostowała Fran Souza, śmiejąc się ze smutkiem. – Tony miał je zawsze w furgonetce.

– Ale naprawdę kochał psy – wtrąciła Mary Beth. – Ona także. Gdy umarł, Sofia chciała sprawić sobie psa, może golden retrievera, ale uznała, że byłoby to nie w porządku zostawiać go samego w domu, kiedy wychodzi do pracy. – Przerwała, a po chwili dodała: – Szkoda, że nie miała psa. Może wtedy to by się nie zdarzyło.

– Czy to stało się szybko? – spytała cicho Fran. – Cierpiała?

Rizzoli pomyślała o plamach zaschniętej krwi na podłodze w salonie, które dowodziły, że Sofia rozpaczliwie próbowała uciekać. Tak, cierpiała. Żyła wystarczająco długo, by czuć przerażenie. By wiedzieć, że zaraz umrze.

– Czekamy na wyniki sekcji – powiedziała tylko.

– Czy wykonuje ją doktor Maura Isles? – spytał Antrim.

Spojrzała na niego.

– Zna pan doktor Isles?

– O tak. Gramy w tej samej orkiestrze.

– Ona gra w orkiestrze?

– Tak, z grupą lekarzy. Ćwiczymy raz w tygodniu w liceum w Brookline. Jest naszą pianistką, i to bardzo dobrą.

– Wiem, że gra na pianinie, ale nie słyszałam o żadnej orkiestrze.

– Jesteśmy amatorami, ale świetnie się bawimy. Powinna pani przyjść za parę tygodni na nasz koncert. Jestem tylko drugim skrzypkiem, ale Maura… jest naprawdę muzykalna i będzie naszą przyszłą solistką.

I nigdy mi o tym nie powiedziała, pomyślała Rizzoli.

Co jeszcze przed nią ukrywała? Zastanawiała się nad tym, gdy zjeżdżali z Frostem windą na parter, a potem szli przez parking do jej samochodu. To był drobiazg, a jednak ją zaniepokoił. Wiedziała, że Maura jest skryta, ale przyjaźniły się od lat, przeżywały razem najtrudniejsze chwile, a nic nie łączy ludzi silniej niż wspólne doświadczanie śmierci.

Wślizgnęła się za kierownicę i spojrzała na Frosta.

– Dlaczego nic nam nie powiedziała?

– Kto?

– Maura. Czemu nie wspomniała, że gra w orkiestrze?

Frost wzruszył ramionami.

– A ty jej wszystko mówisz?

– Nie, ale to co innego. Koncert to duża sprawa.

– Może czuje się zakłopotana.

– Że jest jeszcze coś, co ona potrafi robić, a ja nie?

Zaśmiał się.

– No widzisz. Drażni cię to, prawda?

– Bardziej wkurza mnie to, że mi o tym nie powiedziała. – Jej komórka rozbrzmiała działającymi na nerwy dźwiękami skrzypiec. – I jeszcze matka musi mnie irytować!

– Nie odbierzesz? Zadzwoni znowu.

Zrezygnowana, odebrała telefon.

– Cześć, mamo. Akurat jestem zajęta.

– Ty zawsze jesteś zajęta. Kiedy możemy porozmawiać?

– Chodzi znowu o Tricię Talley?

– Wiesz, co zrobił ten detektyw z Revere? Powiedział Jackie, że Tricia wróci do domu, gdy zabraknie jej pieniędzy. Kto mówi takie rzeczy matce zaginionego dziecka? Uwierz mi, policja nie traktuje tej sprawy serio.

– Podobnie jak poprzednio, kiedy dziewczyna uciekała trzy razy z domu?

– Biedna Jackie jest przybita. Chce z tobą pomówić.

– Mamo, musi się tym zająć policja z Revere. Nie spodoba im się, jak będę się wtrącała.

– W co? W to, że całkowicie zaniedbują swoje obowiązki? Jane, znasz Talleyów niemal od zawsze. Opiekowałaś się tą dziewczyną. Nie możesz ignorować jej zaginięcia tylko dlatego, że masz na głowie coś ważniejszego.

– Zabójstwo to jest ważna sprawa, mamo.

– Hm… Tricia też może już nie żyć. Dopiero wtedy okażesz zainteresowanie?

Rizzoli pomasowała skroń, próbując zapobiec narastającemu bólowi głowy.

– Okej, okej. Wpadnę jutro.

– O której?

– Po południu. Muszę być przy sekcji. I załatwić mnóstwo spraw.

– Och, kojarzysz tych nowych lokatorów z naszej ulicy? Greenów?

– Nadal ich śledzisz?

– W ich domu słychać jakieś dziwne odgłosy stukania młotkiem. Wiesz, co mówi Departament Bezpieczeństwa Krajowego? „Jeśli coś zauważysz, zgłoś to”. I właśnie to robię.

Tak, mamo. Jak zawsze.

# Rozdział szósty

## Maura

– Dlaczego nigdy nam nie powiedziałaś, że grasz w orkiestrze? – spytała Rizzoli. – Mogłaś chociaż wspomnieć.

Maura wyczuła w głosie przyjaciółki nutę wyrzutu i nie odpowiedziała od razu na jej pytanie. Koncentrowała uwagę na zwłokach leżących na stole autopsyjnym. Sofia Suarez była już rozebrana – zdjęto z niej niebieski szpitalny uniform, stanik rozmiaru 46B oraz białe bawełniane majtki – i w jaskrawym świetle kostnicy widoczna była każda zmarszczka, każda blizna na ciele tej pięćdziesięciodwuletniej kobiety. Maura nie skupiała uwagi na zmiażdżonej czaszce ani zmasakrowanej twarzy, lecz na śladzie po oparzeniu na grzbiecie lewej dłoni i artretycznym zgrubieniu prawego kciuka. Były to zapewne pamiątki po godzinach spędzonych w kuchni, przy krojeniu, smażeniu i zagniataniu ciasta. Starzenie się jest okrutnym procesem. Cellulit poorał bruzdami uda, które kiedyś były smukłe i gładkie. Na podbrzuszu widniała blizna po operacji wyrostka. Szyję i klatkę piersiową szpeciły piegi, brodawki i czarne łojotokowe zrogowacenia, które pojawiają się tak często z biegiem lat. Maura zaczynała je dostrzegać także na własnej skórze, co stanowiło przygnębiające przypomnienie, że wszyscy się starzejemy… jeśli mamy szczęście.

Sofia Suarez nie miała.

Maura uniosła skalpel i zaczęła ciąć.

– Słyszeliśmy też, że masz wkrótce koncert – powiedział Frost. – Alice i ja chcemy przyjść. Ona uwielbia muzykę klasyczną.

Maura podniosła w końcu wzrok na dwójkę detektywów, którzy obserwowali ją zza stołu autopsyjnego. Frostowi schodziła paskudnie skóra po opaleniźnie i nad papierową maseczką widać było na czole jej płaty.

– Uwierzcie mi, ten koncert to nic takiego. Dlatego o nim nie wspominałam. A właściwie jak się o nim dowiedzieliście?

– Powiedział nam doktor Antrim – wyjaśniła Rizzoli. – Pracował z Sofią Suarez w Pilgrimie.

– Nie wiedziałam o tym.

– Przesłuchiwaliśmy jej koleżanki na OIOM-ie i powiedział nam, że będziesz solistką na tym koncercie.

– To tylko Mozart. – Maura wzięła do ręki nożyce do przecinania żeber i rozcięła kość. – *Dwudziesty pierwszy koncert fortepianowy C-dur*.

– Cóż, brzmi intrygująco.

– To nie jest trudny utwór.

– Alice uwielbia Mozarta – oznajmił Frost. – Na pewno będzie chciała tego posłuchać.

– Nie jestem jak Lang Lang. – Maura przecięła ostatnie żebro, uwalniając mostek. – Jesteśmy amatorami. Lekarzami grającymi wspólnie dla zabawy.

– Mimo wszystko powinnaś była nam powiedzieć – upierała się Rizzoli.

– Dołączyłam do nich dopiero parę miesięcy temu. Kiedy ich pianistka upadła i złamała rękę.

– I potrafisz tak po prostu wyjść na scenę i zagrać skomplikowany utwór?

– Mówiłam ci, że to nic takiego.

Rizzoli prychnęła.

– Ciągle to powtarzasz. A ja ci nie wierzę.

– Hej, może my powinniśmy założyć jakiś zespół? – zażartował Frost. – Policyjną kapelę. Grałaś kiedyś na trąbce, prawda?

– Nie chciałbyś tego słuchać.

Maura sięgnęła w głąb klatki piersiowej Sofii Suarez i zmarszczyła brwi.

– Powierzchnia prawego płuca nie wygląda normalnie. Jest zwłókniała.

– Co to oznacza? – spytała Rizzoli.

– Widać to na zdjęciu rentgenowskim. – Maura ruchem głowy wskazała na ekran komputera, gdzie zostało ono wyświetlone. – Była też notatka w jej kartotece medycznej. To zbliznowacenie po covidzie. Pracowała na oddziale intensywnej opieki, więc nic dziwnego, że się zaraziła. Nie potrzebowała intubacji, ale przez cztery dni leżała pod tlenem. Całkiem sporo ludzi ma teraz płuca, które tak wyglądają na rentgenie, i może nawet o tym nie wiedzieć.

Wzięła do ręki skalpel i ponownie sięgnęła do klatki piersiowej. Przez chwilę słychać było tylko odgłosy zasysania, gdy wyciągała stamtąd wilgotne narządy, i cichy plusk, kiedy lądowały w misce. Dźwięki warsztatu rzeźnika.

Skupiła uwagę na jamie brzusznej; wydobyła zwoje jelit, żołądek i wątrobę, trzustkę oraz śledzionę. Rozcięła żołądek i opróżniła jego skąpą zawartość do misy.

– Jadła ostatni posiłek co najmniej cztery godziny przed śmiercią – zauważyła. – Prawdopodobnie w pracy.

– A więc nie zatrzymała się nigdzie, żeby coś zjeść w drodze do domu – stwierdziła Rizzoli. – Cztery godziny. Musiała być głodna.

Maura pobrała próbkę treści żołądka do analizy.

– Jakieś wieści z centrum daktyloskopii?

– Żadnych rewelacji w sprawie odcisków palców – odparł Frost. – Te, które znaleźliśmy, należą do jej sąsiadki, pani Leong, i Jamala Birda, młodego komputerowca z tej samej ulicy. Zakładając, że żadne z nich nie popełniło tej zbrodni, sprawca musiał być w rękawiczkach.

– A odciski butów?

– Standardowe męskie kalosze, rozmiar czterdzieści dwa. Można je kupić w każdym Walmarcie. Czekamy nadal na jej billingi, ale to nam nie pomoże, jeśli nie znała sprawcy.

– A co z tymi niedawnymi włamaniami w okolicy? Jakiś wspólny mianownik?

Spojrzała na Rizzoli, a ta pokręciła głową.

– Tamten włamywacz nosił buty Nike, rozmiar czterdzieści cztery, i w mieszkaniu Sofii nie znaleziono jego odcisków. Ta sprawa byłaby o wiele za łatwa, gdyby chodziło o tego samego sprawcę.

Maura przeszła do części miednicowej i otworzyła skalpelem macicę, odsłaniając kolejny smutny sekret.

– Przerost endometrium. Niemal na całej ściance.

– Nie miała dzieci – rzuciła Rizzoli.

– Może właśnie dlatego.

Gdy Maura umieściła wyciętą macicę w misce, pomyślała o wiszącej w domu ofiary ślubnej fotografii, na której nowożeńcy promienieli szczęściem. Kiedy się pobrali, Sofia i Tony byli po czterdziestce i nie byli już tacy młodzi. Może ich małżeństwo było tym bardziej radosne, że odnaleźli się tak późno. Zbyt późno jednak, by mieć dzieci.

Skoncentrowała się w końcu na ranach, które sprawiły, że Sofia Suarez trafiła na ten stół. Na razie zbadała jej serce i płuca, żołądek i wątrobę, ale to były anonimowe narządy, równie bezosobowe jak świńskie podroby u rzeźnika. Teraz musiała spojrzeć na twarz Sofii, która była okrutnie

zdeformowana, jak na obrazach Picassa. Maura obejrzała wcześniej zdjęcie rentgenowskie głowy, dostrzegła pęknięcia czaszki i kości policzkowych i zanim ściągnęła skalp i otworzyła czaszkę, wiedziała już, jakie uszkodzenia zobaczy wewnątrz.

– Wgniecenie kości ciemieniowej i skroniowej – oznajmiła. – Kształt rany jest wyraźnie okrągły, ma ostre regularne krawędzie po zewnętrznej stronie czaszki. Na zdjęciu rentgenowskim widać tam pęknięcie i zgruchotanie kości od wewnątrz. To typowe dla urazów po uderzeniu młotkiem. Pierwszy cios zadano prawdopodobnie od tyłu. Napastnik zamachnął się pod pewnym kątem.

– Był praworęczny? – spytał Frost.

– Najprawdopodobniej. Cios zadany znad prawego ramienia spowodował również ukośne pęknięcie kości skroniowej. Był wystarczająco silny, by ją ogłuszyć, ale wiemy, że nie zginęła od razu. Ślady krwi w salonie świadczą o tym, że zdołała przeczołgać się jeszcze na pewną odległość…

– Pięć metrów – wtrącił Frost. – Musiało jej się wydawać, że to całe kilometry.

Gdy Maura ściągnęła skalp, oddzielając skórę z włosami od kości czaszki, wyobraziła sobie ostatnie koszmarne chwile życia Sofii. Porażający ból, krew. Śliska podłoga pod jej dłońmi, gdy odczołgiwała się od frontowych drzwi. By uciec zabójcy.

Ale nie może poruszać się wystarczająco szybko. On podąża za nią, obok akwarium z syrenką w jej luksusowym różowym zamku. Obok regału z romansami. Sofia ma już zamglony wzrok i odrętwiałe kończyny. Wie, że nie zdoła uciec, nie odeprze ataku. Wreszcie nie może czołgać się dalej i tak wszystko się kończy. Zwija się w kłębek, zasłaniając się rękami, gdy pada ostatni cios.

Trafia ją w prawą skroń, gdzie kość jest najcieńsza. Miażdży kość policzkową, uszkadzając oczodół. Wszystko to było widać na zdjęciu rentgenowskim i na odsłoniętej powierzchni czaszki. Jeszcze zanim Maura włączyła piłę i otworzyła czaszkę, wiedziała, że uderzenia spowodowały przemieszczenie fragmentów kości, rozerwanie naczyń krwionośnych i urazy kory mózgowej. Zdawała sobie sprawę, jakie katastrofalne skutki powoduje przemieszczenie mózgu, prowadzące do rozciągania i miażdżenia włókien nerwowych.

Nie wiedziała jednak, co myślała ofiara w ostatnich chwilach życia. Sofia była z pewnością przerażona, ale czy także zaskoczona? Czy czuła się zdradzona? Czy rozpoznała twarz napastnika, który spoglądał na nią z góry? To była dla patologa nieprzekraczalna granica. Maura mogła kroić zwłoki, badać tkanki ciała aż do poziomu komórek, ale to, co wiedział, widział i czuł zmarły, zanim rozstał się z życiem, pozostawało zagadką.

◘ ◘ ◘

Wracała tego dnia do domu zniechęcona. Wchodząc przez frontowe drzwi, myślała uporczywie o Sofii, na którą kilka dni wcześniej czekała w jej własnym domu śmierć. Prawdę mówiąc, czeka na nas wszystkich, pozostawało jedynie pytanie, gdzie i kiedy się z nią spotkamy.

Maura poszła od razu do kuchni i nalała sobie kieliszek caberneta. Zaniosła go do salonu i usiadła przy fortepianie. Partytura do *XXI koncertu fortepianowego* Mozarta była już otwarta i wpatrywała się w Maurę, przypominając jej o jeszcze jednym zobowiązaniu, którego się podjęła, ryzykując okropne upokorzenie, gdyby jej się nie powiodło.

Wypiła łyk wina, odstawiła kieliszek na stolik i zaczęła grać.

Początkowe solowe andante było powolne i nieskomplikowane, nie wymagało takich umiejętności jak szybsze fragmenty, więc przyniosło jej

ukojenie. Mogła skupić się na rytmie i melodii zamiast na śmierci Sofii Suarez. Poczuła, jak opada z niej napięcie i opuszcza ją ponury nastrój. Muzyka stanowiła dla niej bezpieczną strefę, do której nie wdzierała się śmierć; świat odległy od skalpela i piły do cięcia kości. Maura nie powiedziała Jane Rizzoli o orkiestrze, bo pragnęła zachować dystans między tymi dwoma światami, nie chciała, by jej życie zawodowe skaziło czystość muzyki.

Zagrała do końca andante i przeszła od razu do allegro, przebierając po klawiaturze rozgrzanymi już palcami. Grała dalej, nie słysząc, jak otwierają się frontowe drzwi ani jak ojciec Daniel Brophy wchodzi do salonu. Nie odezwał się ani słowem, tylko słuchał w milczeniu, ściągając koloratkę, symbol powołania, które uniemożliwiało im normalny związek.

Ale się uśmiechał.

Dotarła do finału koncertu. Gdy oderwała palce od klawiszy, otoczył ją ramionami i złożył ciepły pocałunek na jej karku.

– Brzmi cudownie – powiedział.

– W każdym razie nie tak nieudolnie jak w zeszłym tygodniu.

– Nigdy nie potrafisz po prostu przyjąć komplementu?

– Tylko gdy na niego zasługuję.

Usiadł obok niej na ławce przy fortepianie i przywarł wargami do jej ust.

– Będziesz nadzwyczajna, Mauro. I nie zaczynaj wymieniać wszystkich swoich błędów, bo i tak nie usłyszę, że coś jest nie tak. Podobnie jak publiczność.

– Na koncert przyjdzie Jane. A Frost przyprowadzi żonę, która zna się podobno na muzyce klasycznej.

– Będą na koncercie? Myślałem, że nie zamierzasz ich zawiadamiać.

– Sami się dowiedzieli. W końcu są detektywami.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego im nie powiedziałaś. Są twoimi przyjaciółmi. Wygląda to tak, jakbyś się wstydziła.

– Będzie mi wstyd, jak coś spieprzę.

– Och. Znów mówisz jak perfekcjonistka. Nikomu nie będzie przeszkadzało, jeśli nie zagrasz bezbłędnie.

– Mnie będzie przeszkadzało.

– Ależ dźwigasz ciężki krzyż. – Uśmiechnął się. – Jak dotąd zdołałaś nas wszystkich nabrać.

– Żałuję niemal, że zgodziłam się wystąpić.

– Ale po koncercie będziesz szczęśliwa, że zagrałaś.

Uśmiechnęli się do siebie, dwoje dziwnych kochanków, którzy nigdy nie powinni się spotkać. Którzy próbowali się rozstać i zaprzeczyć, że potrzebują siebie nawzajem, ale im się to nie udało.

Zauważył pusty kieliszek po winie na stoliku.

– Nalać ci jeszcze? – spytał.

– Zdecydowanie. Tak czy inaczej, skończyłam już ćwiczyć.

Poszła za nim do kuchni i patrzyła, jak dolewa jej wina do kieliszka. Cabernet, aromatyczny i gęsty, stanowił jedną z jej kosztownych słabostek. Ale gdy zobaczyła, że Daniel sobie nie nalewa, straciła nagle ochotę na drugiego drinka i odstawiła kieliszek po jednym łyku.

– Ty nie pijesz? – spytała.

– Chciałbym, ale dziś nie mogę zostać na noc. O ósmej mamy w parafii zebranie rady do spraw finansów. A potem mam spotkanie komitetu pomocy dla imigrantów, które przeciągnie się pewnie do dziesiątej. – Pokręcił głową. – Dzień ma po prostu za mało godzin.

– No cóż. Więc poćwiczę jeszcze wieczorem na fortepianie.

– Ale spędzę z tobą jutrzejszą noc. – Pochylił się, by ją pocałować. – Jesteś bardzo rozczarowana?

– Jest, jak jest.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Kocham cię, Mauro.

Z biegiem lat obserwowała, jak w ciemnych włosach Daniela pojawiało się coraz więcej siwych, jak pogłębiały się zmarszczki wokół jego oczu, i takie same zmiany dostrzegała u siebie. Zawsze będzie go kochała, ale tej miłości towarzyszył smutek. Żal, że nigdy nie będą mogli być normalną parą i spać co noc pod jednym dachem. Nigdy nie będą spacerować, trzymając się za ręce i demonstrując swoją miłość całemu światu. Taki układ zawarli ze sobą i z jego Bogiem. I to musi wystarczyć, pomyślała, słysząc, jak Daniel wychodzi frontowymi drzwiami.

Wróciła do fortepianu i spojrzała na nuty. Tak wiele fragmentów musiała jeszcze opanować, tyle dźwięków nie płynęło dotąd swobodnie spod jej palców. To było wyzwanie, owszem, ale także bardzo jej potrzebny sposób, by oderwać myśli od Daniela i nieskończonego korowodu ciał, które trafiały pod jej skalpel.

Odwróciła nuty na pierwszą stronę i zaczęła znowu grać.

# Rozdział siódmy

## Amy

Moja mama jest piękna.

Amy często myślała tak o matce, ale tego wieczoru szczególnie, gdy patrzyła, jak mama zagniata ciasto na fettucine. Julianne kołysała się w przód i w tył, czyniąc czary z mąką i wodą, wznosząc małe białe obłoczki nad czarnym granitowym blatem. W wieku czterdziestu jeden lat miała nadal szczupłe, zgrabne ramiona, wyćwiczone od ugniatania ciasta, ubijania jajek i krojenia warzyw. Jej twarz płonęła z wysiłku, a na skroni widniały ślady mąki. Nazywała to „barwami wojennymi piekarza” i tego wieczoru Julianne była piekarzem toczącym radośnie bitwę, z podwiniętymi rękawami i w przewiązanym w pasie ulubionym fartuszku w prążki. Ojciec Amy miał nocny dyżur w szpitalu, więc zostały na kolację same. Babski wieczór, co oznaczało, że mogły jeść, co tylko chciały.

Tego wieczoru było fettucine ze świeżymi szparagami. Julianne przepuściła kilkakrotnie ciasto przez maszynkę do makaronu, by był jak najcieńszy. Amy starła skórkę cytrynową, wydobywając jej orzeźwiający zapach. Praca zespołowa, powtarzała zawsze jej matka. Ty i ja przeciwko całemu światu.

Godzinę później rozkoszowały się efektami swojej pracy: lśniące tasiemki fettucine pachniały cytryną i parmezanem. Minęły jadalnię i zaniosły talerze prosto do salonu, żeby oglądać telewizję. Dzisiaj nie ma żadnych reguł, oznajmiła Julianne. Mamy babski wieczór.

Wybrały film odpowiedni dla kobiet. *Duma i uprzedzenie* zanudziłaby na śmierć ojca Amy, ale tego wieczoru go nie było. Mogły siedzieć przed

telewizorem w koszulach nocnych i wsuwać sobie do ust makaron, patrząc, jak Keira Knightley uwodzi nieśmiałego pana Darcy’ego. Dlaczego kobiety nie noszą już takich pięknych sukien? Dlaczego nie przyciągają mężczyzn błyskotliwością i inteligencją?

– Niektórzy mężczyźni doceniają takie kobiety – powiedziała Julianne. – Wartościowi mężczyźni. Tacy jak twój tata.

– A gdzie takich znaleźć?

– Musisz po prostu być cierpliwa i nie spieszyć się. Nigdy się nie spiesz. Zasługujesz na to, co najlepsze. – Julianne wsunęła delikatnie za ucho córki luźny kosmyk włosów i dotykała przez chwilę policzka Amy. – Zasługujesz na szczęście.

– Jestem szczęśliwa.

Matka uśmiechnęła się.

– Posmarować ci nogę? Musimy o nią dbać.

Amy uniosła koszulę nocną na wysokość uda, odsłaniając brzydką pooperacyjną bliznę. Minęły miesiące, odkąd chirurdzy złożyli jej pogruchotaną kość udową. Noga nadal bolała, kiedy było zimno, a zabliźniona rana miała paskudną czerwoną barwę. Dziewczyna mogła ukrywać ją pod sukienką, ale pozostanie już na zawsze; będzie skazą widoczną na plaży albo w intymnych momentach. Czy dzięki kremowi, którym matka nacierała ją co wieczór, blizna zbieleje? Amy tego nie wiedziała, ale wmasowywanie kremu było teraz ich codziennym rytuałem. Na ekranie telewizora Keira Knightley całowała się w końcu ze swoim panem Darcym, a Amy, siedząc na kanapie, przymykała oczy z rozkoszy. Nawet gdy zadzwonił telefon i matka wstała, by go odebrać, pogrążona w ekstazie dziewczyna nie poruszyła się. Pan Darcy. Pan Darcy.

– Kto mówi? – odezwała się Julianne.

Amy otworzyła oczy i spojrzała leniwie na matkę, która stała z telefonem przy uchu.

– Kto mówi?

Dziewczyna usłyszała napięcie w głosie matki i stała się czujna. Patrzyła, jak mama się rozłącza. Przez chwilę Julianne trwała w bezruchu, wpatrując się w telefon.

– Mamo? Kto dzwonił?

– To była pomyłka.

Amy spodziewała się, że matka wróci na kanapę i obejrzy z nią końcowe napisy *Dumy i uprzedzenia*, ale Julianne podeszła do frontowego okna. Stała tam przez chwilę, wyglądając na ulicę, po czym zaciągnęła zasłony. To samo zrobiła przy drugim oknie. Potem zwróciła się z uśmiechem do córki:

– Jak sądzisz? Jeszcze jeden film?

– Nie. – Amy ziewnęła. – Chyba się położę.

– Tak, wyglądasz na zmęczoną. Pomóc ci pójść na górę?

– Poradzę sobie. – Amy podźwignęła się z kanapy i sięgnęła po laskę. – Nie mogę się doczekać, kiedy pozbędę się tego paskudztwa.

– Zrobimy specjalną imprezę. Uroczyste spalenie laski. Upiekę ciasto.

Amy zaśmiała się.

– Nie wątpię!

Kuśtykała na schodach, wpierając się jedną ręką na lasce, a drugą podtrzymując poręczy. Wiedziała, że matką ją obserwuje. Zawsze nad nią czuwała. Gdy dziewczyna dotarła na szczyt schodów, odwróciła się, by pomachać mamie na dobranoc; spodziewała się, że ta odwzajemni ten gest, ale Julianne nawet na nią nie patrzyła. Wstukiwała kod w klawiaturę systemu alarmowego w przedpokoju: 5429. Aktywowała alarm.

– Dobranoc! – zawołała z góry Amy.

– Dobranoc, kochanie – odpowiedziała matka, podchodząc do okna.

Gdy córka pokuśtykała do łóżka, Julianne stała nadal przy oknie, wpatrując się w mrok.

# Rozdział ósmy

## Angela

Moja córka uważa, że marnuję jej czas. Widzę to po jej twarzy, gdy wchodzi do kuchni i rzuca niedbale torebkę na blat. Jane nigdy nie miała cierpliwości. Gdy dorastała, chciała szybko nauczyć się chodzić, nosić damskie majtki, grać z chłopakami w kosza. Moja bystra, energiczna, nieustraszona córka zawsze jest gotowa stawić czoło wrogowi.

Tego wieczoru staje przeciwko mnie i wytycza linie bojowe – zajmuje pozycję w kuchni i nalewa sobie kawy.

– Zły dzień w pracy? – pytam, by zagaić rozmowę. Pracuje w wydziale zabójstw, więc ma zawsze zły dzień.

– W Roslindale zginęła kobieta. Pielęgniarka.

– Zabójstwo?

– Taaa. Niespodzianka. – Wypija łyk kawy. – Vince odzywał się ostatnio?

– Dzwonił do mnie dziś rano. Mówi, że jego siostra ma nadal silne bóle, więc będzie musiał być przy niej jeszcze przez dwa tygodnie. Zawsze sądziłam, że wymiana stawu biodrowego to drobiazg. Nie w jej przypadku. Vince musi we wszystkim jej usługiwać.

– Niech ucieknie i wróci tutaj. I pomoże ci odnaleźć Tricię.

– Mieszkałaś tu kiedyś, Janie. Skoro zaginęła dziewczyna, powinnaś się tym zainteresować.

– Zrobiłam to, o co prosiłaś. Rozmawiałam z detektywem Saldaną i dowiedziałam się, na jakim etapie jest śledztwo.

– Jackie twierdzi, że on nic nie robi, żeby odnaleźć tę dziewczynę.

– Kieruje się rachunkiem prawdopodobieństwa. Tricia uciekała z domu już trzy razy. I za każdym razem wracała.

– Tym razem może być inaczej. Ktoś mógł ją prześladować. Jakiś odrażający staruch, który zwabił ją do swojego domu i zamknął w piwnicy, by ją wykorzystywać. Jak ten facet z Cleveland, który latami trzymał w zamknięciu trzy dziewczyny. Policjanci wyszli wtedy na idiotów.

Na wspomnienie historii z Cleveland, która trafiła na okładkę tygodnika „People”, Jane milknie. Wiedziałam, że da jej to do myślenia. Żaden detektyw nie chce spaprać tak nagłośnionej sprawy.

– Okej – mówi i wzdycha. – Porozmawiajmy z Jackie.

Nie musimy jechać samochodem. Dom Talleyów stoi zaledwie półtorej przecznicy dalej, a o tej wieczornej porze miło jest się przejść, czuć w powietrzu zapachy gotowania i widzieć w oknach poświatę z ekranów telewizorów. Gdy docieramy do Talleyów, na podjeździe stoi niebieskie camaro Ricka i zastanawiam się, czy on i Jackie się pogodzili. Wydawałoby się, że po dwudziestu latach małżeństwa powinni albo rozwiązać swoje problemy, albo się rozejść. Jackie mówiła mi, że podczas jednej z kłótni cisnął ją na lodówkę, a Tricia wszystko widziała. Mogę mieć do Franka wiele pretensji, zwłaszcza o to, że jest z inną kobietą, ale przynajmniej nigdy mnie nie popychał. Może dlatego, że Jane zakułaby go w kajdanki.

Pukam do drzwi i niemal natychmiast pojawia się Jackie z rozczochranymi włosami i śladami kredki do oczu na policzku. Zawsze uważałam ją za atrakcyjną kobietę – może nawet zbyt atrakcyjną – ale dziś widzę jedynie przerażoną matkę.

– Och, Angelo! Przyprowadziłaś ją! Dziękuję. Janie, nie mogę uwierzyć, że jesteś teraz detektywem. Pamiętam pewien dzień, kiedy

opiekowałaś się Tricią: wsadziłaś ją do kojca i powiedziałaś, że siedzi w więzieniu. Już wtedy aresztowałaś ludzi.

Jackie kontynuuje nerwową paplaninę, prowadząc nas do kuchni, gdzie siedzi Rick i czyta sportowe rubryki w gazecie. Choć można go nazwać przystojnym mężczyzną, który w wieku czterdziestu pięciu lat zachował nadal większość ciemnych włosów, nigdy mi się nie podobał, a już zwłaszcza w tym momencie. Ma przylizaną fryzurę, a spod mankietu koszuli wystaje złota bransoletka. Nie znoszę mężczyzn, którzy noszą bransoletki. Na widok Jane prostuje się na krześle. Może dlatego, że moja córka nosi na biodrze broń. Czasem kobieta zdobywa szacunek mężczyzny tylko wtedy, gdy ma spluwę.

Jackie podbiega do kuchenki, na której omal nie wykipiała zawartość garnka, i wyłącza palnik. Na stole leżą przygotowane dwa talerze i sterta sztućców. W kuchni czuć przypalone jedzenie, a kuchenka jest zabrudzona tłuszczem i brunatnym nalotem. Jej smętny wygląd dowodzi, jak bardzo zniknięcie córki zaburzyło porządek w tym domu.

– Proszę wybaczyć, pani Talley. Widzę, że siadają państwo do kolacji – odzywa się Jane.

– Nie, nie, proszę się tym nie przejmować. Pani wizyta jest dużo ważniejsza. – Jackie przysuwa krzesło. – Proszę usiąść. Kto by pomyślał, że nasza Janie ściga teraz przestępców! Jeśli ktoś może nam pomóc, to tylko ty.

– Ściślej mówiąc, to sprawa policji w Revere, ale spróbuję pomóc. – Jane siada, ostrożnie kładąc ręce na pełnym okruchów stole. – Mama mówi, że Tricia zniknęła w zeszłą środę.

– Kiedy się zbudziłam, nie było jej w pokoju. Łańcuch na frontowych drzwiach był zdjęty, więc wiem, że wyszła tamtędy. Przypuszczałam, że

poszła się spotkać z koleżankami, więc nie martwiłam się, póki nie zrobiło się naprawdę późno. Wtedy zawiadomiłam policję.

– Detektyw Saldana powiedział mi, że Tricia ukradła pieniądze z pani torebki. Ile?

Jackie porusza się niespokojnie.

– Nie wiem. Jakieś pięćdziesiąt dolarów.

– Ma pani pojęcie, dlaczego uciekła?

– Ostatnio niewiele ze mną rozmawiała. Kilka razy się posprzeczałyśmy.

– O co?

– O wszystko – wtrąca znużonym tonem Rick. – O jej oceny. O papierosy. O tak zwanych przyjaciół. Odkąd skończyła czternaście lat, w tym domu panuje piekło.

– To ty masz zawsze do niej pretensje, nie ja – wyrzuca Jackie.

– Zdaje się, że tym razem to na ciebie jest zła.

– Oczywiście, bo jestem jej matką. Nastolatki zawsze winią za wszystko matki. To normalne.

– Skoro to normalne, to jakim cudem dzieci nie są duszone przy porodach? – Rick wstaje i zabiera z blatu kluczyki do samochodu.

– Dokąd się wybierasz?

– Muszę spotkać się z Benem w sprawie tego projektu w Quincy. Mówiłem ci.

– A co z kolacją?

– Zjem coś po drodze. – Rick spogląda z niechęcią na Jane i żegna ją skinieniem głowy. – Dziękuję, że pani wpadła, ale chyba nie powinna pani się w to mieszać. Nie wiem, co wstąpiło ostatnio w tę dziewczynę, ale wróci do domu, jak zabraknie jej pieniędzy. Zawsze tak robi.

Milczymy wszystkie, gdy wychodzi z kuchni. Jakbyśmy nie ośmielały się powiedzieć czegoś, co mogłoby opóźnić jego wyjście. Kiedy słyszymy na podjeździe warkot jego samochodu, widzę niemal, jak z Jackie schodzi napięcie. Córka rzuca mi spojrzenie, które mówi: „Czemu ci ludzie są jeszcze małżeństwem?”. Ta sama myśl już nieraz przechodziła mi przez głowę. Między nimi nie zawsze tak było. Pamiętam, jak się przytulali i obejmowali, gdy się tu wprowadzili, zanim przyszła na świat Tricia. Dzieci mogą zrujnować małżeństwo.

– Zajrzałam na jej stronę na Facebooku, ale zablokowała mi dostęp. Uwierzysz w to? – skarży się Jackie. – Pytałam jej przyjaciół, ale wszyscy twierdzą, że nie mają pojęcia, gdzie jest. Nastolatki potrafią dotrzymywać swoich tajemnic. Mogła im powiedzieć, żeby nie mówili mi prawdy. – Ukrywa twarz w dłoniach. – Gdybym wiedziała, o co poszło… Dlaczego jest na mnie taka zła? To tak, jakby ktoś pstryknął nagle przełącznik. Wróciła we wtorek ze szkoły do domu, zaczęła mnie wyzywać od dziwek i zamknęła się w pokoju. A następnego dnia rano zniknęła.

– Gdzie była, kiedy uciekła poprzednim razem? – pyta Jane.

– U przyjaciółki. Nawet rodzice tej przyjaciółki nie wiedzieli, że tam jest i śpi w pokoju ich córki. Innym razem pojechała autobusem do Nowego Jorku. Dowiedziałam się o tym, dopiero gdy do mnie zadzwoniła i poprosiła, żebym przesłała jej pieniądze na bilet do domu.

Jane przez chwilę przygląda się Jackie, jakby próbowała zgadnąć, czego jej nie mówi. Co pomija.

– Jak pani sądzi, dlaczego jest na panią zła? – pyta w końcu cicho.

Jackie wzdycha i kręci głową.

– Wiesz, jaka ona jest. Zawsze była porywcza.

– Czy zdarzyło się coś w domu? Może między nią i ojcem?

– Rickiem? Nie, powiedziałaby mi.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie – odpowiada Jackie, ale potem odwraca głowę, przez co jej słowa nie wydają się przekonujące.

Myślę o Ricku Talleyu, z jego złotą bransoletką i przylizanymi włosami. Nie sądzę, by gustował w nastolatkach. Nie, wyobrażam go sobie raczej z efektowną kobietą z wydatnym biustem, wybuchającą gromkim śmiechem. Taką, jaką kiedyś była Jackie.

Jackie wpatruje się w zaplamiony stół z okruchami i widzę na jej twarzy pierwsze zmarszczki. Nie jest już tą samą energiczną kobietą, która przeprowadziła się tutaj osiemnaście lat temu, by podjąć pracę w liceum. Kiedy pojawiła się w sąsiedztwie, niespecjalnie ją lubiłam. Unikałam jej nawet, wiedząc, że przyciąga spojrzenia wszystkich mężczyzn w okolicy, w tym także mojego Franka. Ale teraz jest tylko przerażoną matką, uwięzioną w najwyraźniej nieszczęśliwym związku, i nie zagraża już mojemu małżeństwu, bo Franka schwytała w swoje szpony inna lalunia.

Jane i ja niewiele rozmawiamy, wracając razem do domu. Wieczór jest ciepły, okna pootwierane, słyszę więc docierające z mieszkań strzępy rozmów, brzęk naczyń i odgłosy telewizorów. Może nie jest to najlepsza dzielnica miasta, ale to moja okolica i w tych skromnych domach mieszkają ludzie, których znam. Z jednymi się przyjaźnię, z drugimi nie. Mijamy dom Leopoldów i widzę przez frontowe okno, że Larry i Lorelei siedzą obok siebie na białej kanapie i jedząc posiłek z tacek, oglądają telewizję. To coś, na co nigdy nie pozwalałam w moim domu, bo kolację należy jeść w stosowny sposób, przy stole w jadalni.

Ale każdy ma prawo postępować po swojemu. Nawet jeśli jest to niewłaściwe.

Docieramy do domu i widzę w oknie po drugiej stronie ulicy tego srebrnego lisa, Jonasa, który – rozebrany do pasa – podnosi ciężarki

w swoim salonie. Wszystkie te okna są jak ekrany telewizorów, gdzie rozgrywają się prawdziwe dramaty przed oczami tych, którzy chcą uważnie patrzeć. Kanał 2531: *Jonas, emerytowany komandos, walczy z nadciągającą starością!* Kanał 2535: *Leopoldowie na kanapie, para w średnim wieku, próbująca utrzymać przy życiu romantyczną miłość!* Kanał 2533: *Greenowie…*

Nie wiem, co powiedzieć o Greenach.

Ich żaluzje są jak zwykle zaciągnięte. Co jakiś czas dostrzegam tylko przesuwającą się w oknie sylwetkę i nie mam pojęcia, co się tam w środku dzieje.

– To ich dom – zwracam się do córki.

– Czyj?

– Tych ludzi, o których ci wspominałam. Szpiegów. A może uciekinierów.

Jane wzdycha.

– Jezu, mamo. Nie wyciągasz zbyt pochopnych wniosków?

– Oni są jacyś dziwni.

– Dlatego że nie jadają twojego chleba z cukinią?

– Dlatego że z nikim się nie kontaktują. Nie starają się zawierać znajomości z sąsiadami.

– Chronienie prywatności nie jest przestępstwem.

Ich czarny SUV jest zaparkowany na podjeździe. W garażu mieści się tylko jeden samochód, więc auto pana Greena stoi zawsze na zewnątrz i może je obejrzeć każdy przechodzień.

Idę na drugą stronę ulicy.

– Mamo! – woła Jane. – Co ty robisz?!

– Chcę tylko rzucić okiem.

Podąża za mną.

– Wiesz, że wchodzisz na cudzy teren.

– To tylko podjazd. Jak przedłużenie chodnika. – Przytykam twarz do szyby po stronie kierowcy, ale w środku jest zbyt ciemno, bym mogła cokolwiek zobaczyć. – Daj mi latarkę. Wiem, że zawsze masz ją przy sobie.

Jane wzdycha, sięgając do kieszeni po latarkę, i podaje mi ją. Przez kilka sekund nie udaje mi się jej włączyć. W końcu oślepia mnie błękitnobiały blask. Tego właśnie potrzebuję. Kieruję snop światła do wnętrza SUV-a i widzę nieskazitelnie czystą tapicerkę. Żadnych śmieci, papierów ani monet.

– Zadowolona? – pyta Jane.

– To nienaturalne, żeby w aucie było tak czysto.

– Może dla kogoś z rodziny Rizzolich. – Zabiera mi latarkę i wyłącza ją. – Wystarczy, mamo.

Żaluzje w salonie nagle się rozsuwają i obie zamieramy. Matthew Green wyłania się w oknie; jego barczyste ramiona przesłaniają niemal całe widoczne za nim światło. Przyłapał nas na podjeździe obok swojego SUV-a, ale nic nie robi, nie krzyczy przez okno. Patrzy tylko na nas w milczeniu, jak myśliwy obserwujący zwierzynę, i czuję, jak jeżą mi się włosy na karku.

Jane macha do niego niedbale, jak sąsiadka, która po prostu przechodziła obok, ale wiemy, że on nie daje się na to nabrać. Wie, co robiłyśmy. Jane chwyta mnie za ramię i ciągnie na chodnik, a potem na drugą stronę ulicy, do domu. Gdy wchodzimy po schodach na ganek, rzucam okiem za siebie.

Matthew Green nadal nas obserwuje.

– Cóż, to była sprawna akcja – mruczy Jane, gdy jesteśmy już w domu.

Zamykam drzwi i opieram się o nie z dudniącym sercem.

– Teraz wie, że mam go na oku – mówię.

– Pewnie już dawno wiedział.

Biorę głęboki oddech.

– On mnie przeraża, Jane.

Podchodzi do okna w salonie i patrzy przez ulicę na Greena, który wciąż nas obserwuje. Oboje wpatrują się w siebie przez chwilę, jakby odbywali pojedynek na spojrzenia.

Potem sąsiad zaciąga żaluzje i znika z pola widzenia.

– Janie?

Córka odwraca się do mnie i widzę niepokój na jej twarzy.

– Możesz po prostu trzymać się od tych ludzi z daleka? Będzie im z tym lepiej. I mnie także.

– Ale widzisz teraz, co mam na myśli, prawda? Jest w nich coś dziwnego. Dlaczego ciągle mnie unikają?

– Jezu, nie mam pojęcia. – Spogląda na zegarek.

– A co z Tricią? Co zamierzasz zrobić w jej sprawie?

– Zadzwonię na policję w Revere i zobaczę, czy mają jakieś nowe informacje. Ale na razie skłonna jestem sądzić, że po prostu uciekła z domu. Najwyraźniej jest wkurzona na matkę, zabrała jej pieniądze z torebki i robiła to już wcześniej kilka razy.

– Moim zdaniem, kiedy nastolatka ucieka z domu, trzeba przyjrzeć się jej ojcu.

– Ma problemy raczej z matką.

– Więc jak ją odnajdziemy?

Jane kręci głową.

– Nie będzie łatwo, jeśli ona nie chce, by ją odnaleziono.

◘ ◘ ◘

– Nigdy nie lubiłem zbytnio Ricka Talleya – mówi Jonas, gdy siedzimy we czworo w moim salonie, rozrzucając na stole płytki scrabble’a. – Taka atrakcyjna kobieta jak Jackie zasługuje na kogoś lepszego niż facet, który ciągle zmienia pracę, bo w żadnej nie wytrzymuje dłużej. To prawdopodobnie Jackie przynosi do domu więcej pieniędzy. Pewnie w szkole nieźle zarabia. Hej, Larry?

Larry Leopold tylko odchrząkuje i sięga po siedem nowych płytek. Jak zwykle wygrał ostatnią rundę, dzięki potrójnej punktacji za umieszczenie na premiowanym polu słowa *zymaza*. Musiałam sprawdzić je w słowniku, żeby się upewnić, czy naprawdę istnieje, i owszem, było w Websterze. Każdy wykorzystałby literę Z, by ułożyć słowo *zoo* albo *zamek*. Albo, w chwili inspiracji, *zen*. Ale Larry, który uczy w liceum angielskiego, lubi się przed nami popisywać. Co strasznie irytuje Jonasa, który nie znosi, gdy ktoś w czymkolwiek jest od niego lepszy. Wie, że nie pokona Larry’ego w scrabble’u, skupia więc gniew na Ricku Talleyu, którego tu nie ma, więc nie może się bronić.

– Kiedy się tutaj przeprowadziłem, Jackie przyszła od razu się przywitać – dodaje Jonas. – Była urocza, zaprosiła mnie do siebie na kawę. Poszedłem do niej i rozmawialiśmy przez godzinę. Potem wrócił Rick i mówię wam, gdybym nie był taki krzepki, jaki jestem, pewnie by mnie walnął.

– Nie mówisz poważnie – rzuca Lorelei. – Naprawdę myślał, że podrywasz Jackie?

Jonas wypręża tors. Gdyby miał na piersiach wszystkie swoje wojskowe medale, usłyszelibyśmy brzęk metalu.

– Niektóre kobiety wolą twardzieli. A Rick do nich nie należy. Jest raczej śliski i gładki jak nieowłosiona… – Jonas przerywa i puszcza do mnie oko. – Nie będę się wyrażał przez wzgląd na obecność pań.

Wszyscy przyglądamy się nowym zestawom płytek z literami. Znów fatalnie trafiłam. Trzy razy E, dwa L, po jednym K i R. Przychodzi mi do głowy tylko *lek* albo *kler*.

– W tym domu zdecydowanie źle się dzieje – stwierdza Lorelei.

– Oczywiście. Ich córka uciekła – zauważa jej mąż.

– Nie, chodzi o coś innego. Wczoraj wpadłam tam, żeby zostawić petycję przeciwko pestycydom. Gdy stałam na ganku, usłyszałam ich krzyki. Jackie wrzeszczała, że Rick musi się wyprowadzić, a on się darł, że raczej ona powinna to zrobić. Nic dziwnego, że Tricia uciekła z domu. Kto zniesie takie awantury?

– Kiedy się tu sprowadzili, wydawali się szczęśliwi – mówię. – Jak normalna para.

– Szczęśliwa znaczy normalna? – mruczy Larry.

Jonas układa na planszy słowo. *Laska*.

– Poprzednim razem ułożyłeś *biust* – zauważa Lorelei. – Jezu, Jonas, nie potrafisz myśleć o niczym innym?

– To *laska* w znaczeniu „kij”. – Jonas uśmiecha się drwiąco. – To ty masz jakieś nieprzyzwoite skojarzenia, Lorelei.

– Bo wiem dokładnie, o czym myślisz.

– Ha! Chciałabyś.

Larry odchrząkuje z zadowoleniem, kładąc na planszy siedem płytek. Wykorzystuje jedną z liter B Jonasa i układa słowo *bazylika*, uzyskując upragnioną podwójną punktację. Rozlega się zbiorowy jęk.

– Twoja kolej, Angie.

Gdy wpatruję się w mój żałosny zestaw płytek, okno salonu rozświetla nagle czerwony blask tylnych świateł samochodu. Podnoszę wzrok i widzę, jak czarny SUV Matthew Greena zatrzymuje się pod jego domem. Green

wysiada, staje na podjeździe i patrzy w moim kierunku. Obserwuje mój dom.

– Hej, Angie, jesteś tutaj? – pyta Jonas, machając mi ręką przed twarzą.

Patrzę na swoje płytki i nagle przychodzi mi na myśl słowo, które działa na mnie jak kubeł lodowatej wody. Przełykam z trudem ślinę i układam je na planszy, wykorzystując literę I z ostatniego słowa Larry'ego.

KILLER.

Green znika w swoim domu.

– Co za dziwni ludzie – mruczę, gdy jego sylwetka przesuwa się na tle okna. – Czy ktoś z was był w ich mieszkaniu?

– Masz na myśli Greenów? – Lorelei kręci głową. – Ani razu nas do siebie nie zaprosili. A są naszymi najbliższymi sąsiadami.

– Cóż, nie byłem też nigdy w domu Jonasa – mówi Larry. – Widziałem tylko jego podwórko.

Jonas śmieje się.

– Nie chcę, żebyś zobaczył zwłoki, które trzymam w piwnicy.

– Ci ludzie są tacy niesympatyczni. Nie byłabym zdziwiona, gdyby mieli trupy w piwnicy. – Lorelei pochyla się ku mnie z konspiracyjnym błyskiem w oku. – Wiesz, co widziałam któregoś dnia?

– Co? – pytam.

– Byłam na balkonie na piętrze i zauważyłam przypadkiem, jak Green instaluje na tarasie z tyłu kamerę.

– Skierowaną na podwórze? Po co?

– Nie wiem. Zobaczył mnie i od razu wszedł do środka. To dziwne, że do tego domu nigdy nie można zajrzeć. Wszystkie okna są szczelnie zasłonięte, nawet w ciągu dnia. A ona prawie w ogóle się nie pokazuje. Jakby się tam ukrywała. Albo nie mogła wychodzić.

Spoglądam na planszę scrabble’a, na moje słowo *killer* i czuję nagle skurcz w żołądku. Wstaję od stołu.

– Chyba otworzę wino, które przyniósł Jonas.

Jonas podąża za mną do kuchni.

– Pozwól mi to zrobić – mówi. – Jestem starym wygą, jeśli chodzi o otwieranie butelek.

– A ja niby nie?

– Ty w żadnym sensie nie jesteś stara, skarbie.

Sięgam do szuflady po korkociąg i czuję nagle jego rękę na swoim tyłku.

– Hej!

– Och, Angie. To tylko takie czułe klepnięcie.

Odwracam się do niego i czuję wyraźny zapach jego wody po goleniu. Sosnowa woń jest tak odurzająca, jakbym miała przed sobą bożonarodzeniową choinkę. Jonas jest bez wątpienia przystojny, opalony, ma ładne zęby i gęstą czuprynę siwych włosów. I muskuły. Ale zdecydowanie przesadza.

– Wiesz, że mam faceta – mówię.

– Masz na myśli tego Korsaka? Ostatnio go tutaj nie widuję.

– Jest u siostry w Kalifornii. Wróci, jak tylko siostra odzyska siły po operacji biodra.

– A tymczasem ja tu jestem. Tu i teraz. – Zamierza mnie pocałować.

Chwytam korkociąg i macham mu nim przed nosem.

– Otwórz to wino – rzucam.

Patrzy na korkociąg, potem na mnie i wzdycha zawiedziony.

– Och, Angie. Jesteś taka zachwycająca i mieszkasz po drugiej stronie ulicy. Tak blisko, a jednak tak daleko.

– Bardzo daleko.

Czuję ulgę, gdy Jonas wybucha beztroskim śmiechem.

– Nie wiń faceta, że próbuje. – Puszcza do mnie oko i otwiera butelkę. – Chodź, kochanie, niech Larry znowu nas ogra.

◘ ◘ ◘

Tej nocy jeszcze długo po wyjściu gości jestem oszołomiona umizgami Jonasa. Muszę przyznać, że cholernie mi schlebiają. Jonas jest kilka lat starszy od Vince’a, ale za to szczuplejszy, sprawniejszy i nie ukrywam, że taki komandos może kobiecie zawrócić w głowie. Wkładam brudne kieliszki do zmywarki, gaszę światło w kuchni i idę do sypialni. Przeglądam się w lustrze. Mam zaczerwienioną twarz i włosy w lekkim nieładzie. Dokładnie tak się czuję: w lekkim nieładzie. Na skraju… czego? Flirtu? Romansu?

Rozbrzmiewa dzwonek u drzwi. Zastygam przed lustrem, myśląc: wrócił Jonas. Wie, że wytrącił mnie z równowagi, i sądzi, że być może mu ulegnę.

Idąc do drzwi, czuję, jak pieką mnie policzki i pulsują nerwy. Ale na ganku nie stoi Jonas, tylko Rick Talley. Wydaje się wyczerpany. Widzi mnie przez okienko w przedpokoju, więc nie mogę udawać, że nikogo nie ma w domu. Ani odmówić grzecznie otwarcia drzwi. My, kobiety, jesteśmy, cholera, zbyt uprzejme. Nie chcemy ranić niczyich uczuć, nawet jeśli grozi nam to uduszeniem.

– Angie – mówi, gdy otwieram drzwi. – Byłem w drodze do domu i zobaczyłem, że pali się jeszcze u ciebie światło. Pomyślałem, że wpadnę i osobiście ci to powiem.

– Co takiego?

– Przed chwilą dostałem wiadomość od Tricii. Pisze, że zatrzymała się chwilowo u przyjaciółki. Możesz więc zawiadomić Jane, że nie musi się angażować w tę sprawę.

– Czy Jackie o tym wie?

– Oczywiście! Zadzwoniłem do niej, jak tylko dostałem wiadomość. Obojgu nam ulżyło.

– Napisała do ciebie, a nie do matki? – Nie potrafię pozbyć się nuty sceptycyzmu w głosie.

Wyciąga telefon i przysuwa mi go tak blisko do twarzy, że się wzdrygam.

– Widzisz?

Widzę słowa, które każdy mógłby wystukać na telefonie Tricii. *W domu do dupy, jestem u przyjaciółki. Powiem ci wszystko, jak będę gotowa. Uściski.*

– Nie ma się więc czym martwić – dodaje Rick.

– Z nastolatkami zawsze jest jakiś powód do zmartwienia.

– Ale policja nie musi się tym zajmować. Przekaż to córce.

Wsiada do camaro, którego zostawił z uruchomionym silnikiem przy krawężniku, rusza na pełnym gazie i jedzie w kierunku swego domu.

Stoję na ganku, obserwując z uniesionymi brwiami oddalające się tylne światła. Zastanawiam się, czy powinnam zadzwonić do Jackie, by potwierdzić jego słowa. Choć oczywiście opowiedział jej pewnie to samo, pokazał tę samą wiadomość od córki.

Zakładając, że to Tricia ją wysłała.

Z okna po drugiej stronie ulicy przenika smuga światła. Któreś z Greenów wygląda przez żaluzje i niemal czuję na sobie wzrok przypatrującej mi się pary oczu. Natychmiast wycofuję się do domu.

Patrząc przez okno z pogrążonego w mroku salonu, widzę szereg tych samych domów, które zawsze tam stały, tę samą ulicę, przy której mieszkam od czterdziestu lat. Ale tego wieczoru wszystko wydaje się inne, jakbym znalazła się w równoległym świecie i spoglądała właśnie na złowrogie lustrzane odbicie mojej dawnej dzielnicy, gdzie każdy dom, każda rodzina ukrywa jakąś tajemnicę.

Zasuwam rygiel. Na wszelki wypadek.

# Rozdział dziewiąty

## Jane

Trzy włamania w ciągu czterech miesięcy nie oznaczały jeszcze serii przestępstw w okolicy, ale stanowiły już pewną prawidłowość. Rizzoli siedziała przy biurku, porównując trzy raporty policyjne – szukała podobieństw między tymi włamaniami a napaścią na Sofię Suarez. Jednym z napadów był ten, o którym opowiadała im Lena Leong: zuchwałe wtargnięcie przez niezabezpieczone okno, podczas gdy mieszkańcy spali. Włamywacz zgarnął torebkę z pieniędzmi i kartami kredytowymi oraz laptop Lenovo, ale nie tknął biżuterii ani telefonów komórkowych, które znajdowały się w sypialni. Nie zdobył się na taką bezczelność. Na ziemi pod oknem, przez które wszedł, był odcisk buta Nike, rozmiar czterdzieści cztery. Odcisków palców na ramie okiennej nie udało się zidentyfikować.

Cztery tygodnie później te same odciski pojawiły się w sprawie włamania numer dwa, w domu za rogiem. Tym razem właścicieli nie było w mieszkaniu. Sprawca wszedł znów przez niezabezpieczone okno. Skradziono gotówkę, biżuterię i komputer MacBook Pro.

Kolejny laptop. Czy to miało jakieś znaczenie, czy wynikało po prostu z tego, że taki przenośny sprzęt był teraz w każdym domu?

Rizzoli przeszła do trzeciego włamania, które zdarzyło się sześć tygodni później, w domu Dolanów. Znów właścicieli nie było w domu. Tym razem złodziej wszedł przez kuchenne okno i do policyjnego raportu dołączono zrobione przez pana Dolana zdjęcie potłuczonego szkła na podłodze i blatach. Skradziono gotówkę i kilka zegarków, ale nie laptop, bo właściciel domu z nim podróżował. Na podwórku znaleziono odcisk buta

Nike rozmiar czterdzieści cztery. Tym razem nie wykryto żadnych odcisków palców. Może włamywacz dojrzał do noszenia rękawiczek.

Przyjrzała się fotografii stłuczonej kuchennej szyby i pomyślała o odłamkach szkła w kuchni Sofii Suarez. Wyszukała zdjęcia z miejsca zbrodni i zaczęła je przeglądać. Odnalazła te z rozbitą szybą w drzwiach i kilkoma jej fragmentami leżącymi na podłodze, ale były tam tylko dwie fotografie żwirowanego podwórka z lśniącymi odłamkami szkła. Obejrzała ponownie zdjęcie z włamania u Dolanów i uniosła brwi na widok ilości szkła rozrzuconego na podłodze w ich kuchni.

Muszę tam wrócić, pomyślała.

Frost skończył już tego dnia pracę, pojechała więc sama na miejsce zbrodni. Było tuż po szóstej, gdy dotarła do celu i wysiadła z samochodu. Dom Suarez został już uprzątnięty i wysterylizowany przez specjalistyczną ekipę, ale mopy i wybielacze nie były w stanie usunąć obrazów z pamięci Rizzoli. Prześladowały ją nadal, gdy wchodziła po schodach na ganek i otwierała frontowe drzwi.

W powietrzu unosił się ostry zapach chemikaliów, zostawiła więc otwarte drzwi, by przewietrzyć dom. Przystanęła w salonie. Widok nieskazitelnie czystej teraz podłogi przywołał wspomnienia rozmazanych plam krwi z jej pierwszej wizyty. Nadal widziała leżący tam stetoskop i krwawy ślad, który zostawiła Sofia, gdy próbowała odczołgać się od napastnika. Rizzoli podążyła tym zapamiętanym śladem przez salon, obok pustego miejsca, gdzie wcześniej stało akwarium, do jadalni. Nawet tutaj, gdzie pod ciałem rozlała się kałuża krwi, podłoga była teraz nieskazitelnie czysta.

Ekipa sprzątająca dobrze się spisała.

Rizzoli przeszła dalej, do kuchni. Wolałaby, żeby akurat tego pomieszczenia nie wysprzątano zbyt dokładnie, lecz podłoga została

zamieciona i oczyszczona z proszku do wykrywania odcisków palców. Wybitą szybę w drzwiach zastąpiono dyktą, która blokowała dostęp ostatnich promieni słońca, i pomieszczenie wydawało się zabarykadowane. Pozbawione powietrza.

Otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na tylne podwórko; żwir zachrzęścił pod jej stopami. Tędy, jak zakładali, zabójca dostał się do domu. Wybił szybę w drzwiach i sięgnął do środka, by odsunąć rygiel. Pamiętała odłamki rozbitego szkła na żwirze, a także na podłodze w kuchni, teraz już ich jednak nie było. Powinna była dokładniej się im wtedy przyjrzeć, ale skupiła uwagę na zwłokach i śladach krwi wiodących z salonu. Próbowała ustalić, kiedy zadano pierwszy cios. Jak zaczął się atak i jak się zakończył.

Przykucnęła i zaczęła przeszukiwać wzrokiem żwirowane podwórko, ale ekipa sprzątająca oczyściła je starannie ze wszystkich odłamków. Kiedy Rizzoli w końcu dotarła do płotu, zobaczyła tam jakiś błysk. Wyjęła ostrożnie kawałek szkła ze sztachety i umieściła go w plastikowej torebce. Odwróciła się i spojrzała na kuchenne drzwi, które były dobre dwa metry dalej. Odłamek nie upadł tam tak po prostu. Był wbity w drewno.

Stała, nasłuchując brzęczenia owadów i odgłosów ruchu ulicznego. Nawet tutaj, w otoczeniu domów, samochodów i miliona ludzi, człowiek mógł być całkowicie samotny. Czuła, jak wali jej serce, i słyszała szum krwi w uszach, gdy myślała o wybitych szybach, rozrzuconych odłamkach szkła i skradzionych laptopach.

I o podobieństwach. Może istniały, a może nie.

Podskoczyła, słysząc głośne stuknięcie. Frontowe drzwi. Czy ktoś był w domu?

Wróciła do kuchni, przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Słyszała szum lodówki, tykanie zegara ściennego. Nie ma czegoś takiego jak bezgłośny dom. Przeszła do jadalni i znów się zatrzymała. Zdała sobie sprawę, że stoi

dokładnie w tym miejscu, w którym Sofia wydała ostatnie tchnienie. Gdy spojrzała na podłogę, przypomniała sobie widok ciała leżącego tam, gdzie były teraz jej stopy.

Poszła do salonu i przystanęła obok miejsca, gdzie znajdowało się akwarium z bulgoczącą pompą wodną i złotą rybką o wyłupiastych oczach. Frontowe drzwi, które zostawiła szeroko otwarte, były teraz zamknięte. Pomyślała, że zatrzasnął je przeciąg. Nie było powodu do paniki.

Na wszelki wypadek przeszła jednak przez cały dom. Zajrzała do sypialni, szaf, łazienki. Nie było tam nikogo, a jednak czuła obecność osób, które kiedyś tu mieszkały, czuła ich spojrzenia, obserwujące ją z fotografii na ścianach. Dawniej był to szczęśliwy dom. Dawniej…

Wyszła na zewnątrz i wciągnęła głęboko powietrze. Nie czuła już detergentów, tylko znajomy zapach skoszonej trawy i spalin. Nie znalazła odpowiedzi na żadne pytania, za to pojawiły się nowe. Miała w kieszeni plastikową torebkę z dowodem z miejsca zbrodni, odłamkiem szkła, który przeoczyli technicy kryminalistyczni. Mógł to być fragment szyby z kuchennych drzwi. Poleciałby na taką odległość, gdyby wybito ją… od środka.

A to by wszystko zmieniało.

# Rozdział dziesiąty

## Angela

Słyszę uderzenia młotka nawet przez ulicę. W domu Greenów coś się dzieje, coś, co wygląda coraz bardziej złowieszczo; mają stale zaciągnięte żaluzje w oknach. Stoję w salonie, gapiąc się przez lornetkę, i próbuję dostrzec któreś z nich, ale pozostają uparcie niewidoczni, podobnie jak ich czarny SUV, zaparkowany teraz w garażu. Musieli zwrócić furgonetkę do wypożyczalni, bo nie stoi już przed domem. Nigdy nie udało mi się zobaczyć, co w niej było, bo Matthew Green rozładowywał ją pod osłoną nocy – to kolejny szczegół, który wzbudza moje podejrzenia, ale chyba tylko ja się tym przejmuję.

Odkładam lornetkę i chwytam za telefon. Vince pracował trzydzieści pięć lat jako policyjny detektyw. Będzie wiedział, co robić. W Kalifornii jest trzy godziny wcześniej i pewnie skończył już śniadanie, więc to idealna pora, by z nim porozmawiać.

Odpowiada po piątym sygnale.

– Hej, kochanie! – wita mnie radośnie, ale znam go wystarczająco dobrze, by wyczuć zmęczenie w jego głosie. Jakby próbował przede mną ukryć, w jakim jest stresie. To cały mój Vince: zawsze chce ustrzec mnie od zmartwień. Właśnie dlatego go kocham.

– Wszystko w porządku, skarbie? – pytam.

Milczy przez chwilę, a potem wzdycha.

– Powiem ci, że ona nie jest łatwą pacjentką. Latam po tych schodach, żeby miała wszystko, a i tak nigdy nie jest zadowolona. I narzeka, że źle

gotuję.

Co do tego ma rację, myślę, ale mówię tylko:

– Jesteś dobrym bratem, Vince. Najlepszym.

– No cóż, staram się. Ale tęsknię za tobą, skarbie.

– Ja za tobą też. Chcę, żebyś wrócił do domu.

– Dobrze się sprawujesz?

Co za dziwne pytanie!

– Czemu o to pytasz? – rzucam.

– Rozmawiałem z Jane i…

– Dzwoniła do ciebie?

– Owszem. Uznała, że musi mnie zawiadomić o pewnych faktach. Na przykład o tym, że wtrącasz się w sprawy, którymi nie powinnaś się zajmować.

– W tym sęk, Vince. Jane nie traktuje mnie poważnie, a ja chciałabym naprawdę poznać twoją opinię.

– Chodzi o tę zaginioną dziewczynę?

– Nie, to na razie odkładam na bok. Chodzi o tę nową parę z naprzeciwka, o Greenów. Jeszcze ich nie poznałeś.

– Tych odludków?

– Właśnie. Coś jest z nimi nie tak. Dlaczego czekali do zmroku, żeby rozładować furgonetkę przy przeprowadzce? Dlaczego mają przez cały dzień zaciągnięte żaluzje? Czemu mnie unikają?

– Boże, Angie, nie mam pojęcia – odpowiada i mam wrażenie, że słyszę sarkazm w jego głosie, ale nie jestem tego pewna. – A co na to Jane?

– Mówi, żebym się odczepiła. Nie chce mnie słuchać, bo jestem jej matką, a zdanie własnej matki nikogo nie interesuje. Chciałabym, żebyś tu był i pomógł mi w tej sprawie.

– Też chciałbym być przy tobie, ale może powinnaś posłuchać córki. Ma dobre wyczucie, jeśli chodzi o takie sytuacje.

– Podobnie jak ja.

– Ale ona ma odznakę. A ty nie.

I dlatego nikt mnie nie słucha. Przez brak odznaki. Gliniarze myślą, że tylko oni potrafią wywęszyć problem. Kończę rozmowę, głęboko rozczarowana zarówno córką, jak i moim facetem. Wracam do okna i wyglądam na ulicę.

Żaluzje są nadal zaciągnięte i znów słychać uderzenia młotka. Co on tam przybija? Przenoszę nagle wzrok na sąsiedni dom. W przeciwieństwie do Greenów, Jonas ma szeroko rozsunięte zasłony i ćwiczy mięśnie, stojąc w oknie bez koszuli, widoczny dla wszystkich. Przyglądam mu się przez chwilę, nie dlatego, że ma imponujące ciało jak na mężczyznę w jego wieku, lecz dlatego, że myślę o przyjęciu z grillem, które urządził dla sąsiadów na swoim podwórku w sierpniu zeszłego roku. Przypominam sobie, jak stałam na patio, pijąc zmrożoną margaritę i zerkając przez ogrodzenie na dom jego ówczesnego sąsiada, Glena, który był chudy jak szczapa z powodu raka żołądka i umarł dwa tygodnie później. Pamiętam, jak Jonas i ja kręciliśmy głowami, myśląc o tym, że życie jest okrutne, bo gdy my grillowaliśmy hamburgery, biedny Glen z sąsiedztwa zmuszony był pić odżywcze preparaty.

Nie mogę zajrzeć na podwórko Greenów, ale Jonas może.

Idę do kuchni i wyciągam z zamrażalnika chleb z cukinią. Nie mogę wpadać do Jonasa z pustymi rękami. Potrzebuję „złotego biletu”, a w przypadku mężczyzn nie ma nic lepszego niż wypieki.

Pukam do jego frontowych drzwi i po chwili otwiera je, ubrany jedynie w obcisłe niebieskie szorty z czerwonymi lampasami. Uśmiecha się do

mnie szeroko, a ja jestem tak zaszokowana widokiem spodenek przylegających ściśle do jego bioder, że nie wiem, co powiedzieć.

– Czyżbyś w końcu uległa mojemu urokowi? – pyta.

– Co? Nie! Miałam to w zamrażalniku. Muszę w nim zrobić miejsce, więc pomyślałam, że może miałbyś ochotę… hm…

– Pomóc ci opróżnić zamrażalnik?

Cóż, w ten sposób pryska cały czar poczęstunku. Stoję w progu z rozmrażającym się już chlebem z cukinią, zastanawiając się, jak ocalić konwersację.

Jonas przychodzi mi z pomocą, śmiejąc się głośno.

– Angie, po prostu się z tobą droczę. Czuję się zaszczycony twoim poczęstunkiem, bez względu na to, czy chleb jest zamrożony, czy nie. Chcesz wejść? Odkroję dla nas po kromce i możemy napić się whisky.

– Hm… za whisky dziękuję, ale chętnie wejdę.

Gdy tylko przekraczam próg, zaczynam mieć poczucie, że ta wizyta może się źle skończyć. A jeśli zrozumie to niewłaściwie? Jeśli pomyśli, że uległam jego umizgom sprzed paru dni? Puszcza do mnie oko i lustruje mnie spojrzeniem od stóp do głów. Muszę wyraźnie mu powiedzieć, po co przyszłam.

– Zaniosę to do kuchni – oznajmia. – A potem możemy oboje delektować się miłym popołudniem, prawda?

Idzie do kuchni, zostawiając mnie samą w salonie. Zmierzam wprost do okna, które wychodzi na podwórko, ale wcale nie widać stamtąd lepiej wnętrza domu Greenów niż ode mnie, bo żaluzje po tej stronie również mają zaciągnięte. Wycofuję się i niemal potykam o hantle Jonasa. Są rozrzucone po podłodze, a powietrze przesyca woń potu zmieszana z zapachem wody kolońskiej. W salonie nie ma obrazów na ścianach ani żadnych innych ozdób; stoi tylko telewizor z dużym ekranem, szafka ze

sprzętem elektronicznym i regał pełen płyt DVD oraz książek z dziedziny wojskowości.

– Proszę, sąsiadko! – odzywa się Jonas, wkraczając boso do salonu. Ma ogromne stopy i ich rozmiar przez chwilę przykuwa moją uwagę, więc nie zauważam początkowo, że trzyma dwie szklanki whisky z lodem.

– Nie, dziękuję – rzucam.

– To najlepsza whisky, prosto ze Szkocji. Namówiłem na nią nawet twoją sąsiadkę Agnes.

– Pijecie razem?

– Nie dyskryminuję nikogo ze względu na wiek. Lubię wszystkie kobiety.

Podnosi szklankę i puszcza do mnie oko.

– Za wczesna pora, Jonas.

– Gdzieś na świecie jest piąta.

– Ale nie tutaj.

Wzdycha i odstawia przeznaczoną dla mnie szklankę na stolik.

– Więc po co przyszłaś, Angie? Jeśli nie po to, by zabawić się ze swoim wielbicielem?

– Mam być szczera?

– Zawsze.

– Masz stąd widok na podwórko Greenów.

– I co z tego?

– Muszę się dowiedzieć, co oni knują.

– Dlaczego?

– Bo mam w związku z nimi niedobre przeczucia. Od rana słychać tam jakieś wiercenie i uderzenia młotka. Chcę tylko zajrzeć przez płot i sprawdzić, co się tam dzieje.

– A potem się ze mną napijesz?

– Jasne – odpowiadam, nie zastanawiając się nad konsekwencjami tej obietnicy. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co robią jego sąsiedzi.

Jonas prowadzi mnie przez kuchnię na podwórko. Niewiele tam zrobił, odkąd kupił dom, i wygląda ono mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy mieszkali tu Daly'owie. Zachwaszczony trawnik, cementowe patio, gazowy grill i kilka zaniedbanych krzewów na obrzeżu. Jedynym nowym dodatkiem jest szopa na narzędzia. Daly'owie ogrodzili podwórko, żeby nie uciekł ich golden retriever, ale pies i tak regularnie uciekał. Płot z sekwoi jest nadal w dobrym stanie, a teraz wieńczy go jeszcze nowa kratownica, zasłaniająca widok na podwórko Greenów.

– Ty założyłeś tę kratownicę? – pytam Jonasa.

– Nie. Zrobił to wczoraj sąsiad. Zauważyłem ją, gdy wróciłem z zakupów. W sumie wygląda dość stylowo, nie sądzisz?

Słychać odgłos wiertarki, a potem znów stukanie młotka.

– Nic nie widzę – mruczę.

– Chcesz popatrzeć? Mogę to załatwić. – Jonas daje nura do szopy z narzędziami i wyłania się z drabiną. Stawia ją przy płocie. – Łaskawa pani!

Chociaż stanął dokładnie w miejscu, z którego może się gapić na mój tyłek, wspinam się na drabinę i unoszę ostrożnie głowę, by zajrzeć na drugą stronę. Przez chwilę widzę tylko otwartą klapę piwnicy i worek cementu pod ścianą. Potem spoglądam w okna na piętrze wychodzące na podwórko i widzę, co jest powodem tych wszystkich hałasów.

Kraty. Matthew Green zakłada w oknach kraty.

Zainstalował je już na parterze, a teraz przeniósł się na piętro; na balkonie stoi otwarta skrzynka z narzędziami. Wpatruję się w kraty,

zastanawiając się, po co to robi. Jakiego włamania się obawia? Co ma w tym domu tak cennego, że musi zamieniać go w Fort Knox?

Przemyka mi przez głowę myśl, która mrozi krew w żyłach. A może te kraty nie mają służyć temu, by nikt nie mógł tam wtargnąć, lecz by uwięzić kogoś wewnątrz? Myślę o jego żonie. Dlaczego w ogóle jej nie widujemy?

Nagle otwierają się drzwi balkonowe i wyłania się Matthew Green. Schylam się, by mnie nie zobaczył.

– Co? Co? – szepcze Jonas.

– Nie uwierzysz w to.

– Daj zobaczyć.

Jonas jest krępy, ale niewiele wyższy ode mnie, muszę więc zejść z drabiny, żeby mógł się na nią wspiąć. Rzuca tylko okiem i natychmiast się pochyla.

– Chyba mnie zauważył – mówi.

– Uuu…

Przykucamy oboje przy płocie i nasłuchujemy. W sąsiedztwie zaległa głucha cisza. Serce wali mi jak młotem, gdy wytężam słuch. Po kilku minutach znów rozbrzmiewa odgłos wiertarki.

Odpycham Jonasa na bok i ponownie wchodzę na drabinę, by jeszcze raz tam zajrzeć. Czuję ulgę, widząc, że Green pracuje teraz odwrócony plecami, nie widzi mnie więc, zakładając kolejną kratę z kutego żelaza na balkonowym oknie. Coś przyciąga moje spojrzenie, coś, co dostrzegam dopiero wtedy, gdy pochyla się do przodu, by sięgnąć do skrzynki z narzędziami.

Gdy zaczynam się chwiać, chwytam się płotu, by utrzymać równowagę, i nie dość szybko reaguję, kiedy Green raptownie się odwraca i patrzy na mnie.

Wprost na mnie.

Złapana na gorącym uczynku, mogę jedynie odwzajemniać jego spojrzenie. Mijają sekundy, a ja nadal patrzę, podczas gdy on wchodzi do domu i zamyka drzwi.

Schodzę z drabiny, czując, jak drżą mi nogi.

– Co się dzieje? – pyta Jonas z uniesionymi brwiami. – Co zobaczyłaś?

– Muszę zadzwonić do córki.

# Rozdział jedenasty

## Jane

Przeciętny amerykański użytkownik telefonu komórkowego wykonuje lub odbiera miesięcznie dwieście pięćdziesiąt połączeń i pod tym względem Sofia Suarez nie była wyjątkiem, sądząc z jej billingu z poprzedniego roku. Rizzoli siedziała przy biurku i przeglądała roczny wykaz rozmów Sofii, szukając jakiejkolwiek pozycji, która wyróżniałaby się czymś niezwykłym, nazwiska, które zapaliłoby w jej głowie czerwoną lampkę, ale nic nie zwróciło jej uwagi. Były tam wielokrotne połączenia ze szpitalem Pilgrim, w którym pracowała, do fryzjerki i operatora kart kredytowych, do hydraulika czy warsztatu samochodowego. A przed listopadem wiele rozmów z mężem. Lista połączeń dowodziła, że Sofia była zwyczajną kobietą – raz w miesiącu chodziła do fryzjerki, jej samochód wymagał regularnie wymiany oleju, a zlew czasem się zatykał.

Gdy Rizzoli przeglądała listę, Frost robił to samo przy swoim biurku, żeby billing zlustrowały dwie pary oczu.

W listopadzie liczba połączeń nagle wzrosła. Sofia dzwoniła wtedy głównie pod jeden numer: do szpitala Pilgrim, gdzie jej mąż leżał na oddziale intensywnej opieki. Był to zapis jej narastającej rozpaczy, gdy dowiadywała się ciągle o stan Tony’ego.

Czternastego grudnia telefony do szpitala nagle ustały. Tego dnia jej mąż zmarł.

Rizzoli wyobrażała sobie dni poprzedzające tę datę, ataki paniki, jakie Sofia musiała przeżywać za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Jako pielęgniarka dostrzegała oznaki, że stan jej męża nie jest dobry. Widziała

nadciągający koniec. Rizzoli znów przypomniała sobie uśmiechnięte twarze tej pary na ślubnej fotografii, co przypomniało jej, że nawet w najszczęśliwszych chwilach za rogiem zawsze czai się tragedia.

Zostawiła ten smutny miesiąc i przeszła do billingu ze stycznia. Lutego. Marca. Połączenia ze szpitalem Pilgrim, zarówno wychodzące, jak i przychodzące, telefony do dentysty i do Jamala Birda. Żadnych niespodzianek. Przy połączeniach z kwietnia Rizzoli się zatrzymała. Tu nastąpiła nagła zmiana – pojawiła się seria nowych numerów. W ciągu ostatnich tygodni życia Sofia Suarez dzwoniła do ludzi i miejsc, z którymi nigdy wcześniej się nie kontaktowała.

Rizzoli obróciła się na krześle w kierunku partnera.

– Kwiecień – powiedziała. – Doszedłeś już do tego?

– Jeszcze nie. Dlaczego pytasz?

– Spójrz na datę dwudziestego kwietnia. Dzwoniła do niejakiego Gregory’ego Boucharda z Sacramento w Kalifornii.

Frost przeszukał billing i znalazł tę datę.

– Widzę. Rozmowa trwała pięćdziesiąt pięć sekund. Niezbyt długo. Kim jest ten Bouchard?

– Dowiedzmy się. – Podniosła słuchawkę telefonu na biurku i wystukała numer. Po trzecim sygnale odezwał się energiczny męski głos:

– Halo?

Przełączyła rozmowę na głośnik, by Frost mógł ją słyszeć.

– Jestem detektyw Jane Rizzoli z bostońskiej policji. Czy mówię z Gregorym Bouchardem?

Chwila ciszy, a potem ostrożne:

– Tak, to ja. O co chodzi?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci kobiety, Sofii Suarez. Z jej billingu wynika, że dzwoniła do pana dwudziestego kwietnia. Może pan nam coś powiedzieć na temat tej rozmowy?

W słuchawce zaległo milczenie.

– Powiedziała pani, że Sofia nie żyje?

– Tak, proszę pana.

– Co się stało? Czy to był wypadek?

– Niestety, nie. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

– O Boże. Katie oszaleje.

– Katie?

– Moja żona. To do niej Sofia próbowała się dodzwonić.

– Udało im się porozmawiać?

– Nie. Katie była na służbowym wyjeździe, kiedy Sofia zostawiła jej wiadomość na poczcie głosowej. Żona próbowała oddzwonić po powrocie do domu, ale nie zdołały się skontaktować.

– Mogę pomówić z pańską żoną?

– Nie ma jej w domu. Pracuje jako podróżująca pielęgniarka dla biura turystycznego Nat Geo Tours. Wie pani, dba o życie i dobre samopoczucie bogatych turystów. Sprawdzę jej trasę, ale sądzę, że są teraz gdzieś na południowym Pacyfiku.

– A co z tą wiadomością, którą Sofia zostawiła w telefonie? Ma pan to nagranie?

– Nie, przykro mi, zostało skasowane.

– Wie pan, jak brzmiała wiadomość?

– Hm… właściwie tak. Katie odtwarzała ją przy mnie i… – Rizzoli usłyszała, jak rozmówca wciąga głęboko powietrze. – Przepraszam, jestem trochę roztrzęsiony. Nigdy nie znałem nikogo, kto został zamordowany.

– Jak brzmiała ta wiadomość, panie Bouchard?

– Już mówię. Chodziło chyba o jakieś sprawy z dawnych czasów, związane z ich pracą na OIOM-ie.

– Pracowały razem? Pana żona i Sofia?

– Z piętnaście, dwadzieścia lat temu, w szpitalu w Maine. Potem dostałem pracę w Kalifornii i przenieśliśmy się tutaj. Byliśmy na ślubie Sofii w Bostonie, ale to było przed wielu laty.

– Czy pan wie, po co telefonowała do pańskiej żony?

– Nie mam pojęcia. Może chciała powspominać dawne czasy? – Przerwał. – Co to ma wspólnego z jej zabójstwem?

– Nie wiem, proszę pana. Badam po prostu wszelkie tropy. Proszę, żeby pana żona do mnie zadzwoniła, jeśli miałaby jakieś informacje. – Odłożyła słuchawkę i spojrzała na partnera. – Ślepy zaułek.

– A może ma to coś wspólnego z innymi telefonami – powiedział Frost. – Wszystkie są z numerem kierunkowym dwieście siedem. Maine.

– Sofia i żona Boucharda kiedyś tam razem pracowały.

– Dzwoniła do naprawdę dziwnych miejsc. Do firmy Gas and Go w Auguście. Liceum w Bangor. Restauracji Buffalo Wings w południowej części Portlandu. Centrum Medycznego Eastern Maine. Czy istnieje jakiś związek między tymi numerami?

Rizzoli znowu podniosła słuchawkę telefonu.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Zacznę od pierwszego numeru.

Gdy Frost obrócił się na krześle, sięgając po swój telefon, wystukała numer w Auguście. Po zaledwie dwóch sygnałach odezwał się ostry kobiecy głos:

– Gas and Go. – Rzeczowy głos kogoś, kto ma do załatwienia pilniejsze sprawy.

– Jestem detektyw Rizzoli z bostońskiej policji. Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci Sofii Suarez. Z jej billingu wynika, że dzwoniła do firmy Gas and Go w poniedziałek dwudziestego pierwszego kwietnia. Czy to pani z nią rozmawiała?

– W poniedziałek? Tak, prawdopodobnie to ja odebrałam telefon. Ale nie pamiętam klientki o tym nazwisku.

– Dzwoniła z Bostonu.

– Nie wiem, po co miałaby do nas dzwonić z Bostonu. Chyba że chciała nam coś sprzedać, bo otrzymujemy setki takich telefonów. Może wybrała niewłaściwy numer.

– Jest pani pewna, że nie pamięta pani tej rozmowy?

– Niestety, nie. Sprzedajemy również losy na loterię i bilety autobusowe i bardzo wiele osób o nie pyta. Dwudziesty pierwszy kwietnia był miesiąc temu. W jakiejkolwiek sprawie dzwoniła, nie utkwiło mi to w pamięci.

I tyle, jeśli chodzi o Gas and Go.

Następna na liście była restauracja Buffalo Wings w Portlandzie. Rozmowę przeprowadzono o czternastej trzydzieści dwudziestego czwartego kwietnia i trwała zaledwie trzydzieści sekund. Teraz było południe, najgorsza możliwa pora, by dzwonić do restauracji, mimo to Rizzoli wystukała numer.

Zgłosił się mężczyzna.

– Buffalo Wings, w czym mogę pomóc?

Podobnie jak kobieta z Gas and Go, nie pamiętał telefonu od Sofii Suarez i nie znał nikogo o tym nazwisku.

Rizzoli odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, po co Sofia dzwoniła pod te numery. Z nuty zniechęcenia w tonie głosu Frosta wywnioskowała,

że jemu nie powiodło się lepiej. Przejrzała połączenia ze środowego popołudnia przed śmiercią Sofii. Doktor Antrim był świadkiem, jak rozmawiała przez komórkę na parkingu i starała się to robić dyskretnie, ale tego dnia dzwoniła jedynie o czternastej czterdzieści sześć do centrali telefonicznej szpitala Pilgrim. Nie dało się ustalić, z jakim wewnętrznym numerem ją połączono.

– Coś znalazłaś? – spytał Frost.

– Nie. A Ty?

– Rozmawiałem z sekretarką z liceum w Bangor. Nie kojarzy nazwiska Sofii Suarez i nie pamięta telefonu od niej. Ale dzwonią do niej przez cały dzień rodzice i uczniowie.

– A połączenie z Centrum Medycznym Eastern Maine?

– To był telefon do ich archiwum. Urzędniczka nie pamiętała rozmowy z Sofią.

Rizzoli wzdrygnęła się, gdy jej komórka rozbrzmiała morderczą kakofonią skrzypiec.

– Och, nie – odezwał się Frost. – Zupełnie zapomniałem ci powiedzieć. Angela dzwoniła do mnie kilka godzin temu.

– Moja mama telefonowała do ciebie?

– Prosiła, żebyś oddzwoniła. – Skrzywił się na drażniący dźwięk komórki partnerki. – Dlaczego nie odbierasz? Zadzwoni ponownie.

Westchnęła i przyjęła połączenie.

– Hej, mamo.

– Czemu zawsze tak trudno cię złapać?

– Pracuję.

– Nad tą samą sprawą?

– To nie jest tak jak w telewizji. Nie domykamy sprawy w godzinę.

– To, co się dzieje w moim sąsiedztwie, powinno zwrócić twoją uwagę.

– Nic się nie dzieje. Mówiłaś mi, że Tricia pisała do ojca i wszystko jest w porządku.

– Wcale nie jestem przekonana, czy ta sprawa została zakończona. Ale teraz zajmuję się czymś zupełnie innym.

Rizzoli spojrzała na Frosta i wymówiła bezgłośnie słowo „Pomocy!”.

– Uważam, że mam prawo wiedzieć, czy nie grozi mi tu niebezpieczeństwo – oświadczyła Angela. – Oni mieszkają naprzeciwko. Kto wie, czy nie dojdzie do takiej tragedii jak w Waco albo czegoś podobnego.

– Chodzi znów o tych nowych sąsiadów?

– Tak.

– Czemu nie zawiadomisz policji w Revere? To ich jurysdykcja.

– Tylko że nie mam córki na komisariacie w Revere.

– A może zadzwonisz do Vince’a? On będzie wiedział, co robić. – I nigdy mi nie wybaczy, że to zasugerowałam, dodała Rizzoli w myślach.

– Vince nic nie zrobi. Jest nadal w Kalifornii.

– Ale był detektywem policyjnym. Ma intuicję.

– Nie ma dostępu do rejestrów broni.

Rizzoli zamilkła.

– Broni? Jakiej broni?

– Na początek chodzi o pistolet, który Matthew Green ukrywa pod koszulą. Wygląda jak ten, który nosił zwykle Vince.

– Glock?

– Możliwe. To z pewnością nie był jakiś staromodny rewolwer.

– Skąd wiesz o tej broni?

– Zaglądałam przez płot Jonasa, bo chciałam sprawdzić, co znaczą te odgłosy wiercenia i stukania młotkiem. I wiesz, co zobaczyłam? Że Green zakłada kraty we wszystkich oknach. Jakby zamieniał dom w więzienie o zaostrzonym rygorze. Przyglądam mu się więc i widzę, jak się pochyla, a za pasem ma broń. Pistolet. Może glocka. Zawsze mi powtarzasz, jak surowe przepisy obowiązują w tej kwestii w stanie Massachusetts. Dlaczego ten człowiek miałby nosić ukrytą broń?

Przez chwilę Rizzoli nie odpowiadała. Istniało wiele legalnych powodów noszenia ukrytej broni. Mógł być policjantem. Albo wojskowym. Albo praworządnym obywatelem, który lubił po prostu wiedzieć, że potrafi obronić swoją własność.

– W tym domu może być więcej broni – dodała Angela. – Jest tam obszerna piwnica. Wystarczająco dużo przestrzeni, by zgromadzić zapas granatników.

– Okej, okej – rzuciła Rizzoli. – Sprawdzę, czy Matthew Green ma pozwolenie na broń.

– Dobrze. Pomówimy o tym, gdy przyjdziecie wszyscy na kolację. Maura zaprosi swojego przyjaciela Daniela. Zamówiłam u rzeźnika ładny udziec jagnięcy.

– Na kolację?

– Nie mów mi, że zapomniałaś.

– Oczywiście, że nie. – Rizzoli zamilkła. Cholera, zapomniałam. Jej uwagę przyciągnął partner, machający wydrukiem billingu. – Mamo, muszę już kończyć. Frost mnie potrzebuje.

– Och, powiedz temu miłemu Barry’emu, żeby też przyszedł. – Angela przerwała. – Nawet jeśli to oznacza, że będziemy musieli znosić obecność jego żony.

Rizzoli odłożyła słuchawkę i spojrzała na Frosta.

– Ty i Alice macie zaproszenie na kolację u mojej mamy w przyszłą sobotę. Udziec jagnięcy. Czy Alice jest nadal na tej dziwnej diecie?

– Odpuści sobie mięso. Ale spójrz na to. – Wskazał na pozycję pod koniec billingu. – Połączenie z dziewiętnastego maja o ósmej rano. Kierunkowy z Massachusetts. Rozmawiała szesnaście minut.

– Szesnaście minut. To nie była pomyłka.

– I rozmowa trwała wystarczająco długo, by uznać, że była ważna. Dzwoniłem już pod ten numer, ale nikt nie odpowiada.

– Spróbujmy jeszcze raz.

Czuła już, jak przyspiesza jej puls, gdy sięgała po telefon i wystukiwała numer. Po pierwszym sygnale elektroniczny głos oznajmił: „Osoba, do której dzwonisz, jest czasowo niedostępna”

– I znowu nic. – Odłożyła słuchawkę i zmarszczyła brwi, patrząc na billing. – Przy tym numerze nie ma żadnego nazwiska.

– Bo to komórka na kartę – wyjaśnił Frost.

# Rozdział dwunasty

## Amy

Przepiękny szkarłatny kardynał śpiewał na dereniu, odstraszając rywali głośnymi trelami. Podczas tygodni rehabilitacji po wypadku spędzała tak mało czasu na dworze, że z radością znowu oddychała świeżym powietrzem i słuchała śpiewu ptaków. Gdy ojciec odjechał, żeby zaparkować samochód, rozkoszowała się tymi krótkimi chwilami samotności przed bramą cmentarza, obserwując, jak czupurny kardynał przeskakuje z gałęzi na gałąź, obwieszczając głośno swoją niezależność. W oddali zabrzmiał grzmot i poczuła w powietrzu nadciągający deszcz. Miała nadzieję, że ojciec pamięta, żeby zabrać z samochodu parasol. Był znakomitym lekarzem, ale w sprawach codziennego życia okazywał się roztargniony jak każdy.

Czyżby spadła już pierwsza kropla deszczu? Amy spojrzała w niebo. W ciągu minionych trzydziestu minut, odkąd wyszli z domu, stało się ołowiane. Widok chmur kłębiących się nad jej głową pozbawił ją nagle równowagi i musiała wesprzeć się na lasce.

Nie zauważyła mężczyzny, który stanął obok niej.

– To zdumiewające, ile hałasu potrafi zrobić mały ptaszek – powiedział.

Odwróciła się, przestraszona jego nagłym pojawieniem się, choć mężczyzna wyglądał zupełnie niegroźnie. Miał pięćdziesiąt parę lat i był w stosownym do pogody płaszczu przeciwdeszczowym, trochę za szerokim w ramionach, jakby dostał go od kogoś bardziej barczystego. Miał bladą szczupłą twarz, oczy w nijakim odcieniu szarości, ale wydawał jej się znajomy. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, jak i gdzie mogli się

spotkać. Wypadek, który miała w marcu, wymazał z jej pamięci fragmenty wspomnień, a być może ten człowiek należał do jej przeszłości. Wpatrywał się w nią trochę za długo, po czym jakby czując, że ją to krępuje, skierował wzrok na siedzącego nad nimi kardynała.

– Broni swojego terytorium – powiedział. – Musi mieć gdzieś w pobliżu gniazdo. Pewnie ma już pod opieką kilkoro piskląt.

– Niewiele wiem o ptakach – przyznała. – Ale lubię je obserwować.

– A kto nie lubi? – Spojrzał na jej skromną czarną sukienkę. – Przyszła pani na pogrzeb?

– Sofii Suarez. Pan także?

– Nie. Spotykam się z kimś, kogo znałem dawno temu.

– O. – Nie wiedziała, czy ma na myśli kogoś żyjącego, czy zmarłego, a bała się zapytać.

– Żałuję, że nie spędziliśmy więcej czasu razem – powiedział cicho i Amy, słysząc smutek w jego głosie, zrozumiała, że chodzi o kogoś, kto już nie żyje.

– I nadal odwiedza pan tę osobę? To takie urocze.

Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. Miała wrażenie, że zaszła między nimi jakaś zmiana. Jakby powietrze nagle się naelektryzowało.

– Czy ja pana znam? – spytała w końcu.

– Wydaję się pani znajomy?

– Nie jestem pewna. Miałam w marcu wypadek i od tego czasu wielu rzeczy nie pamiętam. Nazwisk. Dat.

– Dlatego używa pani laski.

– Jest okropna, prawda? Powinnam była wybrać jakąś bardziej stylową. Ale nie będzie mi już długo potrzebna.

– Jak doszło do tego wypadku?

– Jakiś pirat drogowy potrącił mnie na przejściu dla pieszych. Wychodziłam właśnie z uczelni i… – Zamilkła. – Stamtąd pana znam? Z Uniwersytetu Northeastern?

Przez chwilę milczał.

– Możliwe, że tam się zetknęliśmy – odparł w końcu.

– Na wydziale historii sztuki?

– To pani kierunek?

– Powinnam była ukończyć studia w tym miesiącu, ale musiałam mieć ośmiotygodniową rehabilitację, żeby stanąć na nogach. Nadal czuję się taka nieporadna.

– Moim zdaniem dobrze pani wygląda – oznajmił. – Lepiej niż dobrze, z tą laską i w ogóle.

Jego spojrzenie stało się nagle tak intensywne, że poczuła się niezręcznie i odwróciła głowę. Zobaczyła, że ojciec idzie w jej kierunku z parkingu, niosąc parasol. Wyciągnął nogę jak bocian i wskoczył na krawężnik.

– Cieszę się, że nie zapomniałeś parasola – powiedziała. – Lada chwila zacznie się ulewa.

– Kim jest ten człowiek, z którym rozmawiałaś?

Odwróciła się, by przedstawić ojcu nowego znajomego, ale mężczyzna zniknął. Spojrzała zaskoczona w głąb alei i dostrzegła go jeszcze, gdy przechodził przez cmentarną bramę.

– To dziwne – rzuciła.

– Czy to ktoś, kogo znasz?

– Nie jestem pewna. Powiedział, że jest z Uniwersytetu Northeastern. Może to wykładowca.

Ojciec wziął ją pod ramię i ruszyli w kierunku bramy.

– Dzwoniła twoja matka – oznajmił. – Wpadła w panikę. Catering jeszcze się nie zjawił.

– Och, znasz ją. Potrafi zrobić sama pięćset kanapek.

Zerknął na zegarek.

– Już prawie dziesiąta. Nie powinniśmy się spóźnić do Sofii.

Do Sofii… Która nie będzie nawet wiedziała, że tam są. A jednak miało znaczenie to, że przyszli. Że w ten pochmurny dzień ci, którzy ją znali, stali przy jej grobie, pogrążeni w żałobie, że odeszła.

– Myślisz, że dasz radę przejść całą drogę? – spytał ojciec. – Trawa może być trochę śliska.

– Poradzę sobie, tato – odparła Amy, chociaż z powodu wilgoci bolała ją noga. Pewnie już zawsze tak będzie. Nawet gdy złamana noga się zrastała, pamięć urazu pozostawała zakodowana w kości i z każdą zmianą pogody powracał przenikliwy ból. Ale Amy się nie skarżyła. Nie wspominała o bólu, przechodząc pod ramię z ojcem przez cmentarną bramę.

# Rozdział trzynasty

## Jane

Zapowiadano burze i Rizzoli spoglądała co parę minut w niebo, gdy nad cmentarz nadciągały ciemne chmury. Czytała, że gdy uderza piorun, najgorzej jest stać na wzgórzu albo pod drzewem, a znajdowali się z Frostem właśnie w takim miejscu, na pagórku pod rozłożystymi gałęziami klonu japońskiego. Z tego punktu obserwacyjnego widzieli żałobników zgromadzonych wokół otwartego grobu Sofii Suarez. Czy kiedy przed sześcioma miesiącami Sofia chowała na tym cmentarzu męża, miała przeczucie, że wkrótce do niego dołączy? Czy odwiedzając jego grób i przyglądając się zadbanej trawie i przystrzyżonym krzewom, wyobrażała sobie własną wieczność w tym miejscu?

Rozległ się dobiegający z daleka grzmot i Rizzoli raz jeszcze spojrzała na chmury. Pogrzeb się skończył i nie było powodu, by ona i Frost zostawali tam dłużej. Rozglądali się za kimkolwiek, kto nie przybył na ceremonię, by opłakiwać zmarłą, lecz żeby napawać się jej śmiercią albo świętować, ale Rizzoli widziała na twarzach obecnych tylko szczery żal. Rozpoznawała wiele z tych osób. Był tam doktor Antrim. Pielęgniarki ze szpitala. Sąsiedzi Sofii, pani Leong i Jamal Bird z matką. Niewielu nastolatków pofatygowałoby się na pogrzeb sąsiadki w średnim wieku, ale Jamal przyszedł, ubrany na czarno, z wyjątkiem jasnoniebieskich butów Nike.

– Zaczyna padać. Wracamy? – spytał Frost.

– Zaczekaj. Idzie tu doktor Antrim.

Lekarz pomachał ręką, zmierzając w ich kierunku. Towarzyszyła mu szczupła młoda kobieta, wspierająca się na lasce.

– Miałem nadzieję z państwem porozmawiać – oznajmił. – Zastanawiamy się wszyscy, czy wiadomo coś nowego w sprawie śmierci Sofii.

– Czynimy postępy. – Tylko tyle Rizzoli mogła powiedzieć.

– Czy macie pojęcie, kto…

– Niestety, jeszcze nie. – Spojrzała na stojącą obok niego dziewczynę, której laska grzęzła w mokrej trawie. Jej kruczoczarne włosy, stylowo przycięte, kontrastowały mocno z bladą cerą. Była to bladość osoby, która przez długi czas nie przebywała na powietrzu. – Czy to pańska córka Amy?

– Tak. – Antrim uśmiechnął się. – W końcu stanęła na nogi. Chociaż po tej trawie nie jest jej łatwo iść.

– Musiałam przyjść – odezwała się Amy. – Tak troskliwie opiekowała się mną w szpitalu, a nigdy jej naprawdę nie podziękowałam.

– Spędziła dwa długie tygodnie w szpitalu. – Antrim uśmiechnął się do córki. – Przez kilka dni było źle, Amy potrafi jednak walczyć. Może teraz trudno to dostrzec, ale tak jest. – Zwrócił się do Rizzoli: – Kierowcy, który ją potrącił, nie schwytano i minęło już wiele tygodni, odkąd policja była z nami w kontakcie. Może mogłaby pani…

– Tato – przerwała mu córka.

– No cóż, pani detektyw może się dowiedzieć, prawda?

– Zadzwonię do śledczego i sprawdzę, czy są jakieś postępy – obiecała Rizzoli. – Ale po tak długim czasie nie robiłabym sobie zbyt wielkich nadziei.

Rozległ się bliższy grzmot.

– Pada – rzuciła Amy. – A mama na nas czeka.

– Masz rację. Pewnie się zastanawia, gdzie jesteśmy. – Jej ojciec otworzył parasol i trzymał go nad głową córki. – Mam nadzieję, że państwo oboje też przyjadą. – Popatrzył na dwójkę detektywów.

– Dokąd? – spytała Rizzoli.

– Do naszego domu. Zapraszamy na lunch wszystkich, którzy znali Sofię. Moja żona zamówiła catering, co oznacza, że wystarczy jedzenia dla całej armii. Więc proszę przyjechać.

Coś w oddali przyciągnęło nagle wzrok Rizzoli. Była to samotna postać. Mężczyzna, który stał między grobami i obserwował ich.

– Doktorze, czy zna pan tego człowieka? – spytała.

Odwrócił się, by spojrzeć we wskazanym przez nią kierunku.

– Nie. A powinienem?

Amy również się odwróciła.

– Och, ten mężczyzna. Rozmawialiśmy wcześniej przy bramie. Myślałam, że mogę go znać z uniwersytetu, ale nie jestem pewna.

– Co pani powiedział?

– Pytał, czy przyszłam na pogrzeb.

– Wspomniał konkretnie o pogrzebie Sofii?

– Nie sądzę… To znaczy nie pamiętam.

– Przepraszam – rzuciła Rizzoli. – Zamienimy z nim parę słów.

Kiedy ona i Frost ruszyli w kierunku mężczyzny powolnym krokiem, żeby nie wzbudzić w nim czujności, ten odwrócił się i zaczął się oddalać.

– Proszę pana?! – zawołała. – Chcielibyśmy z panem porozmawiać!

Zaczął biec.

– O cholera! – zaklął Frost. – Chyba mamy biegacza.

Pomknęli za nim między grobami i marmurowymi aniołami. Krople deszczu rozpryskiwały się na twarzy Rizzoli i spływały jej do oczu.

Widziała wszystko jak przez zieloną mgłę. Zamrugała i zobaczyła znowu mężczyznę, którego ścigali. Pędził jak szalony. Okrążył porośnięte bluszczem mauzoleum i pognał ścieżką prowadzącą do lasu.

Czując pulsowanie krwi i dysząc ciężko, pobiegła za nim między drzewa i poślizgnęła się na mokrych liściach. Jak łyżwiarz, który stracił równowagę, upadła na bruk, uderzając pośladkami o kamienie tak mocno, że poczuła ból w kręgosłupie.

Frost przemknął obok niej i biegł dalej.

Z obolałą kością ogonową i zabłoconymi spodniami Rizzoli podźwignęła się na nogi i podążyła za partnerem. Gdy go dogoniła, stał już i rozglądał się gorączkowo po lesie. Ścieżka przed nimi była pusta i porastały ją z obu stron gęste zarośla. Ich zdobycz zniknęła.

Grzmot rozległ się bliżej i znów stali w najgorszym miejscu, gdyby uderzył piorun: pod drzewem.

– Jak, do cholery, mogliśmy go zgubić? – spytała.

– Miał zbyt dużą przewagę na starcie. Musiał zboczyć gdzieś ze ścieżki. – Frost spojrzał na nią. – Jesteś cała?

– Tak. – Otarła spodnie z błota. – Niech to szlag, dopiero co je kupiłam.

Trzask gałązki zabrzmiał głośno jak strzał z dubeltówki.

Rizzoli odwróciła się i zobaczyła grubą ścianę rododendronów. Spojrzała na partnera i oboje bez słowa wyciągnęli równocześnie broń. Nie wiedziała, kim jest ten mężczyzna i dlaczego przed nimi uciekał, ale człowiek ucieka, gdy się boi. Albo jest winny.

Stawiała na tę drugą opcję.

Dostrzegła szczelinę w żywopłocie i przeciskając się przez nią, więzła w zielonym gąszczu. Znowu zagrzmiało; deszcz uderzał w liście jak grad pocisków. Szła dalej naprzód; przedzierała się przez wilgotną dżunglę, mrugając, by strząsnąć z powiek krople wody. Z ziemi poderwała się

chmara komarów, atakując jej twarz. Odganiała je rękami, prąc na oślep przed siebie.

Zza krzaków dobiegł kolejny trzask łamanej gałązki. I metaliczny odgłos.

Przedarła się przez plątaninę gałęzi na drugą stronę żywopłotu, unosząc broń. Stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, który trzymał sekator. Patrzył na nią z wyraźnym przerażeniem. Rzucił sekator i podniósł obie ręce. Wystarczył rzut oka, by Rizzoli zobaczyła jego przeciwdeszczową pelerynę, kalosze i stertę przyciętych gałęzi na skrzyni pick-upa.

Ogrodnik. Omal nie zastrzeliłam ogrodnika.

– Przepraszam – powiedziała, chowając broń do kabury. – Jesteśmy z policji. Wszystko w porządku. To…

– Rizzoli! – wrzasnął Frost. – On jest tam!

Odwróciła się i dostrzegła, jak szara sylwetka mężczyzny, którego ścigali, znika za cmentarną bramą. Był już teraz poza ich zasięgiem, zbyt daleko, by mogli go dopaść.

– Hm… czy mogę opuścić ręce? – spytał ogrodnik, trzymając je nadal nad głową.

– Tak – odparła Rizzoli. – I może zdoła nam pan pomóc. Wie pan, kim jest mężczyzna, który właśnie wybiegł przez bramę?

– Nie sądzę.

– Widział go pan kiedykolwiek?

– Nie przyjrzałem się jego twarzy…

Westchnęła i zwróciła się do partnera:

– Wracamy do punktu wyjścia.

– Ale może być na nagraniu wideo – odezwał się ogrodnik.

Rizzoli ponownie skupiła na nim uwagę.

– Na jakim nagraniu?

◘ ◘ ◘

– To przykre, że potrzebujemy kamer, ale taki jest dzisiejszy świat. Nikt nie szanuje już prywatnej własności jak w czasach, gdy dorastałem – powiedział zarządca cmentarza, Gerald Haas, który był w wystarczająco podeszłym wieku, by pamiętać, jak świat wyglądał dawniej… przynajmniej jak on go widział. Zasiadł ostrożnie w fotelu i włączył komputer. Podobnie jak sala recepcyjna kostnicy, gabinet zarządcy był skromny, lecz gustowny, ozdobiony delikatnymi pastelami i oprawionymi w ramki cytatami na ścianach.

*Nie liczy się długość życia, tylko jego głębia.*

Ralph Waldo Emerson

*Bo życie i śmierć to jedno, podobnie jak rzeka i morze.*

Khalil Gibran

Na ścianie wisiała również mapa rozległego, stuhektarowego obszaru, z alejkami noszącymi nazwy kwiatów i drzew: Szlak Lawendowy, Aleja Hibiskusów, Jezioro Magnolii. Jakby była to strefa ogrodów, a nie miejsce spoczynku ludzkich szczątków.

Haas drżącymi artretycznymi dłońmi powoli operował myszką komputera; każdy ruch, każde kliknięcie zabierało mu niemiłosiernie dużo czasu. Rizzoli pomyślała o zręcznych młodych palcach Jamala Birda, który z oszałamiającą prędkością stukał w klawiaturę, i starała się zachować cierpliwość, patrząc, jak powykręcana ręka zarządcy cmentarza mozolnie przesuwa strzałkę i klika myszką.

– Może panu pomóc? – zaproponował Frost, jak zawsze uprzejmy, nie okazując frustracji, jaką czuła jego partnerka.

– Nie, nie. Znam ten system. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby sobie przypomnieć, jak to zrobić…

Przesunięcie strzałki. Stop. Kliknięcie.

– O, już!

Na ekranie komputera pojawił się deszczowy krajobraz. Widok miejsca, gdzie ludzie wysiadali z samochodów przed cmentarzem.

– To kamera przy naszej głównej bramie, od południa – wyjaśnił Haas. – Jest zamontowana tuż nad portykiem i powinna nagrać każdego, kto dzisiaj tamtędy wchodził lub wychodził.

– A co z północną bramą? – spytała Rizzoli, wskazując mapę na ścianie. – Tam też jest kamera?

– Tak, ale z tamtego wejścia korzysta tylko personel. Jest cały czas zamknięte i wymaga użycia kodu. Więc ktoś obcy nie mógł się tamtędy dostać.

– Obejrzyjmy więc nagranie z głównej bramy – zasugerowała. – Skoro wiemy, że również przez nią wyszedł.

– Od której godziny mam odtworzyć zapis?

– Według naszego świadka ten mężczyzna wszedł na cmentarz tuż przed rozpoczęciem ceremonii pogrzebowej. Zacznijmy więc od dziewiątej trzydzieści.

Wykręcona dłoń znów sięgnęła po myszkę. W zawodzie Haasa nie było potrzeby się spieszyć. Zmarli są cierpliwi.

Przesunięcie strzałki. Stop. Kliknięcie.

– Proszę – powiedział. – Dziewiąta trzydzieści.

Na nagraniu deszcz jeszcze nie zaczął padać i bruk był nadal suchy. Przed kamerą przeleciał jakiś ptak, ale poza tym obraz pozostawał nieruchomy.

– Pięćdziesiąt lat temu, gdy dorastałem, dzieci miały szacunek dla zmarłych. Nie przyszłoby nam do głowy malować graffiti na cmentarnym murze albo przewracać nagrobki. A teraz musieliśmy zainstalować kamery. Nic dziwnego, że świat się wali.

Każde pokolenie tak lamentuje, pomyślała Jane. *Świat się wali*. To samo mówiła jej babcia. I nadal twierdził tak jej tata. A któregoś dnia i ona powtórzy pewnie te słowa swojej córce Reginie.

Jej uwagę zwrócił zapis kamery z godziny 9.35, gdy przy krawężniku zatrzymał się srebrny sedan. Wysiadło z niego dwoje starszych ludzi i przeszli powoli przez bramę, trzymając się za ręce.

– To państwo Santorosowie – wyjaśnił Haas. – Córka przywozi ich tutaj co tydzień na grób syna. Jest pochowany w Alei Bzów. Proszę patrzeć, córka pojechała zaparkować samochód, ale wróci lada chwila z kwiatami.

Jak przewidywał, kobieta pojawiła się wkrótce, niosąc wazon z różami, i podążyła za rodzicami przez bramę.

– To najsmutniejsze przypadki – dodał Haas. – To znaczy każda śmierć jest tragedią, ale kiedy traci się dziecko…

– Jak zmarł ich syn? – spytał Frost.

– Nie chcą o tym mówić, ale podobno przedawkował narkotyki. To zdarzyło się wiele lat temu, gdy był ledwie po trzydziestce. A oni, choć minęło tyle czasu, nadal przychodzą tu regularnie co tydzień. Zawsze mamy w gotowości wózek golfowy, by podwieźć ich do grobu.

O 9.40 pojawiły się dwie znajome postacie: Jamal i jego matka. A kilka minut później przybyła grupa pielęgniarek ze szpitala Pilgrim.

– Zjawia się u nas także wielu turystów – powiedział zarządca.

– Jest tutaj pochowany ktoś sławny? – zainteresował się Frost.

– Przyjeżdżają oglądać rośliny. Ten cmentarz ma prawie sto lat i można na nim znaleźć gatunki drzew niespotykane nigdzie indziej w Bostonie. Miała pani okazję zobaczyć nasze ogrody?

– Ze zbyt bliskiej odległości – odparła Rizzoli, przypominając sobie batalię, którą stoczyła z rododendronami. I zabłocone spodnie.

– Turyści zwiedzający ogrody pojawiają się zwykle po południu, ale ponieważ pada, dzisiaj nie przyjadą. Traktują to miejsce z szacunkiem, więc chętnie ich tutaj widzę. Jesteśmy dumni z naszej gościnności wobec każdego, kto umie się zachować.

Na ekranie ukazał się granatowy mercedes. Stanął przy krawężniku i wysiadła z niego ostrożnie od strony pasażera szczupła kobieta z krótkimi czarnymi włosami; w ręce trzymała laskę. Amy Antrim. Gdy jej ojciec odjechał, żeby zaparkować samochód, czekała przy bramie, spoglądając w górę na drzewo.

I wtedy pojawił się mężczyzna. Tak nieoczekiwanie, że dziewczyna dostrzegła go dopiero wtedy, gdy stał już obok niej.

– To nasz człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym – stwierdził Frost.

Amy rozmawiała teraz z nieznajomym i to, co mówił, najwyraźniej nie wzbudzało jej niepokoju. Stał plecami do kamery, widzieli więc tylko twarz Amy, która się uśmiechała. Nie wydawała się zaniepokojona, że mężczyzna stoi tak blisko, pochylając się jak sęp gotowy do ataku. Nagle odwrócił się, odszedł z opuszczoną głową i wszedł przez bramę na cmentarz. Widzieli na ekranie tylko czubek jego głowy i rzedniejące włosy w nijakim brązowym odcieniu.

Teraz na obrazie pojawił się doktor Antrim z parasolem. Czyżby to jego przybycie odstraszyło mężczyznę? Co mogłoby się wydarzyć, gdyby się nie pokazał?

– Co zaszło między nimi? – zastanawiała się Rizzoli. – O co, do cholery, chodziło?

– Wygląda na to, że na nią czekał. Spodziewał się, że przyjedzie – odparł Frost.

Jego komórka zasygnalizowała nadejście esemesa. Gdy wyjmował ją z kieszeni, Rizzoli cofnęła nagranie do momentu pojawienia się mężczyzny. Czy rzeczywiście czekał na Amy? A może przypisywali zbyt duże znaczenie niewinnemu spotkaniu? I dlaczego miałby czatować akurat na Amy Antrim?

– A to ciekawe – rzucił Frost, wpatrując się w telefon.

– Co?

– Mamy dane z tego telefonu na kartę.

– Wiadomo już, do kogo należy?

– Nie. Ale dostaliśmy billing. Raz dzwoniła pod ten numer Sofia Suarez…

– O czym wiemy.

– I dwa razy dzwoniono z tego telefonu, w zeszłym tygodniu. Pod ten sam numer w Brookline. – Pokazał komórkę. – Zobacz, do kogo.

Spojrzała na ekran telefonu partnera. *Doktor Michael Antrim.*

# Rozdział czternasty

Amy Antrim siedziała w gabinecie ojca; laskę oparła o fotel. Jej skromna czarna sukienka kontrastowała wyraźnie z bladą cerą. Choć od wypadku minęło wiele miesięcy, dziewczyna nadal wyglądała krucho jak porcelanowa lalka. Na zewnątrz podmuchy wiatru ochlapywały okno kroplami deszczu, a strugi wody na szybie rzucały szare cienie na jej twarz.

– Ciągle dostajemy jakiś spam na telefon – powiedziała. – Dzwoni mnóstwo ludzi, którzy próbują sprzedawać nam różne rzeczy. Ale tato nie chce mieć zastrzeżonego numeru, bo może go potrzebować jakiś pacjent. Woli, żeby tak było, nawet jeśli to oznacza, że musimy czasem znosić te uciążliwe połączenia.

– Pierwsza rozmowa trwała dwie minuty, druga około trzydziestu sekund – zauważył Frost. – Obie miały miejsce wieczorem, gdy pani tata był w pracy. Pani mama twierdzi, że nie pamięta żadnych niezwykłych telefonów, więc zastanawialiśmy się, czy to nie pani je odbierała.

– Mama zwykle pierwsza podnosi słuchawkę, bo ja teraz wolno się poruszam. Może zgłosiła się automatyczna sekretarka? – Amy spojrzała na detektywów. – Czy te telefony mają coś wspólnego z mężczyzną na cmentarzu?

– Nie jesteśmy pewni – odparła Rizzoli.

– Bo chyba właśnie o niego przyszliście spytać. Wydał mi się całkiem miły. Czy powinnam się go bać?

– Tego też jeszcze nie wiemy. – Rizzoli spojrzała na szczupłe ręce dziewczyny ze skórą tak przezroczystą, że przeświytywały przez nią błękitne żyłki. Czy te ręce były wystarczająco silne, żeby stawić opór napastnikowi?

Amy wydawała się dość krucha, jakby mógł ją przewrócić podmuch wiatru, a co dopiero mężczyzna, który chciałby ją skrzywdzić. Była jak samotna gazela z boku stada, najbardziej narażona na atak drapieżnika.

– Pomówmy o tym mężczyźnie – zaproponował Frost. – Proszę powtórzyć nam raz jeszcze, co pani powiedział.

– Po prostu gawędziliśmy. O kardynale na drzewie i o tym, jak musi bronić swojego gniazda. Zauważył, że jestem ubrana na czarno, i spytał, czy przyjechałam na pogrzeb. A ja spytałam, czy już się gdzieś nie spotkaliśmy, bo miałam wrażenie, że skądś go znam.

– Więc rozpoznała go pani?

Amy zastanawiała się przez chwilę, lekko marszcząc brwi.

– Nie jestem pewna.

– Nie jest pani pewna?

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Wydał mi się znajomy. Sądziłam, że mogłam spotkać go na uniwersytecie, ale nie na wydziale historii sztuki. Może gdzieś na kampusie. Albo w bibliotece. Spędzałam tam wiele czasu, kiedy pracowałam nad pracą dyplomową. Przynajmniej do czasu, aż… to się wydarzyło. – Pomasowała obolałą nogę, co robiła już niemal odruchowo. – Nie mogę się doczekać, kiedy wyrzucę na śmietnik tę upiorną laskę i powrócę do życia.

– À propos pani wypadku – rzuciła Rizzoli. – Jak do niego doszło?

– Zwykły pech. Znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– Co pani pamięta?

– Pamiętam, że gdy wyszłam z biblioteki, padał deszcz ze śniegiem. Nie byłam odpowiednio ubrana. Miałam na nogach delikatne buty i przemokły

mi, gdy szłam przez kampus. Dotarłam do przejścia dla pieszych i wtedy… – Przerwała, marszcząc brwi.

– Co wtedy?

– Pamiętam, że czekałam, aż zmieni się światło.

– To było na Huntington Avenue?

– Tak. Musiałam wejść na jezdnię i wtedy wpadłam pod samochód. Obudziłam się na oddziale intensywnej opieki. Była tam Sofia i patrzyła na mnie. Policja mówiła, że samochód potrącił mnie na przejściu i odjechał. Kierowcy nie złapali.

Rizzoli zerknęła na Frosta, zastanawiając się, czy partner myśli o tym samym co ona. Czy to na pewno był wypadek? A może wcale nie?

Otworzyły się drzwi i weszła matka Amy, Julianne, z filiżankami herbaty i ciasteczkami na tacy.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale córka prawie nic nie jadła. I pomyślałam, że państwo też by coś przekąsili. Herbaty?

Frost rozpromienił się na widok talerza z cytrynowymi ciastkami.

– Wyglądają wspaniale. Dziękujemy pani.

– Wszyscy poszli już do szpitala – oznajmiła Julianne. – Ale w jadalni jest mnóstwo jedzenia, jeśli mieliby państwo ochotę na coś jeszcze. Zawsze podaję więcej, niż goście są w stanie zjeść.

– Dawne nawyki – skomentowała z uśmiechem Amy. – Mama pracowała kiedyś w restauracjach.

– A każdy kucharz obawia się najbardziej, by nie zabrakło jedzenia – przyznała Julianne, nalewając herbatę. – Zawsze myślę obsesyjnie, czy wystarczy dla wszystkich. – Wręczyła gościom filiżanki ze zręcznością doświadczonej hostessy, po czym zasiadła w fotelu obok córki. Dzieliło je dwadzieścia lat, ale miały takie same smukłe figury i przycięte identycznie

kruczoczarne włosy. – Więc o co chodzi? Kim był ten człowiek na cmentarzu?

– Kimś, kto najwyraźniej był bardzo zainteresowany Amy – odparła Rizzoli. – Zastanawiamy się, czy nie powinniśmy tego zbadać.

Julianne spojrzała na córkę.

– Nie rozpoznałaś go?

– Odniosłam wrażenie, że skądś go znam. Może po prostu starał się być miły. Ale teraz, gdy wszyscy o niego pytają…

– Jak wyglądał? – wtrąciła Julianne.

Amy zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba był w wieku taty.

Frost zanotował to.

– A więc przed sześćdziesiątką. Jakie miał włosy?

– Powiedziałabym, że jasnobrązowe, ale było ich niewiele. Trochę już łysiał na czubku głowy. – Dziewczyna spojrzała na matkę i dodała z uśmiechem: – Też podobnie jak tata.

– A jak opisałabyś jego twarz? – naciskała Julianne.

– Była… szczupła. Przeciętna. Wiem, że to niewiele pomaga, ale tylko tyle potrafię o nim powiedzieć. Wydawał się przygnębiony, bo odwiedzał kogoś na cmentarzu. Kogoś, kogo znał podobno przed laty. Może dlatego tak pragnął porozmawiać. I trafił przypadkiem na mnie.

– A może chciał pomówić właśnie z panią? – powiedziała Rizzoli.

– Sądzi pani, że ten człowiek celowo zwrócił się do mojej córki? – spytała Julianne.

– Nie wiem, proszę pani.

Julianne wyprostowała się w fotelu, jakby gotowa bronić swojego dziecka.

– Mike wspomniał mi, że macie nagranie z kamery. Pokażcie mi tego mężczyznę.

Frost wyjął komórkę i otworzył plik wideo.

– Kamera nie uchwyciła niestety jego twarzy. To jest to, co mamy.

Kobieta wzięła od niego telefon i obejrzała nagranie rozmowy córki z nieznanym mężczyzną. Trwało krótko, nieco ponad dwie minuty, ale dla niej było oczywiste – podobnie jak dla Rizzoli – że ten człowiek wpatrywał się w Amy intensywnie, a nawet złowieszczo. To było coś więcej niż przelotna rozmowa dwojga nieznajomych.

– Pani córka twierdzi, że może go skądś znać – przypomniała Rizzoli. – A pani? Rozpoznaje go pani?

Julianne nie odpowiadała, wpatrywała się tylko w nagranie.

– Pani Antrim?

Powoli podniosła wzrok.

– Nie. Nigdy dotąd go nie widziałam. Ale pojawił się przy Amy tak nagle, jakby się spodziewał, że ona przyjdzie.

– Można to tak zinterpretować.

– A potem, gdy nadchodzi mój mąż, ten człowiek znika. Jakby nie chciał, by go przyłapano. Jakby wiedział, że nie powinien tam być. – Spojrzała na córkę. – Nie przedstawił ci się?

– Nie, ani ja jemu. Naprawdę, mamo, to było tylko przypadkowe zdarzenie. Po prostu pojawiliśmy się równocześnie na cmentarzu.

Przypadkowe zdarzenie, pomyślała Rizzoli. Jak jej wypadek.

– Ale sądząc z tego nagrania, wygląda, jakby na ciebie czekał – upierała się matka dziewczyny.

– Skąd miałby wiedzieć, że tam dziś będę? – spytała Amy.

– Nekrolog Sofii zamieszczono w gazecie – zauważyła Rizzoli. – To była powszechnie dostępna informacja.

Zaległa długa cisza. Julianne zastanawiała się, co to może oznaczać.

– Myśli pani, że to ma coś wspólnego z jej zabójstwem? – spytała w końcu.

– Każde morderstwo wzbudza zainteresowanie – odparła Rizzoli. – Czasem dziwnych ludzi. Ludzi, którzy przychodzą na pogrzeb ofiary, bo są ciekawi albo przyciąga ich tragedia. Ale nierzadko zjawia się także zabójca. By napawać się triumfem, prowadzić swoją grę lub zobaczyć z bliska, jaką szkodę wyrządził.

– O Boże! A teraz upatrzył sobie Amy?

– Tego nie wiemy. Za wcześnie, by wpadać w panikę.

– Za wcześnie? – Zdenerwowana Julianne podniosła głos. – Nie sądzę, żeby kiedykolwiek było za wcześnie na wyobrażanie sobie tego, co najgorsze, gdy chodzi o własne dzieci.

Amy wyciągnęła dłoń do matki; próbowała ją pocieszyć, a jednocześnie uśmiechała się usprawiedliwiająco do Rizzoli.

– Moja mama zamartwia się najdrobniejszymi sprawami.

– Nic na to nie poradzę – rzuciła Julianne. – Odkąd się urodziła…

– No nie! Znów zamierzasz opowiadać tę historię?

– Jaką historię? – spytał Frost.

– Że jako niemowlę o mało nie umarłam.

– Ale to prawda! Urodziła się niemal miesiąc za wcześnie. – Julianne wskazała na stojącą na regale fotografię Amy jako czarnowłosej dziewczynki, tak nieprawdopodobnie drobnej, że wyglądała w objęciach matki jak lalka. – To był niewielki szpital w Vermoncie i nie mieli pewności, czy przeżyje. Ale moja córka dała radę. Jakimś cudem ocalała. –

Spojrzała na Rizzoli. – Wiem, co to znaczy niemal stracić dziecko. A więc nie, nie jest za wcześnie, by się niepokoić.

Rizzoli to rozumiała. Gdy masz dziecko, wyrastają ci nowe zakończenia nerwów, wyczuwające wibracje najmniejszego nawet zagrożenia, wszystkiego, co nie jest w porządku. Julianne czuła to teraz, podobnie jak ona, choć nie miała dowodów żadnego realnego niebezpieczeństwa. Był tylko ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy mężczyzna, który wydawał się zbyt przyjacielski. I w odpowiednim czasie czekał dokładnie w miejscu, gdzie mieli się zebrać znajomi zamordowanej kobiety.

Za mało, by jako detektyw policyjna mogła stwierdzić: „To istotne, to coś oznacza”. Ale matka nie potrzebuje dowodów, by wiedzieć, że coś jest nie tak.

– Jeśli zobaczy pani znowu tego człowieka, Amy, proszę do mnie zadzwonić. O dowolnej porze, w dzień lub w nocy.

Rizzoli wyjęła wizytówkę z numerem swojej komórki. Amy spojrzała na nią, jakby była zatruta, jakby samo jej przyjęcie oznaczało przyznanie, że zagrożenie jest realne.

Matka odebrała wizytówkę zamiast niej.

– Zadzwonimy – obiecała.

Wyszła z nimi z gabinetu i odprowadziła ich na zewnątrz. Gdy znaleźli się na ganku, zamknęła drzwi, by córka nie słyszała tego, co zamierzała im powiedzieć.

– Wiem, że nie chcecie straszyć Amy, ale przeraziliście mnie.

– Być może nie ma się czym martwić – zaznaczyła Rizzoli. – Chcemy tylko, żebyście pani i pani mąż mieli oczy otwarte. A jeśli z tego numeru ktoś jeszcze zadzwoni, proszę zdobyć jego nazwisko.

– Postaram się.

Już schodzili z ganku, lecz Rizzoli zatrzymała się nagle i odwróciła do Julianne.

– Pani mąż nie jest biologicznym ojcem Amy, prawda?

Julianne chwilę milczała, najwyraźniej zaskoczona tym pytaniem.

– Nie. Wyszłam za Mike’a, gdy Amy miała dziesięć lat.

– Mogę spytać, kto jest jej ojcem?

– Po co, na Boga, chce to pani wiedzieć?

– Powiedziała, że ten mężczyzna na cmentarzu wydał jej się znajomy, i zastanawiałam się, czy…

– Zostawiłam go, gdy Amy miała osiem lat. Proszę mi wierzyć, ten człowiek z nagrania to nie on.

– A tak z ciekawości… gdzie jest jej ojciec?

– Nie wiem. – Julianne zacisnęła usta z odrazą i odwróciła głowę. – Nie obchodzi mnie to.

# Rozdział piętnasty

Rizzoli piła piwo ze szklanki, siedząc przy kuchennym stole i czytając raport bostońskiej policji na temat wypadku Amy Antrim. Był o wiele krótszy niż wielostronicowe akta w sprawie zabójstwa, więc zapoznała się szybko z istotnymi szczegółami. Dwa miesiące temu, w piątek, o godzinie 20.38, świadek widział, jak Amy Antrim weszła na przejście dla pieszych na Huntington Avenue, dokładnie naprzeciwko Uniwersytetu Northeastern. Zrobiła krok, może dwa i potrącił ją jadący na zachód czarny sedan. Świadek zeznał, że pojazd poruszał się z dużą prędkością, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Po potrąceniu Amy kierowca nawet nie zwolnił, tylko popędził w kierunku zjazdu na autostradę.

Dzień później czarną mazdę, odpowiadającą opisowi świadka i zarejestrowaną na nagraniach czterech kamer w tym rejonie, znaleziono porzuconą na przedmieściach Worcester, siedemdziesiąt kilometrów od miejsca wypadku. Uszkodzenie przedniego zderzaka i ślady krwi ofiary potwierdziły, że to ten samochód potrącił Amy. Właściciel mazdy zgłosił jej kradzież dwa dni przed wypadkiem. Złodzieja nie zidentyfikowano.

I pewnie nigdy nie uda się go znaleźć, pomyślała Rizzoli. Wypiła kolejny łyk piwa i odchyliła się na oparcie krzesła, żeby rozprostować zesztywniałe ramiona. Dziś była kolej Gabriela, by wykąpał Reginę, i sądząc z radosnych popiskiwań i plusków dochodzących z łazienki, oboje tak dobrze się tam bawili, że kusiło ją, by zamknąć laptop i do nich dołączyć. Albo przynajmniej przynieść kilka dodatkowych ręczników, żeby zebrać wodę, zanim zacznie cieknąć z sufitu u sąsiadów. Czy traciła czas, przeglądając raport z wypadku, który prawdopodobnie nie miał związku z zabójstwem Sofii Suarez? Może Amy miała po prostu pecha, że znalazła

się akurat wtedy na tym przejściu? Może spotkanie z człowiekiem w szarym płaszczu przeciwdeszczowym, który zagadnął ją przed cmentarzem, było również czysto przypadkowe?

Tyle rozpraszających szczegółów. Tyle możliwości stracenia z oczu zabójcy.

Czas kąpieli się skończył. Słyszała, jak z wanny spływa woda, i nagle czteroletnia Regina wpadła goła do kuchni. Jej skóra była gładka i różowa. Gabriel pojawił się tuż za nią i sądząc po jego przemokniętej koszuli, solidnie go ochlapała.

– Ha, skarbie. – Zaśmiał się, próbując owinąć córeczkę ręcznikiem. – Szykujmy się do spania. Mamusia pracuje.

– Mamusia zawsze pracuje.

– Bo ma ważną pracę.

– Ale ty jesteś ważniejsza! – powiedziała Rizzoli, sadzając sobie mokrą Reginę na kolanach; mała wiła się w jej objęciach, śliska jak foczka.

Gabriel podał żonie ręcznik i owinęła córeczkę jak naleśnik.

– Jakieś postępy? – spytał, otwierając sobie piwo.

– Raczej wiele ślepych zaułków.

Oparł się o kuchenny blat i wypił łyk z butelki.

– A więc normalny dzień.

– Mam przeczucie, że to wszystko powinno mieć coś wspólnego ze sprawą, ale nie wiem co.

– Może nie ma. Ludzie często dostrzegają wzorce w przypadkowych zdarzeniach. Kiedy patrzymy na powierzchnię Marsa, widzimy wzgórza i doliny, a wydaje nam się, że to twarz.

– Ale mam przeczucie.

Rzucił jej swój irytująco beznamiętny uśmiech. Jak zwykle był tym opanowanym i rozsądnym agentem specjalnym, który nie wierzył w przeczucia, tylko w fakty. Który powiedział jej kiedyś, że gdy policjant polega na instynkcie, zbyt często pozostaje ślepy na prawdę.

Kiedy zagonił w końcu Reginę do łóżka, Rizzoli wróciła do raportu, który nadal nie dawał jej spokoju. Co łączyło potrącenie Amy z mężczyzną na cmentarzu? Spojrzała na numer telefonu śledczego zajmującego się wypadkiem i sięgnęła po komórkę.

– Packard – odezwał się.

Słyszała w tle gwar rozmów i kobiecy głos, wykrzykujący: „Numer osiemdziesiąt dwa! Zamówienie osiem dwa!”. Miał przerwę na lunch, a dla głodnego gliny to święta pora. Musiała się streszczać.

– Jestem detektyw Rizzoli. Interesuje mnie sprawa, którą zajmował się pan w marcu. Potrącenie kobiety na Huntington Avenue. Sprawca uciekł z miejsca wypadku. Ofiarą była Amy Antrim.

– O tak. – Packard mówił z pełnymi ustami, przeżuwając coś. – Pamiętam.

– Udało wam się zidentyfikować sprawcę?

– Nie. Sukinsyn potrącił dziewczynę i zostawił ją zakrwawioną na jezdni. Była w kiepskim stanie. Nie miałem pewności, czy przeżyje.

– Widziałam ją wczoraj i czuje się dobrze. Nadal chodzi o lasce, ale już niedługo.

– Cieszę się, że z tego wyszła. Słyszałem, że miała pękniętą śledzionę. Jej matka odchodziła od zmysłów, bo dziewczyna potrzebowała mnóstwa transfuzji, a ma rzadką grupę krwi.

– Nie widzę w pana raporcie zbyt wielu szczegółów z przesłuchania.

– To dlatego, że mogłem z nią porozmawiać dopiero kilka dni po operacji i nie przypominała sobie wypadku. Nie pamiętała nawet, jak

weszła na jezdnię. Lekarz powiedział, że to amnezja wsteczna.

– Nie zapamiętała kierowcy?

– Nie. Ale był świadek, który wszystko widział. Bezdomny, który stał tuż za nią na chodniku. Powiedział, że gdy zapaliło się zielone światło, weszła na jezdnię i poślizgnęła się. Chciał pomóc jej się podnieść, ale nadjechał rozpędzony samochód.

– Wierzy pan bezdomnemu?

– Mamy nagranie z kamery. Potwierdza wszystko, co powiedział. – Znów usłyszała, że Packard przeżuwa, i głos w tle: „Numer dziewięćdziesiąt pięć! Junior Whopper z frytkami!”.

– Czy przesłuchiwał ją pan ponownie?

– Nie było potrzeby. Odnaleźliśmy samochód porzucony pod Worcester. Niestety, został skradziony kilka dni wcześniej i nie udało nam się zidentyfikować złodzieja.

– Jakieś odciski palców?

– Wiele, ale żadne nie figurowały w bazie systemu AFIS.

– A gdzie skradziono ten samochód?

– Stał zaparkowany na ulicy przed domem właściciela w Roxbury. Kiedy go odnaleziono, był mocno poobijany, nie tylko z powodu wypadku. Podwozie wyglądało tak, jakby ktoś zrobił sobie przejażdżkę po lesie. Zaraz… ale dlaczego interesuje to wydział zabójstw?

– Czy wspomniałam, że jestem z wydziału zabójstw?

– Nie, ale detektyw Rizzoli wszyscy znają.

Czy to dobrze? – zastanawiała się przez chwilę, lecz zabrzęczała jej komórka. Rizzoli spojrzała na ekran i zobaczyła, że ma oczekujące połączenie z Sacramento w Kalifornii.

– Ta sprawa z Chinatown, którą pani rozwikłała, przeszła do legendy – dodał Packard. – Ilu policjantom udaje się dopaść ninję?

– Mam następną rozmowę – rzuciła. – Gdyby pan coś sobie przypomniał, proszę zadzwonić.

– Oczywiście. Miło było z panią porozmawiać, pani detektyw.

Przełączyła się na kolejnego rozmówcę.

– Detektyw Rizzoli.

– Mówi Katie Bouchard.

Dopiero po kilku sekundach skojarzyła to nazwisko. Rozmowy telefoniczne Sofii. Numer z Sacramento.

– Jest pani przyjaciółką Sofii – powiedziała. – Z Kalifornii.

– Mąż mówił mi, że dzwoniła pani kilka dni temu. Przepraszam, że nie odezwałam się wcześniej, ale dopiero wczoraj wróciłam z Australii.

– Wyjaśnił pani, dlaczego dzwoniłam?

– Tak, i nie mogłam w to uwierzyć. A więc to prawda? Sofia została zamordowana?

– Niestety, tak.

– Schwytaliście już sprawcę?

– Nie. I dlatego muszę z panią porozmawiać.

– Chciałabym pomóc, ale nie spotykałyśmy się od lat.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Na konferencji pielęgniarek w Dallas, jakieś pięć lat temu. Nie widziałyśmy się od jej ślubu z Tonym, więc miałyśmy sporo zaległości. Umówiłyśmy się na kolację, tylko we dwie, i wydawała się taka szczęśliwa. Opowiadała o rejsie z Tonym na Alaskę. O tym, że planowali kupić kiedyś kamper i pojeździć po kraju. A w grudniu zeszłego roku dostałam od niej kartkę z wiadomością, że Tony zmarł… To było straszne. A teraz ta historia.

– Katie Bouchard westchnęła. – To niesprawiedliwe, żeby ktoś miał takiego pecha, zwłaszcza Sofia. Była taką dobrą osobą.

W tej kwestii wszyscy się zgadzali: Sofia Suarez nie zasłużyła na tak okrutny los. Nie o każdej ofierze można to było powiedzieć. Niejeden raz w swojej karierze Rizzoli przyłapywała się na tym, że myśli: „Należało mu się”.

– Domyśla się pani, dlaczego do pani dzwoniła? – spytała.

– Nie. Pracuję jako pielęgniarka dla biura podróży i w tym miesiącu byłam z grupą w Peru.

– Ciekawa praca.

– Owszem. Dopóki nie trzeba się opiekować osiemdziesięciolatkami, którzy cierpią na chorobę wysokościową i rzygają w autobusie.

No tak.

– Kiedy wróciłam do domu po kilku tygodniach, mąż powiedział mi, że Sofia zostawiła wiadomość na sekretarce. Próbowałam oddzwonić, ale nie odbierała. Domyślam się, że już wtedy… – Nie musiała kończyć tego zdania. Obie wiedziały, dlaczego Sofia nie odpowiadała.

– Pamięta pani, co było w nagraniu?

– Niestety, już je skasowałam. Chciała pomówić ze mną o jakimś naszym pacjencie z Maine.

– O jakim pacjencie?

– Nie mam pojęcia. Przez lata pracowałyśmy razem i opiekowałyśmy się pewnie tysiącem pacjentów po operacjach. Nie pojmuję, dlaczego dzwoniła w sprawie jednego z nich po tylu latach. – Katie przerwała. – Sądzi pani, że to ma coś wspólnego z tym, co się stało?

– Nie wiem – odparła Rizzoli. Ostatnio często wypowiadała te dwa słowa.

Skończyła rozmowę, sfrustrowana kolejnym tropem, który do niczego nie prowadził. W tej sprawie było tych tropów tak wiele i choć bardzo się starała, nie potrafiła ich ze sobą powiązać. Może to ta twarz z Marsa, o której wspominał Gabriel. Przypadkowe wzgórza i cieniste doliny, które zamieniała pobożnymi życzeniami w nieistniejący wzorzec.

Wyłączyła laptop i zamknęła go. Wypadki były czymś powszednim, a włamania należały do najbardziej pospolitych przestępstw. Łatwo było wyobrazić sobie najbardziej prawdopodobny przebieg wypadków. Złodziej włamuje się do domu. Nagle wraca właścicielka. Sprawca wpada w panikę i atakuje ją tym samym młotkiem, którym wybił szybę. Tak, byłoby to całkowicie logiczne, gdyby nie wbity w płot odłamek szkła, który – co potwierdziło laboratorium kryminalistyczne – pochodził ze stłuczonej szyby w kuchennych drzwiach. Czyżby zabójca kopnął go, gdy uciekał w popłochu? Czy odłamek znalazł się tam, bo szybę wybito od środka?

Dwie różne możliwości. I dwa różne wnioski.

# Rozdział szesnasty

## Amy

Choć bardzo usilnie starała się przypomnieć sobie jego twarz, obraz rozpływał jej się w pamięci, jak lustrzane odbicie w zmąconej ręką tafli wody. Pojawiał się i znikał. Pojawiał się i znikał. Wiedziała, że gdzieś tam jest, ale nie potrafiła go wydobyć. Za to gdy zamykała oczy i myślała o nim, widziała bławatki. Wypłowiałe niebieskie bławatki na tapecie z zaciekami z pleśni i brzydkimi żółtymi plamami od dymu z papierosów.

Jeszcze po upływie tylu lat miała nadal przed oczami ten pokój, niewiele większy od szafy, z jednym małym oknem, którego równie dobrze mogłoby nie być, bo dom przylegał do wzgórza, które przesłaniało całe światło. Jej pokoik był ponurą jaskinią, którą mama starała się przyozdobić, by wyglądała radośniej. Powiesiła zasłony, które sama uszyła z resztek koronek kupionych na wyprzedaży, i obraz z różami nad łóżeczkiem Amy. Było to amatorskie malarstwo – nawet ośmioletnia Amy widziała różnicę między dziełem prawdziwego artysty a tym kiczem, podpisanym u dołu imieniem Eugene. Ale Julianne zawsze obmyślała sposoby, by ubarwić ich życie w tym ciasnym domu, którego ściany przesiąknięte były smrodem pozostawionym przez niezliczonych poprzednich lokatorów. Starała się, jak mogła.

Ale on nigdy nie był zadowolony.

Amy zbyt długo tłumiła wspomnienia tamtych dni i teraz nie potrafiła przywołać w pamięci jego twarzy, lecz nadal pamiętała jego głos, ochrypły i zły, gdy wrzeszczał w kuchni. Kiedy wpadał w gniew, matka posyłała Amy do jej pokoju i kazała zamykać drzwi na klucz. Radziła sobie sama

z jego atakami wściekłości. Co zwykle oznaczało potem ciche błagania i czasem podbite oko.

– Jeśli ja przegram, to ty też! – Tak zawsze krzyczał. Amy nie rozumiała, dlaczego jego słowa miały taką moc, ale powodowały nieodmiennie, że matka czuła się pokonana i milkła.

*Jeśli ja przegram, to ty też.*

Ale to mama miała siniaki i dostawała od niego pięścią. To ona wlokła się codziennie o piątej rano do pracy w miejscowej knajpie, gdzie włączała kuchenkę i parzyła kawę, zanim farmerzy i kierowcy ciężarówek zjawiali się na śniadanie. To ona przychodziła każdego popołudnia wykończona do domu, by ugotować kolację i pomóc Amy w lekcjach, zanim on wróci. Potem obie patrzyły, jak się upija. „Rodzinne wartości”, tak to nazywał. Te słowa rzucał Julianne w twarz, gdy próbowała go zostawić. „Rodzinne wartości” były groźbą, pałką, której używał, tocząc z nimi wieczną walkę.

Przez większość czasu rozgrywała się ona w innych pomieszczeniach, gdzie Amy nie mogła być jej świadkiem. Ale słyszała wszystko przez ściany, kuląc się na łóżku i wpatrując w tapetę z niebieskimi bławatkami.

Nawet teraz, setki kilometrów od tego domu pod wzgórzem, miała nadal w pamięci jego narastający krzyk i milczenie mamy. „Rodzinne wartości” wymagały, by spuszczała głowę i nie podnosiła głosu. By o szóstej podawała kolację i co drugi piątek wręczała mu pieniądze.

To oznaczało zachowywanie tajemnic, które w każdej chwili mogły eksplodować jej w twarz.

Czy ta nędzna rudera nadal stała? Czy w jej dawnym pokoju spała teraz jakaś dziewczynka, czy też wszystko zburzono, a upiory tego miejsca zakopano w ziemi, gdzie powinny się znaleźć? Duchy tych bławatków nigdy nie znikną. Pozostały w jej głowie, nadal tak wyraziste, że widziała

niemal ich pożółkłe od nikotyny płatki. Więc dlaczego nie mogła przypomnieć sobie jego twarzy? Dokąd odeszło to wspomnienie?

Pamiętała jedynie, jak krzyczał w kuchni, zaklinając się, że nigdy nie pozwoli im odejść, nigdy z nich nie zrezygnuje. Nieważne, jak daleko i szybko uciekną, odnajdzie je, mówił.

Czy to możliwe? Czy teraz po nas przyszedł?

# Rozdział siedemnasty

## Angela

Zawsze lubiłam robić zakupy na przyjęcia. Pchając wózek przez supermarket, wyobrażam sobie gości siedzących wokół stołu, delektujących się posiłkiem, który tak pieczołowicie przyrządziłam. To przyjęcie nie będzie szczególnie wielkie. Przyjdzie rodzina Jane i ten przemiły Barry Frost ze swoją irytującą żoną Alice, poza tym Maura i – mam nadzieję – jej przyjaciel ojciec Brophy. Kiedyś widywanie ich razem było dla mnie krępujące, bo wychowywałam się w katolickiej rodzinie. Ale perspektywy się zmieniają. W moim wieku żadne stare zasady nie wydają się już niepodważalne, zwłaszcza w kwestii miłości. Na wypadek gdyby się zjawił, planuję kolację na siedem osób. Siedem i pół, wliczając małą Reginę. Czyli niewiele więcej niż w czasach, gdy dzieci dorastały i karmiłam co wieczór pięć osób. Wtedy gotowanie było obowiązkiem i chodziło bardziej o to, by podać na stół coś jadalnego.

Ta kolacja będzie czymś więcej. Chcę urządzić prawdziwą ucztę.

Na stoisku mięsnym wybieram piękny udziec jagnięcy i rzeźnik, u którego zawsze kupuję, starannie zawija go w papier. Zamierzam powbijać w niego ząbki czosnku i piec, aż będzie soczyście miękki. Jaka szkoda, że Alice Frost jest na diecie i pewnie nawet go nie tknie. Jej strata. Krążę po dziale warzywnym, wybierając kruchą sałatę i żółte cebule, ziemniaki i zielony groszek. No i szparagi. To dla mnie. Jest już sezon na świeże szparagi, co sprawia mi radość, bo oznacza, że nadchodzi lato.

Pcham wózek alejkami, szukając oliwy i makaronu, ziarnistej kawy i wina. Potrzebuję co najmniej sześciu butelek. Niektóre znów specjalnie

dla mnie. Mając już niemal pełny wózek, zmierzam do działu z mrożonkami. Nigdy nie zaszkodzi mieć w zapasie lody. Skręcam za róg do zamrażarki i staję jak wryta, widząc, kto tam stoi i przygląda się produktom.

Tricia Talley. A więc nie została jednak porwana i zamordowana – żyje i najwyraźniej kupuje lody.

– Tricio!

Patrzy na mnie pustym wzrokiem nastolatki. Albo jest zbyt zamyślona, by mnie rozpoznać, albo nic jej nie obchodzę.

– To ja. Angela Rizzoli.

– Ach, tak. Dzień dobry.

– Dawno cię nie widziałam.

W ten ciepły dzień ma na sobie wystrzępione dżinsowe szorty i zbyt obszerny T-shirt, który opada z jednej strony, odsłaniając chude nagie ramię. Wzrusza nim w obojętnym geście pozdrowienia, gdy podjeżdżam do niej wózkiem.

– Co się dzieje, Tricio? Rozmawiałam z twoją mamą i potwornie się o ciebie martwi.

Jej twarz sztywnieje. Wpatruje się gniewnie w zamrażarkę.

– Może chociaż do niej zadzwoń, dobrze? – sugeruję. – Powiedz jej, że nic ci nie jest. Nie uważasz, że na tyle zasługuje?

– Nic pani o niej nie wie.

– Jest twoją mamą. To wystarczający powód, żeby zadzwonić.

– Nie po tym, co zrobiła.

– Co? A cóż takiego zrobiła Jackie?

Tricia odwraca się od zamrażarki.

– Chyba jednak niczego nie kupię – mruczy i odchodzi.

Patrzę za nią, zdumiona jej zachowaniem. Znam tę dziewczynę całe życie. Pamiętam, jak przyniosłam różowy kaftanik i paczkę pampersów, kiedy się urodziła. Gdy należała do drużyny skautów, kupowałam od niej co roku miętowe ciasteczka w czekoladzie i ufundowałam dla jej klasy wycieczkę do Waszyngtonu. Ale to już nie ta sama słodka dziewczynka. Ta Tricia jest zagniewana i urażona. Taka nastolatka to koszmar dla matki.

Biedna Jackie.

◘ ◘ ◘

Zostawiam zakupy w domu i idę do Jackie. Poczuje ulgę, gdy usłyszy, że córka jest cała i zdrowa. Kiedy otwiera drzwi, widzę napięcie na jej twarzy, podkrążone oczy i nieuczesane włosy. Najwyraźniej płakała, przez co jestem jeszcze bardziej zła na Tricię. Dzięki Bogu moja Janie nigdy nie narażała mnie na takie przeżycia.

– Och, moja droga – mówię, wchodząc do domu. – Widzę, że potrzebujesz dobrych nowin.

– Naprawdę nie jestem teraz w nastroju do przyjmowania wizyt.

– Ale zaraz poczujesz się lepiej. Gwarantuję.

Idziemy prosto do kuchni. Kobiety kierują się tam automatycznie, to najlepsze miejsce, by wygodnie napić się herbaty. Nie jestem pewna, czy Jackie w ogóle korzysta teraz z salonu, bo mam wrażenie, jakby wszystko zastygło tam w miejscu i nie było ruszane, jakby ktoś pokrył meble woskiem, by wyglądały reprezentacyjnie na wypadek wizyty ważnego gościa. Ja nie jestem tym gościem. Jestem tylko przyjaciółką… przynajmniej sądziłam, że nią jestem, bo Jackie wygląda na niezadowoloną, że mnie widzi, i najwyraźniej chce, żebym sobie poszła. Coś się zmieniło.

Tak, myślę, wchodząc do kuchni. Zdecydowanie coś się zmieniło. W kuchni panuje jeszcze większy bałagan niż poprzednio. W zlewie są

sterty brudnych naczyń i sądząc po zaschniętych resztkach jedzenia na talerzach, leżą tam co najmniej od poprzedniego dnia. Obok lodówki lśni na podłodze kilka odłamków szkła. Kto zostawia rozbite szkło na posadzce? Jackie nie proponuje mi herbaty ani kawy – to też do niej niepodobne. Siadamy przy stole, lecz nie patrzy na mnie, jakby się czegoś obawiała. Albo była zawstydzona swoim wyglądem.

– Powiedz mi, co się dzieje – proszę.

Wzrusza ramionami.

– Małżeństwo… To skomplikowana sprawa.

– Pokłóciliście się?

– Tak.

– Kto stłukł szklankę, ty czy Rick? – Wskazuję odłamki na podłodze.

– Och, Rick. Rzucił nią i… – Pociąga nosem, starając się powstrzymać łzy.

– Nie uderzył cię, prawda? Bo jeśli to zrobił, zamierzam…

– Nie, nie uderzył mnie.

– Ale rzuca naczyniami.

– Angie, nie rób z tego sprawy.

– Ale to źle wygląda.

– Pokłóciliśmy się. Wyszedł, żeby ochłonąć. Tylko tyle mam do powiedzenia.

– Wróci?

– Nie wiem. – Pociąga nosem z coraz większą rozpaczą. – Być może nie. Boję się, że coś zrobi.

– Tobie?

– Nie! Przestań tak myśleć! – Nagle wstaje. – Muszę się położyć. Więc jeśli pozwolisz…

– Nie powiedziałam ci jeszcze, co mi się dzisiaj przydarzyło.

– Angie, nie czuję się teraz na siłach rozmawiać. – Zaczyna wychodzić z kuchni.

– Chodzi o Tricię. Kilka godzin temu widziałam ją w supermarkecie. Była cała i zdrowa i stała przy zamrażarce z lodami.

Jackie staje w drzwiach i odwraca się do mnie. Jestem zdumiona wyrazem jej twarzy. Choć przekazałam jej właśnie bardzo dobre wieści, wydaje się przestraszona.

– Czy… czy rozmawiałaś z nią?

– Próbowałam, ale sama wiesz… nastolatki.

– Co powiedziała?

– Chyba jest na ciebie wściekła.

– Wiem.

– Co między wami zaszło? Mówi, że to twoja wina.

– Nie powiedziała ci, prawda?

– Nie.

Jackie wzdycha z ulgą.

– Nie mogę o tym rozmawiać. Proszę, potrzebuję trochę prywatności. Musimy same sobie z tym poradzić.

Opuszczam jej dom oszołomiona. Odchodząc, mam świadomość, że mnie obserwuje. Jej wychudzona twarz pojawia się w oknie. Nie wiem, co spowodowało rozpad tej rodziny, i najwyraźniej ani matka, ani córka mi tego nie powiedzą. Teraz przynajmniej wiem, że nie chodzi o porwanie dziewczyny, tylko o wkurzoną nastolatkę i rozpadające się małżeństwo.

To po prostu kolejny dzień w naszej okolicy.

# Rozdział osiemnasty

## Maura

Maura spojrzała na klawiaturę i poczuła przyspieszone bicie serca, które dostroiło się do tempa allegro orkiestry. Każda nuta, każdy takt przybliżały ją do solowego występu. Znała swoją partię tak dobrze, że mogła ją zagrać z zamkniętymi oczami, a jednak drżały jej ręce i nerwy miała coraz bardziej napięte, gdy smyczki i instrumenty dęte nawoływały się nawzajem. Kiedy dołączyły do nich fagoty i flety, nadeszła jej pora.

Rozpoczęła solówkę. Dobywanie z klawiatury dźwięków zakodowanych w pamięci mięśni było czymś równie naturalnym jak oddychanie. Jej palce poruszały się bez wysiłku. Zwolniła w końcu tempo i przeszła w finałowy tryl. Był to znak dla smyczków, by kontynuowały grę. Dopiero gdy zaczęła grać znów cała orkiestra, Maura mogła oderwać palce od klawiszy. Wzięła głęboki oddech i poczuła odprężenie. Udało się. Nie popełniłam żadnego błędu.

Nagle jednak próba się załamała. W sekcji smyczkowej rozbrzmiały fałszywe nuty, wybijając z rytmu instrumenty dęte. Słysząc ten dysonans, dyrygent uderzył mocno pałeczką o pulpit.

– Stop! Stop! – zawołał. Rozległ się jeszcze ostatni dźwięk fagotu, po czym orkiestra umilkła. – Drugie skrzypce? Co się tam stało? – Zmarszczył brwi, patrząc na sekcję smyczkową.

Mike Antrim niechętnie uniósł smyczek.

– Moja wina, Claude. Zgubiłem się. Zapomniałem, przy którym takcie jesteśmy.

– Mike, mamy tylko dwa tygodnie do koncertu.

– Wiem, wiem. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Dyrygent ruchem głowy wskazał na Maurę.

– Nasza pianistka doskonale się spisuje, więc postarajmy się jej dorównać, dobrze? Wróćmy do pięciu taktów przed tutti. Fortepian, proszę wprowadzić nas trylem.

Unosząc dłonie nad klawiaturą, Maura zerknęła na Mike’a Antrima, który patrzył na nią, czerwony na twarzy, mówiąc bezgłośnie „Przepraszam”.

Pół godziny później, gdy próba się skończyła, nadal wyglądał na zawstydzonego. Kiedy pozostali muzycy pakowali pulpity i instrumenty, podszedł do fortepianu, z którego Maura zbierała partyturę.

– To było dość upokarzające. W każdym razie dla mnie – powiedział. – Ale ty grałaś jakby bez wysiłku.

– Ależ skąd! – Zaśmiała się. – Przez ostatnie dwa miesiące nie robiłam nic innego, tylko ćwiczyłam.

– I to widać. Ja też powinienem poświęcić na to więcej czasu, ale byłem rozkojarzony. – Przerwał i spojrzał na futerał ze skrzypcami, który trzymał w ręce, jakby zastanawiał się, jak poruszyć dręczący go temat. – Bardzo ci się spieszy? Może pomówilibyśmy o śledztwie?

– W sprawie Sofii Suarez?

– Tak. Byłem naprawdę wstrząśnięty, nie tylko dlatego, że ją znałem. Detektyw Rizzoli wysunęła przypuszczenie, że zabójca może mieć na oku moją córkę.

– Nie słyszałam o tym.

– To zdarzyło się na pogrzebie Sofii. Na cmentarz przyszedł człowiek, który wydawał się nadmiernie zainteresowany Amy. I to nas martwi.

Pozostali członkowie orkiestry wychodzili już z audytorium, ale Antrim nie szykował się do wyjścia. Zatrzasnęły się drzwi, co wywołało echo w opustoszałym budynku. Maura i Antrim pozostali sami w sali koncertowej, stojąc wśród pustych krzeseł.

– Detektyw Rizzoli nic nam od tamtej pory nie powiedziała – ciągnął Antrim. – Julianne jest tak zdenerwowana, że nie może spać. Podobnie jak Amy. Chcę wiedzieć, czy powinniśmy coś zrobić. Czy rzeczywiście należy się martwić.

– Jestem pewna, że Jane by was ostrzegła.

– Mam wrażenie, że woli nie odkrywać kart. Znasz ją dość dobrze, prawda?

– Wystarczająco, by wiedzieć, że możesz jej ufać.

– Że powie nam prawdę?

Maura wsunęła nuty do teczki i spojrzała na Antrima.

– Jest najuczciwszą osobą, jaką znam – powiedziała szczerze. Ludzie zbyt często unikają otwartości, bo niesie ze sobą różne konsekwencje, ale to nigdy nie powstrzymywało Jane Rizzoli od mówienia prawdy, nawet najbardziej bolesnej.

– Myślisz, że mogłabyś z nią porozmawiać? Powiedzieć jej, jak bardzo się martwimy?

– Jutro jem z nią kolację. Dowiem się, czy może przekazać wam jakieś informacje.

Wyszli z budynku, w noc tak wilgotną, że mieli wrażenie, jakby zanurzali się w gorącej kąpieli. Maura odetchnęła gęstym jak syrop powietrzem i spojrzała na ćmy krążące wokół latarni. Na parkingu stały już tylko ich samochody. Lexus Maury zaparkowany był kilka stanowisk od mercedesa Antrima. Otworzyła drzwi i miała właśnie wsunąć się za kierownicę, gdy Antrim zawołał:

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o detektyw Rizzoli?!

Odwróciła się do niego.

– W jakim sensie?

– Profesjonalnym. Czy możemy liczyć, że niczego nie przeoczy?

Maura patrzyła na niego znad samochodu, którego dach lśnił od warstwy wilgoci.

– Współpracuję z wieloma detektywami, Mike. I nigdy nie spotkałam lepszego śledczego. Jane jest bystra i dokładna. Można nawet powiedzieć, że nieustępliwa.

– To brzmi dobrze.

– W jej pracy z całą pewnością. – Maura przerwała, próbując odczytać wyraz jego twarzy w blasku parkingowych latarni. – Dlaczego o nią pytasz? Zastanawiasz się, czy jest dość kompetentna?

– Nie ja. Chodzi o moją żonę. Julianne ma staromodne wyobrażenie, jak powinien wyglądać detektyw z wydziału zabójstw i…

– Niech zgadnę. Nie powinien być kobietą.

Antrim zaśmiał się z zakłopotaniem.

– Tak, to wariactwo, prawda? W dzisiejszych czasach! Ale Julianne jest przerażona. Nie przyzna się do tego, w głębi duszy jednak naprawdę uważa, że rodzinę ma chronić mężczyzna. Dziś w nocy obudziłem się i zobaczyłem, że wyszła z łóżka i wyglądała na ulicę, żeby sprawdzić, czy ktoś się tam nie czai.

– Możesz zapewnić żonę, że ty i twoja rodzina nie moglibyście być w lepszych rękach. Naprawdę tak uważam.

Uśmiechnął się.

– Dziękuję. Powiem jej to.

Wsiadła do lexusa i gdy tylko uruchomiła silnik, Antrim postukał w szybę samochodu. Opuściła ją.

– Wiesz o przyjęciu, które mamy po koncercie? – spytał.

– Jest jakieś przyjęcie?

– Tak. Martwiłem się, że nie dostałaś mojej wiadomości, bo późno tu dziś dotarłaś. Julianne i ja wydajemy przyjęcie dla wszystkich muzyków i ich gości. Prawdziwe koktajl party, z wystarczającą ilością jedzenia, by nakarmić całą filharmonię. Więc przyprowadź kogoś.

– Zanosi się na dobrą zabawę. Po tym koncercie będę zdecydowanie potrzebowała paru koktajli, żeby się odprężyć.

– Świetnie. Do zobaczenia na próbie za tydzień. Zakładając, że nie wywalą mnie z sekcji smyczkowej. A poza tym, Mauro…

– Tak?

– Byłaś dziś doskonała. Szkoda, że zajmujesz się zwłokami, zamiast grać Chopina.

Roześmiała się.

– Może w przyszłym życiu.

◘ ◘ ◘

Maura zjawiła się jako pierwsza; teraz stała w kuchni Angeli Rizzoli z kieliszkiem wina i czuła się bezużyteczna, gdy pani domu krzątała się wokół ze sprawnością doświadczonej kucharki, biegając między lodówką, zlewem, blatem i kuchenką, gdzie na wszystkich czterech palnikach bulgotało coś w garnkach. To ujemna strona obsesyjnej punktualności – Maura musiała teraz stać w kuchni, zabawiając gospodynię rozmową, w czym nigdy nie była dobra. Na szczęście Angela mówiła za nie obie.

– Odkąd Frankie przeniósł się do Waszyngtonu, a Vince utknął w Kalifornii, nie mam już dla kogo gotować – powiedziała. – Przez lata przyrządzałam tyle posiłków. Na Boże Narodzenie, Wielkanoc, Święto Dziękczynienia. A teraz kolacja dla jednej osoby. Czuję się poszkodowana, rozumie pani?

Sądząc po garnkach stojących na ogniu, nikt inny nie miał być tego wieczoru poszkodowany.

– Może jednak mogłabym w czymś pomóc? – nalegała Maura. – Może umyję sałatę?

– Och, nie, Mauro, nie musi pani nic robić. Mam wszystko pod kontrolą.

– Ale ma pani tyle pracy. Proszę mi dać jakieś zajęcie.

– Sos. Może pani pomieszać sos marinara. Fartuchy są w dolnej szufladzie. Nie chciałabym, żeby zaplamiła pani sobie tę piękną bluzkę.

Czując ulgę, że nareszcie ma coś do zrobienia, Maura włożyła fartuch z wyhaftowanym napisem *Cucina Angela* i wzięła się do mieszania sosu.

– Wie pani, naprawdę liczyłam, że on dzisiaj przyjdzie – wyznała Angela. – Ten pani przyjaciel.

„Przyjaciel”. Eufemistyczne określenie mężczyzny, który dzielił z Maurą łóżko.

– Daniel chciał przyjść – odparła. – Ale ktoś umarł i musi być dziś wieczorem z rodziną zmarłego.

– Tego chyba wymaga jego praca, prawda? Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie się komuś potrzebnym.

„Jego praca”. Kolejny eufemizm, sposób na obejście niewygodnego tematu powołania Daniela. Maura w milczeniu mieszała sos.

– Życie jest skomplikowane, prawda? – rzuciła Angela. – Wszystkie te zawirowania i zwroty. Człowiek nie wie, w kim może się zakochać.

Maura nadal mieszała sos, a para buchała jej w twarz.

– Wychowano mnie na dobrą katoliczkę – kontynuowała Angela. – A teraz, proszę spojrzeć: wkrótce się rozwodzę. Żyję na kocią łapę ze swoim partnerem. – Westchnęła. – Chcę tylko powiedzieć, że rozumiem panią. Doskonale rozumiem.

Maura w końcu na nią spojrzała. Nigdy nie rozmawiały o niej i Danielu i ta konwersacja wśród garnków stojących na wolnym ogniu zaskoczyła ją. Twarz Angeli płonęła z gorąca, włosy miała poskręcane od pary, ale jej spojrzenie było szczere i bezpośrednie. I życzliwe.

– Kochamy, kogo kochamy – odparła Maura.

– Czyż tak nie jest? Naleję pani jeszcze wina.

– Mamo?! – zawołała Rizzoli od frontowych drzwi. – Wszyscy już jesteśmy!

Rozległ się tupot nóżek i do kuchni wpadła czteroletnia Regina.

– *Nonna!* – zapiszczała, rzucając się babci w ramiona.

– Hej, hej, hej! – zawołał Barry Frost, wparadowując do kuchni z sześciopakiem piwa. – Zdaje się, że tu najwięcej się dzieje!

Wszyscy wtargnęli do niewielkiej kuchni. Gabriel wszedł z dwiema butelkami wina. Żona Frosta, Alice, przyniosła bukiet róż i nie tracąc czasu, zaczęła buszować pod zlewem, by znaleźć wazon. Cała ona, od razu przeszła do rzeczy. Kuchnia była teraz tak zatłoczona, że Angeli brakowało miejsca do pracy, ale wydawała się zachwycona tym chaosem. Wychowała w tym domu troje dzieci, ugotowała w tej kuchni tysiące posiłków i promieniała, gdy wyciągano korki z butelek, a znad garnków na kuchence buchała para.

– Wow! – zachwycał się Frost. – Przyszykowała pani prawdziwą ucztę!

I rzeczywiście była to uczta: sałatki, makaron, pieczona jagnięcina i zielony groszek z czosnkiem. Gdy wszystkie potrawy trafiły na stół

i usiedli, Angela spojrzała na gości zmęczona, ale radośnie uśmiechnięta.

– O Boże, ależ mi tego brakowało – wyznała.

– Czego, mamo? – spytała Rizzoli. – Ślęczenia cały dzień w kuchni?

– Obecności rodziny.

Choć nie byli rodziną, tego wieczoru tak się czuli, pomyślała Maura. Rozejrzała się po twarzach siedzących przy stole ludzi, których znała od lat; wiedzieli o jej niedoskonałościach i niefortunnych czasem wyborach, a mimo to ją akceptowali. Pod każdym istotnym względem byli jej rodziną.

Z wyjątkiem jednej osoby.

– Podobno masz solowy występ – powiedziała Alice Frost, podając Maurze sałatkę. – Barry i ja nie możemy się doczekać tego koncertu.

– Przyjdziecie?

– Ależ tak! Nie wspominał ci, że uwielbiam muzykę klasyczną?

– Mam nadzieję, że powiedział ci również, że jesteśmy całkowicie amatorską orkiestrą, nie oczekuj więc poziomu Carnegie Hall. Jesteśmy po prostu lekarzami, którzy lubią wspólnie grać.

– Nie uważasz, że te dwie rzeczy się wzajemnie uzupełniają? Wyższe wykształcenie i zdolności muzyczne? Moim zdaniem to potęguje rozwój mózgu. Gdy studiowałam prawo, mieliśmy własną orkiestrę. Grałam na flecie. Byliśmy amatorami, ale cholernie dobrymi.

Misa pełna makaronu z sosem marinara krążyła wokół stołu. Gdy dotarła do Alice, ta zmarszczyła brwi i przesunęła ją do Maury. Ten afront nie uszedł uwagi Angeli; skrzywiła się z irytacją. Maura demonstracyjnie nałożyła sobie sporą porcję makaronu.

– Doskonały posiłek – pochwalił Frost.

– Doceniam gości, którzy jedzą z apetytem, Barry. – Angela rzuciła niezbyt subtelne spojrzenie Alice, która skrupulatnie wyciągała z sałatki

grzanki, jakby były robakami.

Frost przekroił kawałek średnio wypieczonego mięsa.

– Zachwycające jak zawsze! Dawno już nie jadłem pani udźca jagnięcego.

– Wyobrażam sobie, że w domu nie masz go za często. – Angela znów zerknęła na jego żonę.

– Jak sobie radzi Vince w Kalifornii? – spytała Maura, szybko zmieniając temat. – Wraca wkrótce do domu?

Angela westchnęła.

– Och, jeszcze nic nie wiadomo. Jego siostra ma jakieś komplikacje po operacji biodra, a w jej wieku kości nie zrastają się tak szybko.

– Ma szczęście, że brat jest przy niej.

– Ale chyba tego nie docenia. Narzeka na wszystko. Że Vince źle gotuje, źle prowadzi samochód, chrapie. Zawsze mieli trudne relacje.

A kto ma łatwe? – pomyślała Maura, rozglądając się wokół stołu. Angela, wychowana po katolicku, była u progu rozwodu. Barry i Alice dopiero co ocalili swoje małżeństwo po tym, jak ona miała romans z kolegą z uczelni. A Daniel i ja? To był chyba najbardziej skomplikowany związek ze wszystkich.

– A więc co stało się z tą zaginioną dziewczyną z sąsiedztwa? – zwrócił się Frost do Angeli.

Ta rozpromieniła się.

– Tak się cieszę, że pan spytał.

– A ja nie – prychnęła Rizzoli.

– A odpowiadając na pana pytanie, Barry, to akurat ta zagadka została rozwiązana. Widziałam Tricię w supermarkecie. Jest cała i zdrowa.

– Co przewidywałam – podsumowała jej córka. – Po prostu uciekła z domu. Kolejny raz.

– Czy to nie wymagałoby dalszego dochodzenia? – wtrąciła się Alice, wyrażając opinię, o którą nie była proszona. – Może w tym domu dzieje się coś złego? Może zawinił jej ojciec? Wiecie, że w dwudziestu pięciu procentach przypadków sprawcami nadużyć seksualnych są ojcowie. – Rozejrzała się, gotowa kłócić się z każdym, kto by się jej sprzeciwił.

Nikt tego nie zrobił. Nikt nie chciał nigdy dyskutować z Alice Frost na żaden temat.

– Ale mamy teraz kolejną zagadkę, którą trzeba rozwikłać – oznajmiła Angela. – Państwo Greenowie.

– Kim oni są? – spytała Alice.

– To ci dziwni ludzie z naprzeciwka.

– Dlaczego dziwni?

– Coś ukrywają – wyjaśniła Angela. Zniżyła głos, jakby w obawie, że ktoś ją podsłucha. – A on ma pistolet.

Gabriel, który wycierał zatłuszczone rączki Reginy, podniósł wzrok.

– Naprawdę widziałaś tę broń?

– Jane ci nie powiedziała? Zobaczyłam ją na jego biodrze, kiedy się pochylił. Była włożona pod koszulę, co znaczy, że ją ukrywał, tak? I facet wygląda na człowieka, który dobrze wie, jak się nią posługiwać.

– Gdzie był, kiedy zobaczyłaś u niego broń?

– Na balkonie. Od strony podwórka.

Zaległo milczenie; wszyscy przy stole zastanawiali się nad tym szczegółem.

– Mamo, szpiegowałaś go – rzuciła Rizzoli.

– Nie, byłam przypadkiem na podwórku Jonasa, gdy usłyszałam stukanie młotka w sąsiedztwie. Wyjrzałam tylko przez płot, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

– Człowiek ma prawo oczekiwać prywatności na własnym podwórku – odezwała się Alice. Było to oczywiście prawdą, ale nikt nie miał ochoty słuchać tego z ust nadętej prawniczki.

– Co robiłaś na podwórku Jonasa? – spytała Rizzoli matkę.

– Mieszkam przy tej ulicy od czterdziestu lat i po prostu staram się mieć oko na wszystko. Nie można zapobiec złu, jeśli nikt niczego nie zauważa.

– Ma rację – przyznał Frost.

Angela spojrzała na córkę.

– Udało ci się dowiedzieć, czy on ma pozwolenie na broń?

– Nie zdążyłam się tym zająć, mamo.

– Bo to wszystko jest bardzo podejrzane.

– Samo podejrzenie to jeszcze nie przestępstwo, dzięki Bogu – stwierdziła Alice, nie mogąc się powstrzymać przed tym, by patrzeć na sprawę z perspektywy prawnika.

– Chodźcie. Pokażę wam ich dom – zaproponowała Angela. Rzuciła na stół serwetkę i wstała. – Może wtedy zrozumiecie, o czym mówię.

Frost podniósł się posłusznie, by podążyć za nią, a sekundę później do niego dołączyła Alice. Przy stole zrobił się ruch. Maura odstawiła kieliszek z winem i poszła za nimi, bo nie chciała okazać się nieuprzejma.

Wszyscy stanęli przy oknie w salonie i wyjrzeli na ulicę. Była to dzielnica skromnych domków na skromnych parcelach, gdzie dobrze sytuowani przedstawiciele klasy średniej mogli wykarmić kiedyś z jednej pensji trójkę dzieci. Jane Rizzoli dorastała tutaj i Maura wyobrażała ją sobie, jak jeździ po tej ulicy na rowerze i gra z braćmi w kosza na podjeździe. Gdy zerknęła na przyjaciółkę, dostrzegła jej wojownicze

spojrzenie i kwadratową szczękę, którą musiała mieć już w dzieciństwie. Angela miała na twarzy taki sam upór. W tej rodzinie determinację dziedziczyło się najwyraźniej po kądzieli.

– Przeproszę cię później – mruknęła Rizzoli do Maury.

– Za co?

– Za to, że cię wciągnęłam do Agencji Detektywistycznej Angeli Rizzoli.

– Miałam ci powiedzieć, że widziałam wczoraj wieczorem na próbie Mike’a Antrima. Martwi się, Jane. Podobnie jak cała ich rodzina.

– Tak, wyobrażam sobie.

– Chce wiedzieć, czy macie coś na temat tego faceta z cmentarza.

Rizzoli westchnęła.

– Niestety, nie.

– A co z tym telefonem na kartę? Jeszcze z niego dzwoniono?

– Nie. Milczy.

– Okej, proszę mi powiedzieć, co pan widzi – odezwała się Angela, nadal skupiając uwagę na domu po drugiej stronie ulicy. Wręczyła Frostowi lornetkę.

– A co niby mam widzieć? – spytał.

– Czy coś w tym domu pana niepokoi.

Frost popatrzył przez lornetkę.

– Nic nie widzę. Wszystkie żaluzje są zaciągnięte.

– Właśnie – rzuciła Angela. – Ponieważ oni coś ukrywają.

– Mają do tego prawo – zauważyła Alice drażniąco autorytatywnym tonem. – Nikt nie ma obowiązku wystawiać się na widok całego świata. Choć tamtemu Mister Universe najwyraźniej sprawia to przyjemność.

– Och, to tylko Jonas – prychnęła Angela. – Nie zwracajcie na niego uwagi.

Trudno było jednak nie zauważyć siwowłosego mężczyzny, który podnosił ciężarki w domu sąsiadującym z tym, w którym mieszkali Greenowie. Stał przy oknie w salonie, rozebrany do pasa, i ćwiczył na oczach wszystkich sąsiadów.

– Ten człowiek nie chce pozostać niezauważony – powiedziała Rizzoli.

– Cóż, jak na swój wiek jest w doskonałej formie – przyznała Alice.

– Ma sześćdziesiąt dwa lata – oznajmiła Angela. – Był komandosem.

– Hm… to widać.

– Zapomnijcie o Jonasie! Chcę, żebyście popatrzyli na dom Greenów.

Tyle że nie było na co patrzeć. Maura zobaczyła jedynie opuszczone żaluzje i zamknięte drzwi do garażu. Ze szczelin na podjeździe wyrastały chwasty i gdyby nie wiedziała, że ktoś tam mieszka, zakładałaby, że dom jest opuszczony.

– Zobaczcie, znowu tu jest – powiedziała Angela, gdy ulicą przejechała powoli biała furgonetka. – Widzę ją już drugi raz w tym tygodniu. Na nią też muszę zwrócić uwagę.

– Więc monitorujesz teraz samochody pojawiające się w okolicy? – spytała ją córka.

– Wiem, że nie należy do żadnego z sąsiadów. – Angela podążała wzrokiem za furgonetką, dopóki ta nie zniknęła jej z pola widzenia w głębi ulicy.

Maura zastanawiała się, ile godzin dziennie matka jej przyjaciółki stoi w oknie, obserwując, co się dzieje. Przeżyła tu czterdzieści lat, więc musiała znać każdy samochód, każde drzewo, każdy krzak. Czyżby teraz, kiedy jej dzieci dorosły, a mąż odszedł, świat Angeli skurczył się do takich rozmiarów?

Kilka domów dalej rozbrzmiał warkot kosiarki, gdy wychudzony mężczyzna w bermudach zaczął kosić trawę. W przeciwieństwie do Jonasa wyglądał na człowieka, który zupełnie nie zwraca uwagi na swój wygląd. Pchał kosiarkę, paradując w sandałach i podkolanówkach.

– To Larry Leopold. Bardzo dba o swój trawnik – wyjaśniła Angela. – On i Lorelei są wymarzonymi sąsiadami. Sympatyczni ludzie, dumni ze swego domu i ogrodu. Ale Greenowie są inni. Nawet nie chcą ze mną rozmawiać.

Maura dostrzegła ruch żaluzji w jednym z okien Greenów. Ktoś się im stamtąd przyglądał. Tak, to rzeczywiście było dziwne.

Zadzwoniła komórka.

– To moja – rzucił Frost i ruszył do jadalni, gdzie zostawił swój telefon.

– Więc teraz widzisz, jak wygląda sytuacja – powiedziała Angela.

– Tak. Masz za dużo czasu – podsumowała jej córka. – Vince naprawdę powinien wrócić do domu.

– Przynajmniej zwracałby uwagę na to, co mówię.

– Ależ ja zwracam uwagę, mamo. Nie widzę jednak powodu, by policja zajmowała się ludźmi, którzy wydają się podejrzani tylko dlatego, że unikają ciebie. Może zostawimy tych biedaków w spokoju i wrócimy do jadalni na deser?

– Przykro mi, ale musimy zrezygnować z deseru – oznajmił Frost, wracając do salonu. – Właśnie odebrałem telefon. Jane i ja musimy wyjść.

– Dokąd jedziemy? – spytała Rizzoli.

– Nad jezioro Jamaica Pond. Znaleźli laptop Sofii Suarez.

# Rozdział dziewiętnasty

## Jane

Zaparkowali na Perkins Street, tuż za radiowozem, i poszli wzdłuż niskiego nabrzeża nad wodę, gdzie czekał na nich funkcjonariusz Libby. Jezioro Jamaica Pond jest największym akwenem słodkowodnym w Bostonie, a dwuipółkilometrowa ścieżka, która je okrąża, to popularna trasa dla biegaczy. Ponieważ szybko zapadał zmierzch, był tam teraz tylko jeden biegacz, tak skoncentrowany na utrzymaniu swojego tempa, że nawet nie zerknął w ich stronę.

– Dwaj dziewięcioletni chłopcy znaleźli ten laptop dziś po południu, dokładnie w tym miejscu – oznajmił Libby. – Bawili się tutaj, puszczając kaczki, i jeden z nich zauważył coś lśniącego w jeziorze. Wszedł po kolana do wody i wydobył laptop.

– Jak daleko od brzegu?

– Jezioro ma na środku jakieś piętnaście metrów głębokości, ale długo jest płytkie. To mogło być jakieś cztery, pięć metrów od brzegu.

– Dostatecznie blisko, by ktoś mógł rzucić laptop stąd.

– Tak.

– Czy chłopcy widzieli, kto to zrobił? Zauważyli kogoś w pobliżu?

– Nie, ale nie wiemy, jak długo laptop leżał w wodzie. Ktoś mógł go tam wrzucić wiele dni temu. Dzieciaki oddały go mamie, a ona poszła z nim na komisariat w Jamaica Plain. Nasz spec od informatyki twierdzi, że ma ten sam numer seryjny co laptop, którego kradzież zgłosiliście. Mówi,

że wyciągnięto z niego twardy dysk, co wydaje się dziwne. Kto kradnie laptop, a potem go niszczy?

– Jakieś odciski palców?

Libby pokręcił głową.

– Woda je zmyła.

Rizzoli popatrzyła na samochody jadące po Perkins Street.

– Przydrożny śmietnik. Szkoda, że nie możemy przyjrzeć się twardemu dyskowi.

– Ktokolwiek go usunął, nie dbał o zachowanie danych. Laptop wyglądał tak, jakby ktoś rozbijał go młotkiem.

Spojrzała znów na jezioro, którego pofałdowana powierzchnia lśniła w ostatnich promieniach słońca.

– Po co zadawać sobie tyle trudu? Ciekawe, co tam było.

– Już się nie dowiemy – rzucił Frost. – Dane uległy zniszczeniu.

Rizzoli popatrzyła na odciski butów w błocie, pozostawione przez chłopców, którzy wybrali przypadkiem to właśnie miejsce, w tym akurat jeziorze, na puszczanie kaczek. Dotychczas zakładała, że złodziej będzie próbował sprzedać laptop, licząc na szybki zarobek. Tymczasem komputer wylądował w wodzie, porzucony i zniszczony, nieprzydatny dla nikogo. Tego nie zrobiłby zwykły włamywacz. Co było w tym laptopie, Sofio? Co wiedziałaś, że zasłużyłaś na śmierć?

Pozostawione przez chłopców ślady niknęły powoli w zapadającym zmierzchu. Znów minął ich biegacz, dysząc teraz szybko i ciężko i stukając butami na ścieżce.

– Jeśli chce pani porozmawiać z chłopcami, którzy znaleźli laptop, mam do nich telefon – oznajmił Libby. – Ale nie sądzę, by mogli powiedzieć coś użytecznego.

Pokręciła głową.

– Nie przypuszczam, by dziewięciolatek mógł rozwikłać za nas tę sprawę.

– Chociaż pewnie mieliby sporą frajdę, mogąc pogadać z detektywami. Wie pani, jacy są chłopcy.

Chłopcy…

Rizzoli spojrzała na niewidoczne już niemal odciski w błocie i przypomniała sobie nagle parę niebieskich butów Nike w zagraconej sypialni chłopca. Chłopca, który może mógł znaleźć odpowiedzi na parę pytań.

Zwróciła się do Frosta:

– Wiesz, te dane z twardego dysku…

– Tak?

– Może jest sposób, by je odzyskać.

◘ ◘ ◘

Syrenka Ariel nadal leżała na swym łożu z muszli, otoczona wianuszkiem wielbiących ją skorupiaków, ale wodna Kraina Czarów znajdowała się teraz w sypialni Jamala Birda. Rizzoli pochyliła się, by obejrzeć Henry’ego, złotą rybkę, która wpatrywała się w nią tak intensywnie, że uwierzyła niemal, że za jej wyłupiastymi oczami kryje się rozum.

– Rybka wydaje się szczęśliwa – powiedział Frost do Jamala. – Chyba naprawdę troskliwie się nią opiekujesz.

– Musiałem sporo poczytać, żeby mieć pewność, że wszystko dobrze robię – przyznał chłopiec. – Czy pan wiedział, że złote rybki rozpoznają twarze? I można je nauczyć różnych sztuczek?

– A ty wiedziałeś, że mogą przeżyć czterdzieści lat? – spytała Rizzoli. – Niedawno to usłyszałam. – Od pewnej wszystkowiedzącej lekarki.

Jamal wzruszył ramionami. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Tak, już o tym wiedziałem.

Wyglądało na to, że wszyscy słyszeli o długowieczności złotych rybek. Wszyscy oprócz niej.

– Nie mogę mieć psa z powodu astmy – wyjaśnił Jamal. – Ale rybka jest okej. I będzie długo żyła, jeśli dobrze się nią zaopiekuję.

– Ale nie przyszliście tutaj, żeby rozmawiać o złotych rybkach – wtrąciła jego matka.

Przyglądała im się od progu, z wyrazem sceptycyzmu na kamiennej twarzy. Kiedy tylko weszli do jej domu, wyjęła telefon komórkowy i trzymała go teraz w dłoni, gotowa nagrywać, gdyby jej synowi cokolwiek groziło.

– Jesteśmy tu, bo potrzebujemy pomocy Jamala – oznajmiła Rizzoli.

– Znowu?

– Wczoraj po południu znaleziono w jeziorze Jamaica Pond laptop Sofii. Brakuje twardego dysku i zniszczono prawdopodobnie wszelkie dane, które tam miała.

Beverly Bird uniosła brew.

– Nie sądzicie chyba, że mój syn miał z tym coś wspólnego?

– Ależ skąd!

– Więc jak niby ma pomóc?

– Mamo – odezwał się Jamal.

– Kochanie, musisz być ostrożny. Zastanów się: po co policja prosi o pomoc piętnastolatka?

– Może znam się na czymś, na czym oni się nie znają.

– Są przecież z policji.

– Ale nie mają pewnie bladego pojęcia o komputerach.

– Pani syn ma rację – przyznała Rizzoli. – Nie znamy się na komputerach.

Jamal obrócił się na krześle i spojrzał na nią.

– Co chce pani wiedzieć?

Miał dopiero piętnaście lat, ale w tym momencie, patrząc mu w oczy, Rizzoli zobaczyła spojrzenie godnego zaufania młodego człowieka.

– Wspomniałeś, że Sofia kupiła ten laptop, żeby szukać czegoś w internecie – powiedziała.

– Tak mi mówiła.

– Wiesz, o co chodziło?

– Nie. Prosiła tylko, żebym skonfigurował jej laptop. Zainstalowałem oprogramowanie i założyłem nowe konto Gmail. – Zaśmiał się. – Bo używała nadal poczty AOL.

– Więc to ty zarejestrowałeś ją na Gmailu? – spytał Frost.

– Tak.

– Znasz przypadkiem jej dane logowania?

Chłopiec wpatrywał się w niego przez chwilę, jakby próbował dociec, co kryje się za tym pytaniem. Pytaniem, które mogło wpędzić go w kłopoty.

– Nie włamywałem się na jej konto, jeśli o to panu chodzi.

– Wcale nie o tym mówimy – wtrąciła Rizzoli. – Ale mamy nadzieję, że teraz mógłbyś to dla nas zrobić.

– Zhakować jej konto?

– Chyba pamiętasz takie dane jak nazwa użytkownika i hasło?

– Może. I co z tego?

– Jeśli odczytamy jej maile i dowiemy się, z kim korespondowała, moglibyśmy schwytać jej zabójcę.

Jamal zastanawiał się przez chwilę, co ryzykuje, jeśli im zaufa. I im pomoże. W końcu zaczerpnął tchu i obrócił się na krześle w stronę klawiatury komputera.

– Jej hasło to „Henry” plus jej adres. Mówiłem jej, że nie jest wystarczająco bezpieczne, ale uznała, że tylko takie zapamięta.

– Imię rybki stanowi część hasła?

– A czemu nie? – Zaczął pisać, poruszając palcami z szybkością błyskawicy. – Już. Macie dostęp.

Tak po prostu! Rizzoli i jej partner wymienili spojrzenia, zdumieni tym, jak momentalnie piętnastolatek rozwiązał ich problem.

– A to jej skrzynka odbiorcza – wyjaśnił Jamal. – Niewiele tu jest, bo miała konto dopiero od kilku tygodni.

Tylko że to były najważniejsze tygodnie, tuż przed jej śmiercią.

Usunął się z drogi, by detektywi mogli spojrzeć na ekran. Rizzoli chwyciła myszkę i zaczęła przeglądać wiadomości.

W ciągu trzech tygodni poprzedzających jej śmierć Sofia Suarez otrzymała maile ze szpitala Pilgrim z harmonogramem pracy, wiadomość z salonu fryzjerskiego z potwierdzeniem umówionej wizyty, przypomnienie o odnowieniu prenumeraty czasopisma dla pielęgniarek, dwa powiadomienia z Amazona o nowych powieściach i mnóstwo spamu. Nie było żadnych gróźb, niczego niezwykłego.

Potem Rizzoli kliknęła na wiadomość wysłaną z adresu Hotmail. Miała tylko dwie linijki.

**Przesłano mi Pani list z mojego dawnego mieszkania. Chcę dowiedzieć się więcej. Proszę zadzwonić.**

Patrzyła na podany tam numer telefonu, który widziała już wcześniej.

– Frost… – powiedziała.

– To numer tego telefonu na kartę z billingu Sofii – stwierdził jej partner.

Spojrzała na Jamala.

– Czy Sofia mówiła ci coś na temat tego maila?

Pokręcił głową.

– Byłem tylko jej specem od komputera. Nie wiem nic o żadnych telefonach. Może po prostu zadzwonicie pod ten numer i dowiecie się, kto to jest?

– Próbowaliśmy. Nikt nie odpowiada.

– Macie adres mailowy. Zobaczmy, co jest w nagłówku.

Postukał w kilka klawiszy i kliknął parę razy myszką.

Frost zmarszczył brwi, widząc, co pojawiło się na ekranie.

– Adres IP.

Jamal skinął głową.

– Spróbujemy zlokalizować nadawcę. – Przeszedł na nową stronę, wkleił dane w okno wyszukiwarki i westchnął. – Niestety. To serwis Hotmail w Wirginii. Może po prostu wyślecie mu wiadomość?

– A jeśli nie odpowie? – zapytał Frost.

Rizzoli wpatrywała się w komputer i zastanawiała się.

– Pisze, że dostał od niej list przesłany z jego dawnego adresu – odezwała się w końcu. – Co oznacza, że to ona próbowała się z nim skontaktować. Prawdopodobnie poszukiwała go przez internet.

– Więc sprawdźmy historię wyszukiwania – zaproponował Jamal.

– Nie mamy jej laptopa.

– Nie potrzebujemy go. Weszła już pani na jej konto Gmail. – Sięgnął po myszkę, po czym znieruchomiał i spojrzał na Rizzoli. – Potrafię to zrobić, co nie znaczy, że jestem hakerem czy kimś takim, okej? Po prostu znam parę sztuczek. I przysięgam, że po raz pierwszy wchodzę na jej konto.

– W porządku, wierzymy ci – zapewniła go.

– I żebyście wiedzieli, że nagrywam wszystko telefonem – powiedziała jego matka. – Żeby było jasne, że to wy go o to prosicie. Więc niczego mu potem nie wmawiajcie.

– Ani nam się śni – obiecał Frost.

Dłoń Jamala spoczęła z powrotem na myszce.

– Już się zalogowaliśmy, więc pozostaje tylko wejść na jej konto Google. – Kliknięcie. – Teraz rodzaj aktywności i oś czasu. – Kliknięcie. – I otwieramy Moją aktywność. – Kliknięcie. – Pojawia się lista jej wyszukiwań w internecie, według dat. – Chłopiec okręcił się na krześle i uśmiechnął do detektywów. – Proszę bardzo.

Rizzoli gapiła się w ekran.

– Cholera. Bostońska policja powinna cię zatrudnić.

Beverly Bird krzyknęła od drzwi:

– To też mam nagrane!

Detektywi zbliżyli twarze do ekranu, gdy Jamal przesuwał obraz, pokazując strony, które Sofia odwiedziła w ostatnich tygodniach swojego życia. Weather.com. „USA Today”. Internetowe czasopismo dla pielęgniarek. Artykuł na temat genetyki grup krwi.

– Zatrzymaj – rzuciła Rizzoli, wskazując na ekran. – Tutaj. Dziesiąty kwietnia. Szukała w Google’u jakiegoś Jamesa Creightona. O co tu chodzi?

– To dość powszechne nazwisko – stwierdził Jamal. – Pojawia się wiele razy.

– Spróbuj. Zobaczymy, co się okaże.

Chłopiec kliknął na opcję wyszukiwania i prychnął:

– Siedemnaście milionów możliwości! Słynny hokeista. Psycholog. Aktor. Plus tysiąc innych facetów o tym nazwisku na Facebooku. Którego pani chce?

– Tego, którego ona szukała.

– Ile lat chce pani na tym spędzić?

– Przeglądaj dalej jej listę wyszukiwań. Jakie jeszcze strony odwiedziła?

Jamal znów trzymał rękę na myszce. Cofnął listę wyszukiwania do pozycji z początku kwietnia, linków do gazet „Portland Press Herald” i „Bangor Daily News”.

– I jesteśmy z powrotem w Maine – stwierdziła.

– W końcu tam mieszkała – zauważył Frost.

– Ale to było piętnaście lat temu. Po co przeglądała nagle tamtejsze gazety? – Rizzoli wskazała na link do dziennika „Bangor Daily”. – Kliknij tutaj. Zobaczmy, czego dotyczy.

Chłopak kliknął na ten link i ekran wypełnił stary gazetowy artykuł: BYŁY MĄŻ POSZUKIWANY W SPRAWIE ZABÓJSTWA PROFESOR UNIWERSYTETU W COLBY.

– O co tu chodzi, do cholery? – zastanawiał się Frost. – To historia sprzed dziewiętnastu lat. Co może mieć wspólnego ze śmiercią Sofii?

– Właśnie to. – Rizzoli wskazała na ekran. Na zdanie ze środka artykułu.

*…wydano nakaz aresztowania byłego męża ofiary, Jamesa T. Creightona.*

– Szukała tego człowieka – powiedział Frost. – I może go znalazła.

Rizzoli spojrzała na partnera.

– Albo on znalazł ją.

# Rozdział dwudziesty

Burza nadciągnęła nocą i deszcz smagał samochód, gdy jechali na północ. Rizzoli nalegała, że to ona poprowadzi, bo gdy psuła się pogoda i drogi były śliskie, nikomu nie ufała za kierownicą bardziej niż sobie. Pokonywali już tę trasę z Frostem podczas wcześniejszych śledztw, gdy jechali do Maine przez Kittery Bridge. Byli partnerami od tak dawna, że przypominali stare małżeństwo, któremu nie przeszkadza długie milczenie. Przez godzinę prawie się nie odzywali, gdy wycieraczki zgarniały wodę z szyby, a wiatr chłostał samochód.

Byli osiemdziesiąt kilometrów za granicą stanu, gdy Frost w końcu powiedział:

– Przepraszam za sobotni wieczór.

– Co?

– Mam na myśli kolację u twojej mamy. Alice jest na tej swojej dziwnej diecie. Martwiłem się, że sprawi twojej mamie przykrość, nie chcąc zbyt wiele jeść.

– Na czym właściwie polega ta jej dieta?

– Zmienia się co tydzień. Alice korzysta z porad z książki eksperta od zdrowego żywienia. W jednym tygodniu faszeruje się proteinami. W kolejnym je tylko sałatę. Akurat teraz przypada ten etap. Miałem nadzieję, że twoja mama tego nie zauważy.

– Uwierz mi, zauważa każdy kęs, który ktoś wkłada do ust. Ma w głowie kalkulator, który liczy kalorie. – Rizzoli zerknęła na partnera. – A tak przy okazji, jak się wam układa? Tobie i Alice?

Wzruszył ramionami.

– Raz lepiej, raz gorzej. Na ogół dobrze.

– Wspomina czasem… no wiesz… o nim?

– Mamy to już za sobą. W każdym związku trzeba się nauczyć iść naprzód, prawda? Najważniejsze, że do mnie wróciła. – Wpatrywał się w deszcz walący w szyby. – Nie odpowiadała mi samotność. Nienawidziłem tych idiotycznych randek. Pamiętasz.

Tak, dobrze pamiętała, bo dzielił się z nią swoją rozpaczą po każdym odrzuceniu, po wszystkich nieudanych randkach. I choć nieszczególnie lubiła Alice, Frost najwyraźniej ją kochał i był bez niej nieszczęśliwy.

– W każdym razie, kiedy będziesz rozmawiała z mamą, powiedz jej, że to nie miało nic wspólnego z jej kuchnią. Po prostu Alice jest na diecie.

– Powiem jej – obiecała Rizzoli, wiedziała jednak, że nic nie usprawiedliwia odmowy zjedzenia fantastycznego posiłku Angeli… no, chyba że ten ktoś jest w śpiączce.

– Zdaje się, że burza ustaje – zauważył.

Deszcz przeszedł w mżawkę, ale gdy Rizzoli spojrzała w niebo, zobaczyła majaczące na północy czarne chmury. Zmierzali w tamtym kierunku.

– To jeszcze nie koniec.

◘ ◘ ◘

Dwie godziny później skręcili w polną drogę. Burza porozrzucała gałęzie, tworząc tor przeszkód, i Rizzoli musiała manewrować między nimi, jadąc w kierunku miejsca, które było kiedyś domem profesor Eloise Creighton z uniwersytetu w Colby. Na podjeździe stał już radiowóz z tablicami rejestracyjnymi z Maine i gdy zatrzymali się obok, otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł z niego potężny mężczyzna. Był po

czterdziestce, miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, ale jego przystrzyżone na jeża włosy mokły na deszczu, gdy czekał cierpliwie, aż wyjdą z samochodu.

– Detektyw Rizzoli? Jestem Joe Thibodeau.

– A to mój partner, detektyw Frost – powiedziała, patrząc na ładny dom z bali, z szerokimi oknami i wysokim dachem, idealnie pasujący do zalesionej okolicy. – Wow! Piękne miejsce!

– Owszem, dom jak z marzeń, gdyby nie jego historia. – Thibodeau zerknął na niebo. – Wejdźmy do środka, zanim znów lunie.

– Mówił pan, że ktoś tu teraz mieszka? – spytała Rizzoli, gdy wchodzili po schodach na frontowy ganek.

– Noah i Annie Lutzowie. Annie nas oczekuje. Nie jest szczególnie zadowolona z naszej wizyty. Przypominanie o tym, co się tu wydarzyło, zakłóca im spokój.

Zanim zdążyli zapukać, drzwi otworzyły się szeroko i pojawiła się młoda kobieta z jasnowłosym malcem przy biodrze.

– Hej, Annie – przywitał ją Thibodeau. – Dzięki, że pozwalasz nam się tutaj rozejrzeć.

– Muszę przyznać, że trochę przeraża mnie to, że ta sprawa znowu powraca. – Annie spojrzała na towarzyszącą mu dwójkę. – Więc jesteście z policji w Bostonie?

– Tak, proszę pani – odparła Rizzoli.

– Mam nadzieję, że w końcu go aresztujecie. Bo nie mogę znieść myśli, że ciągle jest na wolności. Prawdę mówiąc, gdybym wiedziała, co się tu wydarzyło, nie pozwoliłabym mężowi podpisać umowy najmu.

Gdy weszli do domu, Rizzoli spojrzała w górę, na odkryte belki sześć metrów nad ich głowami. Sięgające od podłogi do sufitu okna wychodziły na otoczony lasem dziedziniec. Choć dom był przestronny, to ściana drzew

i gromadzące się na niebie czarne chmury robiły nieprzyjemnie klaustrofobiczne wrażenie.

– Od jak dawna państwo tu mieszkają? – spytała.

– Osiem miesięcy. Mój mąż wykłada na uniwersytecie w Colby. Na wydziale chemii. Przeprowadziliśmy się tutaj z Los Angeles i kiedy zobaczyliśmy ten dom, nie mogliśmy uwierzyć, jak niski jest czynsz. A potem opiekunka do dziecka opowiedziała mi o… – Annie odstawiła wiercącego się malucha i pobiegła podnieść leżącego na podłodze pluszowego misia koalę. – Byłam w szoku, gdy usłyszałam, że doszło tu do morderstwa.

– Nie wiedziała pani o tym przed przeprowadzką? – spytał Frost.

– Nie, i uważam, że agentka powinna była powiedzieć mojemu mężowi, prawda? Noah się tym za bardzo nie przejmuje, tylko że to nie on spędza samotnie cały dzień w domu z dzieckiem. Wiem, że to się zdarzyło dawno temu, ale mimo wszystko… – Skuliła się, jakby poczuła nagle podmuch zimnego wiatru. – Taka historia zawsze pozostawia piętno.

– Oprowadzę państwa po domu, Annie – powiedział Thibodeau. – Mogę im pokazać sypialnie?

– Tak, proszę. – Spojrzała na synka, który siedział na podłodze, gaworząc radośnie do pluszowych zwierzaków. – Ja zostanę na dole z Nolanem. Zajrzyjcie, gdzie tylko chcecie.

– Dziękujemy pani – powiedział Frost, ale Annie siedziała już na podłodze obok synka i nie patrzyła na nich. Może nie chciała, by jej przypominano, po co zjawili się w jej domu.

Thibodeau poprowadził ich schodami na poddasze ze skosami. Rizzoli spojrzała znad poręczy w dół, na Annie obejmującą synka w wielkim salonie na parterze. Z tego poziomu widziała przez panoramiczne okna

zamglone góry za drzewami. Niebo jeszcze bardziej pociemniało, chmury przesuwały się jak czarna kurtyna. W oddali grzmiało.

– Sypialnia ofiary jest tutaj – wyjaśnił Thibodeau.

Podążyli za nim otwartą galerią do głównej sypialni, gdzie pochylone drzewa i gęstniejące burzowe chmury rzucały złowrogie cienie. Gdy tylko weszli do środka, Thibodeau zamknął drzwi i Rizzoli rozumiała dlaczego. Annie była już wystarczająco zdenerwowana ich wizytą, a to, co miał im powiedzieć, jeszcze bardziej wytrąciłoby ją z równowagi.

– Dziewiętnaście lat temu prowadził tę sprawę Dan Tremblay – wyjaśnił Thibodeau. – Bystry facet, bardzo skrupulatny. Niestety, zmarł w zeszłym roku na raka płuc. Zrobiłem dla państwa kopie najważniejszych dokumentów… mam je w samochodzie… ale mogę podsumować wszystko, co chcą państwo wiedzieć. Byłem wtedy zwykłym gliną z patrolu, ale pierwszy dotarłem na miejsce zbrodni. I pamiętam każdy koszmarny szczegół.

Rozejrzał się po sypialni nieobecnym wzrokiem, jakby cofnął się w czasie do dnia, gdy odwiedził po raz pierwszy ten dom, choć pokój z pewnością się zmienił. Lutzowie umeblowali go w nowoczesnym skandynawskim stylu i stało tam teraz łóżko z klonowego drewna, a na podłodze leżał dywan w wyraziste geometryczne wzory. Na toaletce stało zdjęcie uśmiechniętej rodziny: Annie, jej męża i ich synka z zaróżowionymi policzkami. Z przystrzyżoną brodą i okularami Noah Lutz wyglądał w każdym calu na uniwersyteckiego profesora chemii, naukowca, który prawdopodobnie nie wierzył w istnienie nawiedzonych miejsc. Czy stojąc w tym pokoju, czuł kiedykolwiek choćby najlżejszy dreszcz na myśl o tym, co się tu wydarzyło? Czy wyglądając przez okno w sypialni na podchodzący pod dom las, zastanawiał się, co może im zagrażać? Rizzoli

nie wierzyła w duchy, ale nawet ona wyczuwała mrok unoszący się nad tym miejscem, słyszała echa, które nigdy nie cichły.

A może była to tylko nadciągająca burza.

– To było w czwartek rano – kontynuował Thibodeau. – Ofiara nie pojawiła się na dwóch wykładach, które miała prowadzić poprzedniego dnia, i nie odpowiadała na telefon. Polecono mi pojechać do jej domu i sprawdzić, czy nie jest chora.

– Co wykładała w Colby? – spytał Frost.

– Literaturę angielską. Miała trzydzieści sześć lat. Niedawno się rozwiodła. Mieszkała w tym domu mniej więcej od roku. Tego dnia, gdy do niej pojechałem, zakładałem, że po prostu zachorowała i zapomniała zawiadomić uczelnię, że jej nie będzie. Tutaj nie myśli się o tym, że ktoś mógł zostać zamordowany. To bezpieczna okolica. Rodziny, studenci. Nie ma takiej przestępczości jak u was w Bostonie. Człowiek nie spodziewa się… – Westchnął ciężko. – W każdym razie nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem. Dotarłem tutaj około jedenastej przed południem. Był środek października, piękny dzień, szczyt sezonu opadających liści. Początkowo nie zauważyłem niczego niepokojącego. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz. Wcisnąłem dzwonek, ale nikt nie otworzył. Jej samochód stał pod wiatą, więc zakładałem, że musi być w domu. Nagle zacząłem mieć przeczucie, że coś jest nie w porządku. Że może jest poważnie chora albo spadła ze schodów. Albo zepsuł się piec i zatruła się śmiertelnie tlenkiem węgla. Przeszedłem na tyły domu, gdzie są te wielkie okna wychodzące na las, i zobaczyłem, że drzwi tarasowe są otwarte. Nie wyglądały na wyłamane, więc uznałem, że zapomniała je zamknąć. Albo ktoś otworzył je kluczem.

– Kto jeszcze miał klucz? – spytała Rizzoli.

– Wiemy, że miał go jej były mąż, ale tutejsi mieszkańcy nie zawsze zamykają drzwi na noc. To tego rodzaju miejsce. A ona trzymała zapasowy klucz pod kamieniem na tarasie z tyłu. Znaleźliśmy go, nadal tam był.

– Kto o nim wiedział?

– Wiele osób. Opiekunka do dziecka. Sprzątaczka. Ekipa, która odnawiała kuchnię.

– Innymi słowy, połowa miasta.

– Tak jakby. – Podszedł do okna i spojrzał na ciemniejące niebo. – To był bezchmurny, rześki dzień. Od tygodni nie padało, w domu nie było żadnych śladów błota. Tylko mnóstwo liści, które wiatr przywiał przez otwarte tylne drzwi. Wszedłem do środka i zacząłem wspinać się po schodach. I wtedy zobaczyłem muchy. I poczułem po raz pierwszy… hm… znacie ten zapach. To coś, czego się nie zapomina. Dotarłem na górę, na półpiętro, i stamtąd ją zauważyłem. Leżała w przedpokoju tuż przed sypialnią. Miała na sobie koszulę nocną, a drzwi sypialni były szeroko otwarte. Wyglądało na to, że wyszła z łóżka i stanęła twarzą w twarz z włamywaczem. – Popatrzył na detektywów z Bostonu. – Miała na szyi ślady duszenia, siniaki od palców. Ktokolwiek to zrobił, był wystarczająco silny, by udusić kobietę gołymi rękami. Sądząc po zapachu i muchach, pomyślałem, że musiało się to zdarzyć co najmniej kilka dni wcześniej. Niczego nie dotykałem. Zostawiłem ją tak, jak ją znalazłem, i zamierzałem zadzwonić po pomoc, gdy zauważyłem króliczka.

– Jakiego króliczka? – zdziwiła się Rizzoli.

– Różowego pluszaka. Leżał na podłodze w przedpokoju. I wtedy zrobiło mi się niedobrze. Nikt mi nie powiedział, że w tym domu jest dziecko. Zajrzałem do następnego pomieszczenia. Był to pokój dziecięcy. Różowe zasłony, na łóżku kołdra z postaciami księżniczek. Szukałem wszędzie. W sypialniach, w piwnicy, za domem, ale jej nie znalazłem.

Podobnie jak ekipa poszukiwawcza, która przeczesała cały las. – Pokręcił głową. – Dziewczynka zniknęła.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

Siedzieli w kafejce w Waterville, dwadzieścia minut jazdy od domu zabitej Eloise Creighton. Ulewny deszcz zatrzymał większość ludzi w domach i zajęty był jeszcze tylko jeden stolik. Siedziała przy nim para zbyt zaabsorbowana smartfonami, by zwracać uwagę na siebie nawzajem, a co dopiero na innych. Gdy na ulicy rozległ się grzmot i zadudniła ulewa, w lokalu słychać było tylko cichą rozmowę i syczenie ekspresu do kawy.

– Nigdy nie przestałem myśleć o tej sprawie, nawet po tylu latach – przyznał Thibodeau. – Nie prowadziłem śledztwa, ale mocno to wtedy przeżywałem z powodu tej zaginionej dziewczynki, Lily. Miała zaledwie trzy lata, kiedy zniknęła, i zadręczałem się myślą, co mogła przeżywać tamtej nocy. Czy widziała, co spotkało jej matkę? Czy znała zabójcę? A może nawet mu ufała? Moja córeczka miała wtedy rok i zastanawiałem się, jak bym się czuł, gdyby ją porwano. Gdybym nawet nie wiedział, czy jeszcze żyje. Cztery lata temu, kiedy zacząłem pracować w wydziale zabójstw i ciężkich przestępstw, Dan Tremblay odszedł właśnie na emeryturę, wydobyłem więc jego archiwum niewyjaśnionych zbrodni i przyjrzałem się ponownie sprawie zabójstwa Eloise Creighton. Teczka, którą pani dałem, zawiera kopie jego notatek i zapisów przesłuchań. Raport z sekcji prześlę pani mailem. Przeglądałem te materiały wiele razy i dochodzę wciąż do tego samego wniosku co Tremblay. Zrobił to jej były mąż. To musiał być on.

Rizzoli przerzuciła stertę kartek z zapisami przesłuchań.

– Nie było innych potencjalnych podejrzanych?

– Tremblay brał pod uwagę niemal każdego, kto miał kontakt z ofiarą. W końcu jednak uznał, że zabił ją były mąż, James. Ich rozwód był koszmarem. Prawdę mówiąc, ten związek od początku się nie kleił. Ona była naukowcem, a on muzykiem… nieodnoszącym zresztą większych sukcesów. Grał na gitarze w nocnych barach i uczył dorywczo muzyki w liceum w Bangor. Musieli stanowić przypadek przyciągających się przeciwieństw. Kobiety zawsze mają słabość do niechlujnych muzyków.

– Doprawdy? – spytała Rizzoli.

– Pani wie to lepiej.

– Ja nigdy nie szalałam za muzykami.

– Hm… na wiele kobiet jednak działają. Może to urok niegrzecznych chłopców. Tak czy inaczej, w przypadku Creightonów nie trwało to długo. Byli małżeństwem przez cztery lata, a potem ona wystąpiła o rozwód. Walczyli o wszystko: o meble, konto w banku, dziecko. W końcu zgodzili się na wspólną opiekę nad trzyletnią córeczką, ale i wtedy prawie się do siebie nie odzywali. Rozumie więc pani, dlaczego Tremblay podejrzewał głównie jego. Zwłaszcza że zabójca matki porwał również dziecko.

– Kto jeszcze był podejrzany?

– Ofiara miała w ciągu semestru zajęcia z czterema grupami studentów w Colby, więc ich też brano pod uwagę. Mogła wkurzyć któregoś złą oceną. Może jakiś student miał obsesję na jej punkcie. Była atrakcyjną kobietą, a wiedziano, że w jej życiu nie ma akurat żadnego mężczyzny. A tydzień przed zabójstwem urządziła w domu małe przyjęcie, z winem i serem, dla kilkanaściorga studentów ze starszych lat, żeby zobaczyli, gdzie mieszka, i obejrzeli jej dom. – Przerwał. – Tego wieczoru poznali jej córeczkę.

– Mówił pan, że miała na imię Lily? – powiedział Frost.

– Tak.

– Brał pan pod uwagę, że to nie matka była celem napastnika? Że mogło mu chodzić tak naprawdę o dziecko?

Thibodeau skinął głową.

– Tak. Ta dziewczynka była słodka jak cukierek. Długowłosa blondyneczka, jak jej matka. Tremblay zastanawiał się, czy ktoś nie zobaczył Lily w mieście i nie uznał, że chce ją mieć dla siebie. Matka mogła być przypadkową ofiarą nieudanego porwania.

– Kto opiekował się Lily, gdy jej matka miała zajęcia na uczelni? – spytała Rizzoli.

– Mała chodziła do prywatnego żłobka. Prowadziła go kobieta z sąsiedztwa. Nie było co do niej żadnych zastrzeżeń. Czterdziestopięciolatka mieszkająca całe życie w Waterville.

– Mówi pan tak, jakby to, że ktoś mieszka w sąsiedztwie, było gwarancją niewinności – wtrącił Frost.

– W pewnym sensie to prawda. Kiedy dorasta się w małym miasteczku, jest się zawsze pod lupą. Wszyscy wiedzą, kim jesteś i jaki jesteś. A więc nie, tego nie zrobiła właścicielka żłobka. Tremblay rozważał również możliwość, że sprawcą był ktoś z zewnątrz, kto przejeżdżał przez miasteczko. Zobaczył dziewczynkę, postanowił ją porwać i przypadkiem zabił jej matkę.

– Czy nie zauważono by tu kogoś obcego? – spytał Frost.

– Teraz to ciche miasteczko, ale proszę zaczekać do września, kiedy zaczynają się zajęcia w Colby i na drugiej miejscowej uczelni. Przyjeżdża tu dwa tysiące studentów plus turyści, którzy zjawiają się, by podziwiać barwy jesieni. W takim tłumie zawsze może się trafić jakiś pomyleniec. A więc owszem, to mógł być ktoś obcy. Ktoś, kto przyszedł po dziewczynkę, która na pewno się wyrywała. Narobiła krzyku i matka próbowała go powstrzymać. Więc musiał ją zabić.

– Czy technicy kryminalistyczni znaleźli coś użytecznego? – spytała Rizzoli.

– Mnóstwo odcisków palców, ale kilka dni przed zabójstwem ofiara urządziła to przyjęcie dla studentów. A parę tygodni wcześniej odnawiano jej kuchnię. Pracowali tam stolarz, hydraulik i elektryk. Poza tym wszędzie były odciski jej byłego męża.

– A więc wracamy do Jamesa Creightona.

– Miał klucz do domu, mógł więc tam wejść. Miał motyw. I absolutnie żadnego alibi na noc, gdy zamordowano jego żonę.

– Gdzie był tej nocy?

– Twierdził, że w zatoce Penobscot. Miał gównianą łódź i podobno przespał w niej cały weekend. Oczywiście nie było żadnych świadków.

– Oczywiście.

– Poza tym znaleźliśmy ślady krwi.

Jane ożywiła się.

– Jakie ślady?

– Na podłodze w przedpokoju na piętrze. Dwa metry od miejsca, gdzie znaleziono ofiarę.

– To była krew jej byłego męża?

– Grupa A Rh minus. James Creighton ma taką samą. Twierdził, że rok wcześniej zaciął się przy goleniu.

– Miał jakieś świeże rany?

– Skaleczony palec. Podobno rozciął go sobie na żaglówce. Faktycznie, tam też była krew, więc niewiele nam to pomogło. Zatrzymano go na czterdzieści osiem godzin i zrewidowano dom, który wynajmował, oraz żaglówkę, szukając dziewczynki. Włosy i odciski palców Lily były wszędzie, ale jej nie odnaleziono. Odwiedzała go regularnie, więc te ślady

na nic się nie zdały. Musieli go wypuścić, ale dla mnie nadal jest głównym podejrzanym. – Thibodeau spojrzał w oczy Rizzoli. – A teraz proszę mi wyjaśnić, co Creighton ma wspólnego ze sprawą zabójstwa, którą pani się zajmuje.

– Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie – odparła.

Thibodeau pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, gdzie on teraz jest.

– Nie macie go na oku?

– Minęło dziewiętnaście lat. Tremblay ciągle miał nadzieję, że pewnego dnia zdoła udowodnić winę Creightona. Może jakiś świadek zacznie mówić albo on sam się przyzna. Albo, nie daj Boże, znajdą szczątki dziewczynki. Kilka lat temu wydawało nam się, że na nie natrafiliśmy, gdy w stanowym parku trzydzieści kilometrów stąd odkryto jakiś szkielet.

– Szkielet dziecka? – spytała Jane.

– Tak. Sądząc po stanie kości, leżały tam już przez jakiś czas, dziesięć lat albo więcej. I był to szkielet mniej więcej trzyletniej dziewczynki.

– W wieku Lily.

– Gdy tylko je znaleziono, wezwałem Jamesa Creightona na przesłuchanie. Przemaglowałem go. Tak bardzo chciałem go przygwoździć, ale przeprowadzono badania i okazało się, że DNA tych kości nie odpowiada kodowi genetycznemu Jamesa ani Eloise.

– Więc czyj to był szkielet?

– Jest nadal niezidentyfikowany. To kości nieznanej dziewczynki pozostawionej w lesie. – Pokręcił głową. – A już myślałem, że go, kurwa, dopadłem.

– Co stało się z Creightonem?

– W liceum nie chciano, by dalej uczył muzyki, więc stracił tę fuchę. Przeprowadził się, szukając innych zajęć. Pracował w Gas and Go w Auguście. I w restauracji w Portlandzie.

To wyjaśniało, dlaczego na billingu Sofii Suarez znalazło się tyle numerów telefonów z Maine. Próbowała zlokalizować Jamesa Creightona, szukając go w miejscach, gdzie kiedyś pracował. Stacja benzynowa. Restauracja Buffalo Wings. Czy zdołała się z nim skontaktować? Czy telefon na kartę, na który dzwoniła, należał do Creightona?

– Chcielibyśmy pokazać panu nagranie – powiedział Frost i wręczył Thibodeau swoją komórkę. – To nagranie z kamery, zarejestrowane na cmentarzu w Bostonie. Na telefonie obraz jest nie najlepszy, ale potem wyślę panu plik, żeby zobaczył je pan na komputerze.

– Na co powinienem zwrócić uwagę?

– Mamy nadzieję, że rozpozna pan widocznego tam mężczyznę.

Thibodeau obejrzał nagranie raz, a potem drugi; w tle zasyczał znów ekspres do kawy.

– Czy ten człowiek to James Creighton? – spytał Frost.

Thibodeau sapnął.

– Nie wiem.

– Czy to może być on?

– Przypuszczam. Zgadzają się wzrost i kolor włosów. Ale jeśli to on, to zmienił się bardzo, odkąd ostatni raz go widziałem. Stracił na wadze, i to znacznie. I ubyło mu włosów. – Thibodeau oddał Frostowi telefon. – Chciałbym mieć pewność, tylko że to niezbyt dobre nagranie.

– Ma pan pojęcie, gdzie on jest teraz? – spytała Rizzoli.

– Nie. Gdy przejąłem tę sprawę, zniknął z pola widzenia. Pewnie wiedział, że go obserwuję i czekam na jakikolwiek pretekst, by trafił za kratki. Okej, może rzeczywiście trochę go nękałem, więc miał powód, by

mnie unikać. O ile mi wiadomo, jest nadal w Maine. Ale może też być gdziekolwiek na terenie kraju.

– I nadal zabija.

– Możliwe. Nie dostrzegam jednak żadnego związku między zabójstwem Eloise Creighton i waszym przypadkiem w Bostonie.

– Łączy te sprawy Sofia Suarez.

– Tylko dlatego, że szukała Creightona w internecie?

– Ale dlaczego go szukała? I czy go znalazła? I czy dlatego zginęła?

Thibodeau zaśmiał się ponuro.

– Uśmiercona przez internet. To coś nowego.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, przetrawiając to pytanie. Mężczyzna i kobieta w głębi sali nadal wpatrywali się w smartfony, nie interesując się rozmową detektywów ani sobą nawzajem. Drzwi kafejki otworzyły się szeroko i do środka wpadły dwie kobiety, otrzepując z kurtek krople deszczu. Barmanka powitała je radośnie, zwracając się do nich po imieniu. W miasteczkach, gdzie wszyscy się znają, zabójstwa przypisuje się zawsze obcym.

Dopóki nie okazuje się, że jest inaczej.

– Co z innymi podejrzanymi? – spytała Rizzoli.

– Był student, który groził profesor Creighton, gdy go oblała. I pijak mieszkający przy jej ulicy. Ale żaden nie okazał się sprawcą.

– Ma pan listę studentów, którzy byli na przyjęciu u profesor Creighton tydzień wcześniej?

– Jest w teczce, którą pani dałem. Niektórzy mieli alibi na noc zabójstwa. Ale nie wszyscy.

– A ekipa, która odnawiała kuchnię? – spytał Frost.

– Trzech ludzi. Ich nazwiska też są w teczce. Mieli dostęp do domu i ich odciski były na drzwiach wejściowych i w całej kuchni. Widywali dziewczynkę, gdy tam pracowali, więc Tremblay z nimi też rozmawiał.

Rizzoli znalazła w teczce notatki z przesłuchań członków ekipy remontowej. *Scott Constantine. Bruce Flagler. Byron Barber.* Kolejne nazwiska, które należało dołączyć do coraz dłuższej listy potencjalnych podejrzanych.

– Czy któryś z nich był notowany?

– Tylko za drobne sprawy. Jazda po pijanemu, przemoc domowa. Ale wszyscy trzej zeznali, że w noc zabójstwa byli w domu, a ich żony lub narzeczone to potwierdziły. Dwaj z nich przeprowadzili się do innego stanu i nie mam pojęcia, gdzie teraz są. Byron Barber nadal mieszka w miasteczku i remontuje kuchnie.

Rizzoli spojrzała na zdjęcie Eloise i Lily Creighton, matki i córki, uśmiechających się promiennie do obiektywu aparatu spod rozłożystego dębu. Obie miały bladą cerę i jasne włosy i były w jednakowych letnich sukienkach z różowymi wstążkami. Wydawały się takie szczęśliwe, że patrzenie na nie teraz wręcz sprawiało ból. Rizzoli pomyślała o swojej córeczce i wielkanocnej fotografii, na której były razem. Nie włożyły ładnych wiosennych sukienek, bo Regina była czterolatką, która wolała ogrodniczki, ale podobnie jak Eloise i Lily Creighton pozowały pod drzewem, równie radośnie uśmiechnięte. Odwróciła zdjęcie i zobaczyła, że zrobiono je piętnastego czerwca.

Cztery miesiące później Eloise Creighton nie żyła.

– Widzi pani, dlaczego ta sprawa mnie prześladowała – powiedział Thibodeau. – Te twarze. Te uśmiechy. Ciągle myślałem o swojej córce.

– Też bym myślała – przyznała cicho Rizzoli.

Thibodeau zerknął na zegarek.

– Przepraszam, że państwa opuszczam, ale mam spotkanie. Większość potrzebnych informacji znajdą państwo w tej teczce i prześlę mailem wszystko, co jeszcze mam. Jeśli wyjaśnicie swoją sprawę, poproszę o telefon. Jestem cholernie ciekawy, co łączy te dwa zabójstwa. – Wstał. – Zakładając, że istnieje jakikolwiek związek.

# Rozdział dwudziesty drugi

– Na podstawie tego, co przeczytałam w raporcie z sekcji Eloise Creighton, nie widzę wielu podobieństw między tymi dwoma zabójstwami – powiedziała Maura. – Moim zdaniem nie macie do czynienia z tym samym zabójcą.

Rizzoli przyglądała się Maurze, kiedy ta myła ręce w zlewie w prosektorium, najwyraźniej nie zwracając uwagi na fetor po autopsji, którą właśnie przeprowadziła. Rizzoli stała przy drzwiach, zakrywając łokciem nos, ale zapach przeniknął już do jej nozdrzy i płuc. Nawet gdyby ściągnęła ubranie i wzięła prysznic, nie byłaby w stanie usunąć go z pamięci.

– Kogo ty tam, do cholery, kroiłaś? Cuchnie jak kanalizacja.

– To osiemdziesięcioośmioletnia kobieta. Mieszkała sama. Zanim ją znaleziono, przeleżała martwa osiem dni w ciepłym domu. – Maura zakręciła kran i sięgnęła po papierowy ręcznik, by wytrzeć ręce. – Bardzo smutna, ale jednak naturalna śmierć.

– Czy możemy stąd wyjść? Potrzebuję świeżego powietrza.

– Chętnie. – Maura rzuciła papierowy ręcznik do pojemnika na śmieci. – Wyjdźmy na zewnątrz.

Nocą nadciągnęły kolejne burze i nad miastem wisiały nisko ciemne chmury. Powietrze było ciężkie i wilgotne i Rizzoli wyczuwała kolejne opady. Usiadły na ławce za budynkiem, przy betonowym tunelu, który jeszcze wzmagał hałas ruchu ulicznego. Widok był zdecydowanie nieefektowny, a spaliny zanieczyszczały powietrze, ale nie czuły przynajmniej odoru śmierci. Obie miały go już dzisiaj dość.

– Chciałabym, żeby to był ten sam zabójca – powiedziała Rizzoli. – To by wszystko uprościło. Musiałabym tylko odnaleźć Jamesa Creightona.

– Policja w Maine nie udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że to on zabił byłą żonę.

– Detektyw Thibodeau jest tego niemal pewny. A jeśli Creighton zamordował jedną kobietę…

– To nie oznacza, że zabił drugą.

– Ale są pewne podobieństwa. W obu przypadkach sprawca wtargnął do domu. I wygląda na to, że obie ofiary dały się zaskoczyć.

– Jeśli to ten sam zabójca, zmienił metody działania. Sofia została uderzona młotkiem. Takie zabójstwo jest wyrachowane i pragmatyczne. Eloise Creighton uduszono w przedpokoju na piętrze. To bardzo osobisty, bardzo intymny sposób zabicia kogoś. Wymaga siły i bezpośredniego kontaktu, na tyle bliskiego, że zabójca czuje, jak ofiara walczy, wyczuwa jej ostatnie drgawki.

– Uważasz, że ją znał.

– To nie wyklucza kogoś obcego. Może musiał zrobić to rękami, bo nie miał w tym momencie żadnego narzędzia.

– Creighton miał motyw. Walczył z byłą żoną o opiekę nad dzieckiem.

– Jeśli ją zabił, to gdzie jest ta mała? Po co miałby mordować dziewczynkę?

– Wiesz, jak to jest z byłymi. „Skoro nie może należeć do mnie, nikt jej nie będzie miał”. Nie znaleziono jeszcze szczątków Lily. A na podłodze w przedpokoju na górze była jego krew.

Maura skinęła głową.

– Widziałam ten szczegół w raporcie. Grupa A Rh minus.

– Taką właśnie ma. I wcześniej zranił się w palec.

– Więc miał wyjaśnienie. Poza tym znaleziono krew na jego łodzi, gdzie podobno się skaleczył.

– Wygodne wytłumaczenie – rzuciła Rizzoli.

– Nadal spekulujesz, Jane. Pomyśl, czym różnią się te sprawy. Jedna z ofiar była po trzydziestce, druga po pięćdziesiątce. Mieszkały w różnych miastach, w różnych stanach. I pierwsze zabójstwo miało miejsce dziewiętnaście lat temu.

– Sofia pracowała wtedy jako pielęgniarka w Maine. O zabójstwie Eloise Creighton donosiły wszystkie miejscowe gazety, więc musiała o nim słyszeć.

– Po co do tego teraz wracała? Prawie dwadzieścia lat później? – spytała Maura.

– Właśnie tego muszę się dowiedzieć. – Rizzoli spojrzała na wycinek szarego nieba nad głową i odetchnęła głęboko, by oczyścić płuca z cuchnącego powietrza. Siedziały w milczeniu, nasłuchując brzęku pokrywy włazu, gdy przejeżdżały po niej samochody.

– Może przypadkiem coś odkryła – odezwała się w końcu Maura. – Usłyszała jakąś rozmowę albo wyczytała w gazecie coś, co przypomniało jej o tamtym zabójstwie, i z ciekawości zaczęła szperać w internecie.

– Zwróć uwagę na daty. Na początku kwietnia zaczyna szukać w sieci Creightona. Znajduje jego dawny adres i wysyła mu list. Miesiąc później dostaje maila od kogoś, kto podaje jej numer telefonu na kartę. To musi być jego telefon. Jamesa Creightona.

– Możliwe również, że wcale do niego nie należy i że śmierć Sofii nie miała nic wspólnego z zabiciem Eloise Creighton.

– Więc po co szukała go w internecie? – spytała Rizzoli.

– Ludzie siedzą w sieci z różnych dziwnych powodów. Byłabyś zdziwiona, gdybym ci pokazała moją historię wyszukiwania z ostatnich dni.

– Niech zgadnę. Miało to coś wspólnego ze zwłokami.

– Naprawdę uważasz, że tylko o tym myślę?

– To jedyny temat naszych rozmów.

– Pingwiny.

– Co?

– Ostatnio szukałam w internecie informacji o pingwinach.

Rizzoli roześmiała się.

– Zgoda – rzuciła. – To jest dla mnie niespodzianka. Mogę zapytać dlaczego?

– Planuję wyprawę na Antarktydę.

– Kiedy wszyscy na świecie zmierzają na ciepłe plaże, ty wybierasz lodowce. Typowe.

– Pingwiny są fascynujące, Jane.

– Tak. Jak złote rybki.

Kropla deszczu spadła Rizzoli na nos. Widząc rozpoczynającą się ulewę, wciągnęła w nozdrza zapach mokrej nawierzchni, zapach miejskiej burzy.

– Pora wracać do pracy – powiedziała Maura.

– Uważasz, że tracę czas, prawda? Próbując powiązać te dwa zabójstwa.

– Nie wiem, Jane. Pracując z tobą od tylu lat, nauczyłam się jednego: nigdy nie wątpić w twój instynkt.

Ale siedząc tego popołudnia za biurkiem i czytając ponownie dokumenty dotyczące śmierci Eloise Creighton, Rizzoli zastanawiała się, czy tym razem instynkt jej nie zawodzi. Maura miała rację. Ofiary bardzo się różniły, podobnie jak okoliczności, w jakich zginęły. Eloise Creighton była atrakcyjną młodą wykładowczynią uniwersytecką, która mieszkała z córeczką w wiejskiej okolicy. Sofia Suarez, wdowa w średnim wieku,

żyła samotnie w Bostonie ze swoją złotą rybką. Poza tym, że były kobietami i zostały zamordowane, niewiele je łączyło.

Otworzyła raport z autopsji i przejrzała wykonane w prosektorium zdjęcia Eloise Creighton. Poza siniakami na szyi jej skóra była nieskazitelna, a włosy niemal srebrzyste w mdłym świetle lamp. Nie było śladów gwałtu. Miała na sobie koszulę nocną, a pościel w łóżku była wygnieciona, więc coś zbudziło ją w nocy. Może odgłos kroków? Albo krzyki córeczki? Z jakiegoś powodu wstała z łóżka, wyszła z sypialni i natknęła się na swojego zabójcę. Czyżby zaskoczony nagle jej widokiem, wpadł w panikę i ją zabił?

Wróciła do zdjęcia matki i córki. Obie jasnowłose i takie szczęśliwe. Pomyślała o Reginie, wyobraziła sobie swoją córeczkę znikającą w mroku. Co bym zrobiła, by ją odnaleźć? Wszystko.

Absolutnie wszystko.

◘ ◘ ◘

O piątej po południu Rizzoli siedziała nadal przy biurku, wciąż wertując teczkę Eloise Creighton. Detektyw Tremblay prowadzący tę sprawę zgromadził setki dokumentów, które teraz miały już prawie dwadzieścia lat. Mogły nie mieć żadnego związku z zabójstwem Sofii Suarez, ale jej telefony do Maine i to, że poszukiwała informacji na temat Jamesa Creightona, sprawiały, że zdaniem Rizzoli musiał istnieć jakiś związek. Frost wyszedł pół godziny temu, a ona musiała wkrótce odebrać Reginę z przedszkola, nadal jednak przeglądała notatki Tremblaya i zapisy przesłuchań, szukając jakiegoś ważnego szczegółu, który przeoczyła za pierwszym razem. Szczegółu, który powiązałby Creightona z obydwoma zabójstwami.

Wzięła ze sterty kolejny dokument: zapis przesłuchania Tima Hilliera, jednego ze studentów, którzy uczestniczyli w przyjęciu u Eloise Creighton tydzień przed jej śmiercią. Miał dwadzieścia jeden lat, był na ostatnim roku college'u w Madison w stanie Wisconsin, a potem chciał studiować medycynę. Nie było jego zdjęcia, ale policja stanowa pobrała mu profilaktycznie odciski palców. Nie miał kryminalnej przeszłości i twierdził, że w noc zabójstwa był ze swoją dziewczyną. Tremblay nie uważał go za podejrzanego. Do raportu z przesłuchania dołączono notatkę sporządzoną wkrótce po tym, jak detektyw Thibodeau przejął niewyjaśnioną dotąd sprawę.

Doktor Tim Hillier jest obecnie dermatologiem praktykującym w Madison w Wisconsin. W rozmowie telefonicznej powiedział, że nie przypomina sobie niczego nowego ani nie ma dodatkowych informacji w sprawie śmierci profesor Creighton. Hillier jest teraz mężem dawnej koleżanki z uczelni w Colby, Rebekki z domu Ackley, która również była na przyjęciu u profesor Creighton (odsyłacz do przesłuchania Ackley).

Thibodeau z pewnością znacznie ułatwił Rizzoli zadanie. Wyśledził większość aktualnych adresów studentów, ich zawody i numery telefonów. Sprawdziła szybko w internecie, że doktor Tim Hillier nadal ma praktykę w Wisconsin. Odcisków Hilliera i jego żony Rebekki, pobranych podczas śledztwa dziewiętnaście lat wcześniej, nie było w bazie danych daktyloskopijnych AFIS. Para bez skazy.

Rizzoli odłożyła na bok akta Tima Hilliera i Rebekki Ackley i przeszła do następnego przesłuchania.

W przyjęciu uczestniczyło dziewiętnaścioro studentów i Thibodeau przestudiował wszystkie ich zeznania. Dobrzy detektywi zwykle cierpią przynajmniej w pewnym stopniu na nerwicę natręctw, a on najwyraźniej wykazywał przejawy jej zaawansowanego stadium – sprawdzał uparcie

aktualną sytuację każdego, kto był w domu profesor Creighton tydzień przed zabójstwem. Odkrył, że dwaj studenci już nie żyją: jeden zmarł na wylew krwi do mózgu, drugi zginął w górach w Szwajcarii. Po studiach większość uczestników przyjęcia wyjechała z Maine do miast na całym świecie. Tylko jeden mieszkał obecnie w Bostonie – Anthony Yilmaz, doradca finansowy firmy Tang and Viceroy Investments – i pewnie warto będzie z nim porozmawiać. Wielu studentów zrobiło imponujące kariery: byli lekarzami, prawnikami, doradcami finansowymi. Żaden nie wszedł w konflikt z prawem ani nie pozostawił odcisków na miejscu przestępstwa.

Rizzoli zajęła się w końcu kartoteką Jamesa Creightona. Jeśli nie liczyć jazdy po pijanemu w wieku dziewiętnastu lat i oskarżenia o wandalizm, gdy był jeszcze nieletni, nie miał kryminalnej przeszłości, nie postawiono mu zarzutów o przemoc, ale on i jego była żona prowadzili w sądzie zażartą walkę o opiekę nad trzyletnią córką Lily. Eloise w tym czasie zaproponowano stanowisko na uniwersytecie w Oregonie, co oznaczało, że dziecko byłoby pięć tysięcy kilometrów od ojca. Rozmowy adwokatów obu stron stawały się coraz bardziej zawzięte.

*Powiedział, że będę żałować, jeśli mu ją zabiorę*, zeznała Eloise pod przysięgą. *Uznałam to za groźbę. Dlatego nie uważam, by nadal miał prawo ją odwiedzać.*

Z tego właśnie powodu Tremblay uznawał jej byłego męża za zabójcę. Ten człowiek miał motyw, możliwości i brakowało mu alibi. Ślady jego krwi znaleziono obok ciała Eloise. Był z pewnością podejrzanym numer jeden, ale nigdy nie próbował uciec z Maine. Mimo że to zabójstwo zszargało jego reputację, unikali go sąsiedzi, a policja kręciła się ciągle na jego podwórku, szukając szczątków Lily, nie uciekł z domu – przynajmniej początkowo. Potem rodzice dzieci z liceum zaczęli się skarżyć, że ich nauczyciel muzyki może być mordercą. Stracił pracę, był zmuszony imać

się różnych zajęć i nigdzie dłużej nie zagrzewał miejsca. Kiedy policja grzebie stale w twojej przeszłości, prześladuje cię i nęka, kto cię zatrudni?

Zadzwoniła komórka Rizzoli. Komisariat policji w Revere.

– Detektyw Rizzoli – rzuciła.

– Mówi detektyw Saldana z Revere.

– Cześć. Czym mogę służyć?

– Na początek może pani porozmawiać ze swoją matką.

Rizzoli westchnęła.

– Co znowu zrobiła?

– Rozumiem, że miała dobre intencje, wydzwaniając w sprawie Tricii Talley. Która, nawiasem mówiąc, żyje i ma się dobrze. Po prostu, jak to nastolatka, pokłóciła się z rodzicami.

– Przepraszam za te telefony. Kiedy mama coś sobie ubzdura, uparcie się tego trzyma. – Naprawdę uparcie.

– W porządku. Po prostu obserwuje, co dzieje się w okolicy, i doceniamy to, że nas zawiadamia. Ale sprawy posunęły się za daleko. Musi przestać donosić na sąsiadów.

– Chodzi o tę parę z naprzeciwka?

– Tak.

– Mówiła mi, że ten mężczyzna nosi ukrytą broń. Nie miałam okazji sprawdzić, czy ma pozwolenie, ale…

– Proszę się tym nie kłopotać. Niech pani matka po prostu przestanie dzwonić.

– Czy wnieśli skargę?

– Dobrze wiedzą, że się nimi interesuje.

– Czy grozi jej coś w rodzaju zakazu zbliżania się do nich?

– Musi przestać ściągać na tych ludzi uwagę. To ważne, więc proszę z nią porozmawiać. Będę pani wdzięczny.

Rizzoli milczała, zaintrygowana tym, czego nie powiedział. W końcu poprosiła cicho:

– Zechce mi pan powiedzieć, o co chodzi z tymi sąsiadami?

– Jeszcze nie teraz.

– Więc kiedy?

– Dam pani znać – odparł detektyw Saldana i zakończył rozmowę.

# Rozdział dwudziesty trzeci

## Angela

Moja córka ustaliła zasadę: „Trzymaj się z daleka od Greenów!”. Nie wkroczyłam przecież na ich teren ani w żaden sposób nie nękałam tych ludzi, ale najwyraźniej poskarżyli się detektywowi Saldanie z policji w Revere, a on poinformował o tym Jane, więc córka ostrzega mnie, że mogą załatwić sądowy zakaz zbliżania się do nich, choć uważam, że przesadza. Okazuje się, że jestem czarnym charakterem – tylko dlatego, że dbam o bezpieczeństwo w okolicy. Że coś zobaczyłam i o tym opowiedziałam.

Nikogo nie obchodzi, co ma do powiedzenia dojrzała kobieta, więc ignorują moją opinię. Kobiety w moim wieku zawsze są ignorowane. Nawet gdy mają rację.

Mówię o tym w czasie czwartkowego wieczoru scrabble’a, gdy siedzimy w moim salonie. Lorelei kiwa zdecydowanie głową, kiedy wspominam o tym, jak my, kobiety, musimy walczyć, by nas słuchano. W tym momencie jej mąż z całą pewnością nas nie słucha, bo wpatruje się uważnie w swoje płytki. Larry zresztą nigdy nie był zbyt dobrym słuchaczem. Może dlatego, że jego zdaniem nie mam nic istotnego do powiedzenia. Patrzę, jak przygląda się płytkom, mrużąc oczy i zaciskając usta, jakby układał je do najbardziej cierpkiego pocałunku. Jest świadomy swojej inteligencji, lecz to, że ciągle z nim przegrywam, nie oznacza jeszcze, że nie warto mnie słuchać. Ma dyplom z angielskiego, ale ja przez całe życie byłam matką, co oznacza, że mam oczy z tyłu głowy. Tylko że to jest coś, czego taki językowy snob jak Larry Leopold nigdy nie doceni.

Przynajmniej Jonas słucha Lorelei i mnie. Właśnie wypadła jego kolejka, więc ułożył słowo *struga*, co było zręcznym sposobem na pozbycie się litery G, i teraz może całkowicie skupić się na mnie. Może skupia się nawet za bardzo: nachyla się tak blisko, że czuję w jego oddechu zapach wina Ecco Domani.

– Myślę, że my, mężczyźni, wiele tracimy, ignorując kobiety – mówi. – Ja zawsze słucham, co panie mają do powiedzenia.

– Ciekawe dlaczego – prycha Larry.

– Pomyśl, ile umyka nam mądrości, gdy nie słuchamy.

– *Jurny.*

– Co? – Patrzę na Larry'ego, marszcząc brwi.

– Pięć liter. Pozbyłem się U.

Wpatruję się w planszę, na której Larry położył właśnie swoje płytki. No, ładnie się zapowiada ten wieczór!

– Co do słów mądrości – mówi Larry, dobierając płytki – to wolę słuchać opinii z dobrze poinformowanych źródeł.

– Uważasz, że nie jestem dobrze poinformowana? – pytam.

– Moim zdaniem ludzie za bardzo polegają na instynkcie. Na przeczuciach. W ten sposób wpadamy w kłopoty, bo ufamy najbardziej prymitywnym reakcjom naszego mózgu.

– Nie zgadzam się z tym i powiem ci dlaczego – odezwał się Jonas. – To wspomnienie z czasów, gdy służyłem jeszcze w marynarce.

– Tak?

– Wtedy przeczucia uratowały mi życie. To było podczas operacji Pustynna Tarcza. Moja jednostka komandosów rozmieszczała miny u wybrzeży Kuwejtu. Wyczułem, że kuter, który płynął w naszym kierunku, nie był zwykłą łodzią rybacką.

– Jonas – przerwał mu Larry. – Wszyscy słyszeliśmy już tę historię.

– Ja zawsze chętnie jej słucham – wtrąciła Lorelei. – Nie byłeś w wojsku, Larry, ale to nie powód, by nie okazywać szacunku tym, którzy służyli.

– Dziękuję. – Jonas szarmancko skłonił przed nią głowę.

Dostrzegam, jak wymieniają spojrzenia, i czuję się zbita z tropu. Jonas i Lorelei? Nie, to niemożliwe. On zwraca uwagę tylko na mnie, tak przynajmniej sądziłam, i choć nie jestem nim zainteresowana, miło pomyśleć, że dostaję to, na co zasługuję. Czym Lorelei może przyciągać takiego mężczyznę jak Jonas? Jest pewnie szczuplejsza niż ja, a chudość jest podobno nawet w modzie, ale mnie przypomina nieopierzone pisklę.

– Angelo, zamierzasz zrezygnować ze swojej kolejki? – zwraca się do mnie Larry.

Odrywam wzrok od Jonasa i Lorelei i patrzę na moich siedem płytek. Trafiły mi się różne litery, ale mój umysł nie potrafi ich ułożyć w żadne sensowne słowo. Wychodzi mi tylko *dar*, *kat* i *rad*. Słowa, które umocnią jedynie niepochlebną opinię Larry’ego o mojej inteligencji. Nie potrafię jednak wymyślić niczego lepszego, więc poprzestaję na *kat*. Spoglądam na Larry’ego, oczekując, że powie coś uwłaczającego, lecz kręci tylko głową i wzdycha.

Lorelei układa wyraz *skała*, całkiem niezły, choć nie klasy Larry’ego, i mówi do mnie:

– Więc co knują ci Greenowie? Czy Jane coś ci powiedziała?

– Mówi tylko, że nie wolno mi się do nich zbliżać, bo będę miała do czynienia z policją z Revere.

– To chyba przesada – rzuca Larry.

– Moja córka dokładnie tak powiedziała. Mam się nimi nie interesować, choć ten człowiek ma broń. Mimo że najwyraźniej coś jest z nimi nie

w porządku. – Patrzę na Jonasa. – Nie sądzisz? Mieszkasz tuż obok nich.

Wzrusza ramionami.

– Prawie ich nie widuję. Zawsze mają opuszczone żaluzje.

– Właśnie! A to znaczy, że coś ukrywają. Najwyraźniej policja wie o nich więcej, niż chce przyznać. Przeczuwam, że Greenowie mają coś wspólnego z białą furgonetką, która ciągle tędy jeździ.

– Jaką białą furgonetką? – pyta Lorelei.

– Nie zauważyłaś jej? Przejeżdża bardzo powoli, jakby ktoś wybierał domy, które warto okraść, albo coś w tym rodzaju. Widziałam ją już cztery razy. Zawsze zwalnia koło twojego domu.

Larry podnosi wzrok znad płytek.

– O co chodzi z tą furgonetką?

– Widzisz, Larry? – mówi jego żona. – Kiedy nie słuchasz nas, kobiet, omijają cię ważne rzeczy.

– Może to po prostu hydraulik albo jakiś inny spec – sugeruje Jonas. – Oni chyba wszyscy jeżdżą białymi furgonetkami.

– Nie ma żadnego logo – oznajmiam. – Nie przyjrzałam się rejestracji, ale jak pojawi się następnym razem…

– Zadzwoń do mnie – prosi Lorelei. – Żebym też mogła się przyjrzeć.

– Mam lepszy pomysł – mówi Larry. – Może weźmiecie obie miotły i go przegonicie? Bo przecież, na Boga, nie możemy pozwolić, żeby w okolicy kręcili się hydraulicy!

Lorelei patrzy na niego krzywo.

– No wiesz, Larry…

Ale on już jej nie słucha; wpatruje się w płytki, knując, jak znów nas wszystkich upokorzyć.

– A co z Tricią Talley? – zmienia temat Lorelei. – Dowiedziałaś się, co się dzieje z tą dziewczyną?

– No właśnie, co się stało z Tricią? – pyta Jonas.

Wzdycham ciężko.

– Nic. Myliłam się w tej sprawie.

– Niesamowita historia! – woła Larry. – Angela Rizzoli w czymś się pomyliła!

– Przyznałam się do tego, prawda? Widziałam Tricię w supermarkecie, a potem rozmawiałam z Jackie i powiedziała mi, że się posprzeczały. Tricia żyje i ma się dobrze, ale nie wróciła jeszcze do domu. Jest bardzo wzburzona.

– Ma chłopaka? – Lorelei przysunęła się bliżej i dodała cicho: – Kiedy dziewczyny się buntują, zawsze chodzi o chłopaka.

– Nie wiem. Jackie mi nie powiedziała. Była ostatnio wyjątkowo małomówna, co wydaje mi się dziwne, bo sama mnie prosiła, bym zaangażowała w to Jane. A teraz chce, żebym się odczepiła.

– Możemy grać dalej? – odzywa się Larry. – Nie przyszedłem tu, żeby plotkować o sąsiadach.

Żona go ignoruje.

– Spotkałam Jackie w zeszłym tygodniu na stacji benzynowej i zapytałam ją o Tricię. Nie chciała o niej rozmawiać. Znamy tę rodzinę, odkąd Jackie dostała pracę w szkole Larry’ego, i muszę przyznać, że nigdy mnie nie polubiła. Gdy tylko się do niej zbliżam, otacza się jakby warstwą lodu. Nie sądzisz, Larry?

– Nie.

– Ja wcale tego nie zauważyłem – mówi Jonas.

Lorelei spogląda na mnie.

– Przysięgam, że mężczyźni nigdy niczego nie dostrzegają.

– Widzę, że nikt nie chce grać w scrabble’a. – Larry zbiera swoje płytki i wrzuca je bezceremonialnie do pudełka. – Więc idę do domu.

Jesteśmy tak zaskoczeni, że nie wiemy, co powiedzieć. Lorelei zrywa się z miejsca i podąża za mężem do drzwi.

– Larry? Larry! – Odwraca się do nas i kręci głową. – Przepraszam, nie wiem, co w niego wstąpiło. Zadzwonię do ciebie później, Angelo.

Jonas i ja słyszymy, jak zatrzaskują się frontowe drzwi, i patrzymy na siebie zdumieni. W końcu Jonas bierze do ręki butelkę wina.

– Szkoda byłoby to zmarnować – mówi i napełnia po brzegi mój kieliszek.

– Co go tak zezłościło?

– Larry staje się starym zrzędą, i tyle.

– Nie, dziś wieczorem było inaczej. Był bardziej marudny niż zwykle.

Gra w scrabble’a nie udała się. Już zamierzam wrzucić swoje płytki do pudełka, gdy nagle zdaję sobie sprawę, jakie słowo mogłabym z nich ułożyć, wykorzystując leżące na planszy M: *hazardem*. I zarobiłabym potrójną premię. To byłby dopiero policzek wymierzony w nadętą twarz Larry’ego! Jestem zła, że go nie ma. Zawsze, kiedykolwiek tu jest, tak mnie onieśmiela, że mój umysł się zamyka.

– Nie wiem, dlaczego Lorelei wytrzymuje z tym człowiekiem.

– Ona też tego nie wie – odpowiada Jonas.

– Co?

– Tak mi powiedziała.

– Kiedy?

Wzrusza ramionami i wypija łyk wina.

– Parę lat temu, gdy spotkaliśmy się na kawę.

– Ty z nią?

– Wolałbym umówić się z tobą, ale wtedy byłaś jeszcze mężatką.

– Ona także. Zresztą nadal jest.

– Cóż mogę powiedzieć? Kobiety zwierzają mi się ze swoich problemów, a ja słucham. Bardzo uważnie.

– Co jeszcze między wami zaszło?

Uśmiecha się jak kot, który chce wyznać „Zjadłem kanarka”.

– Jesteś zazdrosna?

– Nie! Tylko…

– Odpręż się, Angie. Nic między nami nie zaszło. Ona nie jest w moim typie. Zbyt chuda, nie ma czego chwycić. Lubię kobiety, które mają trochę ciała.

Chce przez to powiedzieć, że ja mam trochę ciała, i wcale nie jestem pewna, czy miło mi to słyszeć, ale puszczam tę uwagę mimo uszu. Bardziej interesuje mnie to, co ma do powiedzenia o Lorelei i Larrym.

– Czy on ją maltretuje? – pytam.

– Co, Larry? – Jonas śmieje się. – Z tymi jego cienkimi kurzymi nóżkami? Nie, nie na tym polega problem.

– Więc o co chodzi?

– Nie mogę o tym rozmawiać. Obiecałem jej.

– Sporo mi już powiedziałeś. Nie możesz teraz przerwać.

Kładzie rękę na sercu.

– Pewnych rzeczy dżentelmen nie robi. Na przykład nie zdradza sekretów damy. W tej kwestii możesz mi ufać, Angie. Bo nigdy nie wyjawiłbym twoich tajemnic.

Patrzy mi w oczy i niemal czuję, jak penetruje moją głowę, zgłębia fałdy mózgu.

– Nie mam żadnych tajemnic – rzucam.

– Wszyscy mają. – Uśmiecha się do mnie przebiegle. – Może czas, żebyś miała jeszcze parę.

– Nigdy nie przestaniesz, Jonas?

– Masz mi za złe, że próbuję? Jesteś atrakcyjną kobietą i mieszkasz dokładnie naprzeciwko. To jak oglądanie wystawy cukierni bez cienia szansy, by cokolwiek kupić. – Opróżnia kieliszek i odstawia go. – Posłuchaj, wiem, że oddałaś serce Vince’owi. Ale gdybyś kiedykolwiek zmieniła zdanie, wiesz, gdzie mieszkam.

Odprowadzam go do drzwi, jak przystało na uprzejmą gospodynię. Także dlatego, że wydaje się naprawdę rozczarowany, co powinno mi schlebiać, ale jest mi go żal. Patrzę, jak wraca przez ulicę do swojego domu, i myślę, że samotnie kładzie się spać, w samotności budzi się rano i je śniadanie. Ja mogę przynajmniej wyczekiwać powrotu Vince’a, gdy tylko jego siostra stanie znów na nogi, ale mój sąsiad nie ma takiej perspektywy. Przynajmniej na razie. W jego domu zapala się światło i Jonas pojawia się w oknie salonu. Znów podnosi ciężarki, by utrzymywać w formie mięśnie i być gotowym do kolejnego podboju.

Mój wzrok przyciąga jeszcze jeden ruch. Tym razem nie chodzi o Greenów, tylko o Larry’ego Leopolda, który wyjeżdża tyłem z podjazdu. Chyba mnie nie zauważa, gdy mija mój dom, i dobrze. Nie chcę, by myślał, że zajmuję się wyłącznie szpiegowaniem sąsiadów. Ale jest po dziesiątej w nocy i zastanawiam się, dokąd jedzie o tej porze. W ciągu tych ostatnich paru tygodni byłam tak skupiona na Tricii, a potem na Greenach, że nie zwracałam uwagi, co jeszcze dzieje się w okolicy. Jonas mówił prawdę: wszyscy mają tajemnice.

Zastanawiam się, co ukrywa Larry.

Mam już zamknąć drzwi, gdy dostrzegam coś białego u moich stóp: kawałek papieru. Musiał być wetknięty we framugę i wypadł, gdy wychodzili goście. Podnoszę go i zabieram do środka, żeby przeczytać wiadomość.

Na kartce są tylko cztery słowa i sądząc po charakterze pisma, napisała je kobieta.

*Zostaw nas w spokoju.*

Podchodzę do okna i wpatruję się w dom Greenów. Napisała to Carrie Green. To musiała być ona. Nie wiem tylko, czy to prośba, czy groźba.

*Zostaw nas w spokoju.*

W domu naprzeciwko porusza się żaluzja i dostrzegam czyjąś sylwetkę. To ona. Boi się, by ktoś jej nie zobaczył.

A może nie wolno jej się pokazywać?

Myślę o kratach w ich oknach i broni na biodrze jej męża. Myślę o dniu, gdy ich poznałam, o tym, jak zaborczo położył dłoń na jej ramieniu, i uświadamiam sobie, że ta kobieta nie mnie się boi. Boi się jego.

Tylko mnie poproś, Carrie, myślę. Daj mi sygnał, a pomogę ci uwolnić się od tego człowieka.

Ale ona odchodzi od okna i gasi światło.

# Rozdział dwudziesty czwarty

## Jane

Tego popołudnia wisiał nad ogrodem ciężki upał, a powietrze przesycał słodki zapach bzu. Anthony Yilmaz, z małymi widłami w ręce, pochylił się, by wyrwać chwast, i zaczął strząsać ziemię z korzeni.

– Wiem, że to wygląda na ciężką pracę, ale ja tak tego nie traktuję – oznajmił. – Po dniu spędzonym w biurze, gdzie rozmawiamy tylko o inwestycjach i podatkach, w ten sposób się relaksuję. Wyrywając chwasty. Obcinając zeschnięte kwiaty. Wracam do domu, zdejmuję garnitur i krawat i idę prosto do ogrodu. To służy zdrowiu psychicznemu. – Uśmiechnął się do detektywów. Mimo siwiejących włosów i głębokich zmarszczek wokół oczu nadal miał chłopięcy uśmiech, promienny i łobuzerski. – I nie muszę przejmować się żoną – dodał.

Rizzoli wciągnęła głęboko powietrze, wdychając upojne zapachy. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała własny ogród. Ogród z ozdobnymi krzewami, których uda jej się nie zabić, jak niemal każdą roślinę doniczkową, która miała pecha dostać się w jej ręce. Tutaj kwitły rododendrony i maki, a krzaki piwonii rosły szeregiem wzdłuż kamiennej ścieżki, na której wygrzewał się w słońcu ogromny jasnorudy kocur. Powojnik i róże pięły się po martwym pniu drzewa na ogrodzenie, jakby próbowały uciec do świata natury. Nic w tym ogrodzie nie było uporządkowane, ale wyglądał idealnie.

Na odgłos rozsuwania drzwi prowadzących na podwórko Anthony odwrócił się w kierunku domu.

– O, dziękuję, kochanie – powiedział, gdy jego żona Elif weszła do ogrodu, niosąc dzbanek z jaskrawoczerwonym napojem, w którym pobrzękiwały kostki lodu. Postawiła go na stoliku i rzuciła mężowi pytające spojrzenie. – Państwo przyszli zapytać o to zabójstwo, o którym ci opowiadałem. Tej pani profesor z uczelni w Colby.

– Przecież to zdarzyło się wiele lat temu. – Kobieta spojrzała na Rizzoli. – Mój mąż był jeszcze studentem.

– Tej sprawy nigdy nie wyjaśniono – odparła Rizzoli. – Prowadzimy dalej śledztwo.

– Dlaczego pytacie o to Anthony’ego? Chyba nie myślicie…

– Nie ma się czym martwić – przerwał jej mąż, poklepując ją po ręce. – Ale może zdołam pomóc. Mam przynajmniej taką nadzieję. – Sięgnął po dzbanek i napełnił szklanki. – Proszę, usiądźcie państwo. To herbata z hibiskusa, aż z Turcji. Orzeźwiająca i bogata w witaminy.

Na takie upalne, wilgotne popołudnie mrożona herbata była idealnym napojem i Rizzoli wypiła w kilku łykach połowę szklanki. Odstawiła ją i zauważyła, że Elif przygląda się jej, najwyraźniej zaniepokojona wizytą policji. Anthony wydawał się natomiast nieporuszony, gdy sączył herbatę z pobrzękującymi kostkami lodu.

– Mimo upływu lat wszystko dobrze sobie przypominam, bo przeżyłem wtedy szok – powiedział. – Traumy pozostawiają ślady. Są jak blizny na umyśle, które nigdy nie znikają. Pamiętam nawet dokładnie, gdzie byłem, gdy usłyszałem, co się stało. Siedziałem w kafejce na kampusie z koleżanką, którą się wtedy interesowałem. – Spojrzał na żonę, wzruszając przepraszająco ramionami. – Wystarczyły dwie randki, żebym się przekonał, że wcale mnie nie interesuje. Ale ta wiadomość o zabójstwie… pozostawiła bardzo żywe wspomnienie. – Spojrzał na szklankę. – Bo profesor Creighton była dla mnie kimś szczególnym.

– W jakim sensie? – spytał Frost.

– Doceniłem dopiero później, jak bardzo starała się mi pomóc. Mnie, studentowi z zagranicy. Byłem wychudzonym chłopcem ze Stambułu, niepewnym, czy pasuję do tego świata. I te koszmarne zimy! W Stambule też mamy śnieg, ale nie byłem przygotowany na mrozy w Maine. Któregoś dnia siedziałem rano na zajęciach z angielskiego u profesor Creighton, drżąc z zimna, z sinymi wargami, a ona dała mi swój wełniany szal, tak po prostu. – Uśmiechnął się, przenosząc wzrok na kwitnącą w górze glicynię. – Takie gesty się pamięta. Zwyczajne przejawy dobroci. Została moją promotorką. Zapraszała mnie na obiady, gdy z braku pieniędzy nie mogłem polecieć do domu na święta. Zachęcała mnie, żebym kontynuował studia. Moja matka była tak daleko i profesor Creighton niemal mi ją zastępowała. Dlatego jej zabójstwo… – pokręcił głową – tak bardzo mną wstrząsnęło.

– Kiedy po raz ostatni widział ją pan żywą? – spytała Rizzoli.

– Na przyjęciu w jej domu. Byłem już na ostatnim roku. Zaprosiła kilkanaście osób, którymi opiekowała się na uczelni. To było chyba tuż przed Halloween. Pamiętam, że szybko robiło się ciemno i liście zmieniły już kolory. To był wspaniały wieczór, piliśmy wino i gawędziliśmy o tym, co zamierzamy robić po studiach. Kontynuować naukę, pracować, podróżować. Wszyscy zakładaliśmy, że mamy przed sobą przyszłość, ale tego nigdy nie można być pewnym, prawda? Ale wtedy nie mieliśmy pojęcia, że za parę dni jedno z nas może już nie żyć.

– Jak zachowywała się profesor Creighton tego wieczoru? – spytała Rizzoli. – Wydawała się zmartwiona? Zaniepokojona?

Anthony zastanawiał się chwilę.

– Nie – odparł w końcu. – Chyba nie.

– Wiedział pan, że walczyła z byłym mężem o opiekę nad dzieckiem?

– Wiem, że zaproponowano jej stanowisko na uczelni na Zachodnim Wybrzeżu, a on nie chciał, żeby zabrała ze sobą ich córeczkę. Co, szczerze mówiąc, całkowicie rozumiem. Gryzłbym i drapał, gdyby ktoś próbował odebrać mi córki. – Ujął dłoń żony. – Dzięki Bogu, mnie to nie spotkało.

– Poznał pan córeczkę profesor Creighton?

– O tak. Była wtedy na przyjęciu. Ale nie pamiętam jej imienia.

– Lily.

– Właśnie, Lily! Śliczna dziewczynka, z długimi jasnymi włoskami, jak mała księżniczka. Bardzo spokojna. Przeszła wcześniej operację serca i była trochę nieufna. Oczywiście wszyscy ją rozpieszczaliśmy. Kto potrafi się oprzeć urokowi małej dziewczynki?

Jane i Frost wymienili spojrzenia. Może ktoś nie potrafił.

– Przesłuchiwał pana detektyw Tremblay – odezwała się Rizzoli. – Czytałam raport. Wiem, że minęło wiele czasu, ale może miał pan okazję porozmyślać jeszcze o tym wieczorze. Przypomnieć sobie jakieś szczegóły.

Anthony zmarszczył brwi.

– Powiedziałem mu wszystko, co pamiętałem. Może moi koledzy by bardziej pomogli?

– À propos pana kolegów… Zastanawiał się pan, czy któryś z nich mógł mieć coś wspólnego z tą sprawą?

– Z zabójstwem? Absolutnie nie. To niezbyt duża uczelnia i przez trzy i pół roku, które tam spędziłem, miałem możliwość poznać tych ludzi. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek z nich zaatakował profesor Creighton. Ale czy nie aresztowano za zabójstwo jej byłego męża?

– Nie postawiono mu zarzutów.

– Zakładam, że były jednak jakieś powody, żeby go zatrzymać. A kto miał lepszy motyw, by porwać tę dziewczynkę, niż jej ojciec?

– A inni studenci, którzy byli na tamtym przyjęciu? – włączyła się do rozmowy Elif. – Rozmawialiście z nimi?

– Nie.

Spojrzała na oboje detektywów.

– Dlaczego skupiacie się tylko na moim mężu? Co waszym zdaniem zrobił?

– Elif, proszę – powiedział Anthony. – Jestem pewien, że to tylko rutynowa wizyta.

– Nie sądzę. – Jego żona popatrzyła na Rizzoli. – Jeszcze nam czegoś nie powiedzieliście.

– Rozmawiamy z pani mężem, bo tylko on spośród wszystkich uczestników przyjęcia mieszka teraz w Bostonie – wyjaśniła Rizzoli.

– Jakie to ma znaczenie? W końcu tę profesor zamordowano w Maine.

– Dwa tygodnie temu w Bostonie zabito kobietę. Jej śmierć może być powiązana z zabójstwem profesor Creighton.

Przez chwilę słychać było tylko ćwierkanie wróbli i odległy warkot motocykla, gdy do Anthony’ego i jego żony docierało znaczenie tych słów.

– Kolejne morderstwo – powiedziała Elif. – I tylko dlatego, że mój mąż jako jedyny mieszka w Bostonie, zakładacie…

– Niczego nie zakładamy. Próbujemy tylko ustalić, czy istnieje między tymi sprawami jakiś związek.

– Kim była ta druga kobieta? – zainteresował się Anthony.

– Nazywała się Sofia Suarez. Pracowała jako pielęgniarka na oddziale intensywnej opieki w szpitalu Pilgrim.

– Suarez? – Pokręcił głową. – Nie znałem nikogo o tym nazwisku. I nie sądzę, bym kiedykolwiek postawił stopę w tym szpitalu.

– Ani ja – rzuciła Elif. – Obie nasze córki urodziły się w Brigham and Women’s.

– Żadne z państwa nie kojarzy nazwiska ofiary?

Elif i Anthony pokręcili głowami.

– Dlaczego uważacie, że te zabójstwa coś łączy? – dociekał Anthony. – Czy ta pielęgniarka zginęła podczas włamania, tak jak profesor Creighton?

– To zdarzyło się w domu ofiary, owszem – odparła Rizzoli, po czym zadała pytanie, które musiało poruszyć ich oboje: – Gdzie był pan w nocy dwudziestego maja, panie Yilmaz?

Żona otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale szybko uniósł dłoń, żeby ją powstrzymać. Sięgnął spokojnie do kieszeni po komórkę i zajrzał do kalendarza.

– Dwudziesty maja. To był piątek.

– Tak.

– Piątek? – Elif spojrzała na Rizzoli z pewnym siebie błyskiem satysfakcji w oczach. – Tego wieczoru wróciła do domu Rabia.

– To nasza córka – wyjaśnił Anthony. – Przyleciała z Londynu, gdzie chodzi do szkoły z internatem. Żona i ja odebraliśmy ją z lotniska Logana i zaprosiliśmy na kolację. Potem wróciliśmy razem do domu.

– I całą noc pan w nim pozostał?

Spojrzał Rizzoli w oczy.

– Tej nocy moja ukochana córka po raz pierwszy od miesięcy była w domu. Po co miałbym nagle wychodzić i zabijać kobietę, której nawet nie znałem?

◘ ◘ ◘

– To był ślepy zaułek – skwitował Frost, gdy wsiedli do samochodu.

Rizzoli zapięła pas, ale nie od razu uruchomiła silnik. Siedziała przez chwilę, wpatrując się w spokojną ulicę, przy której mieszkali Yilmazowie. Była to zielona okolica, gdzie ludzie mieli miejsce na uprawianie róż w ogródkach, a odgłosy ruchu ulicznego słyszało się tylko z daleka. Imigrant z Turcji mógł się tam zintegrować z profesjonalistami z różnych dziedzin, założyć rodzinę i czuć się u siebie.

Anthony Yilmaz nie był człowiekiem, którego szukali. Owszem, sprawdzą w British Airways, czy jego córka Rabia rzeczywiście przyleciała tamtej nocy na lotnisko Logana, ale Rizzoli wiedziała już, że potwierdzi to tylko słowa Yilmazów. Ten człowiek nie zabił Sofii Suarez. Ale ujawnił informację, która może okazać się istotna, coś, czego dotąd nie słyszała.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do detektywa Thibodeau w Maine.

– Mam pytanie – powiedziała.

– Tak?

– Czy Lily Creighton miała operację serca?

– Dlaczego pani pyta?

– Rozmawiałam właśnie z jednym ze studentów profesor Creighton i przypomniał sobie, że dziewczynka była operowana. Ciekawa jestem, czy zabieg był przeprowadzony w Centrum Medycznym Eastern Maine.

– Nie widzę, jakie to może mieć znaczenie, ale owszem. Proszę zaczekać, sprawdzę notatki Tremblaya. – Usłyszała kliknięcia klawiszy. – Tak, znalazłem. Zdiagnozowano u niej wadę przedsionkowo-komorową, cokolwiek to jest. Dwa tygodnie przed porwaniem miała operację na otwartym sercu w Centrum Medycznym Eastern Maine. Dlaczego pani o to pyta?

– Sofia Suarez była pielęgniarką na oddziale intensywnej opieki w tym szpitalu. To może łączyć obie sprawy.

– Możliwe. Ale nie widzę, jak to dopasować.

– Ja też nie – przyznała. – Ale to kolejne ogniwo. Musi być coś jeszcze.

Thibodeau odchrząknął.

– Proszę zadzwonić, jak pani to rozgryzie.

# Rozdział dwudziesty piąty

## Amy

Zawsze lubiła kupować nowe buty. Lubiła ich zaokrąglone kształty, uwielbiała patrzeć, jak lśnią niczym dzieła sztuki na małych pleksiglasowych cokolikach, a kiedy wchodziła do sklepu przy Newbury Street, uśmiechała się, wdychając głęboko zapach nowej skóry. Od miesięcy nie odwiedzała sklepu z butami… a właściwie żadnego sklepu. Dopiero w tym tygodniu odstawiła w końcu laskę i choć nie była jeszcze gotowa włożyć butów na wysokich obcasach, co jej szkodziło pooglądać nowe modele?

Krążyła powoli wokół wystawionych butów, biorąc co jakiś czas do ręki jakieś arcydzieło na szpilkach; podziwiała ich kształty i głaskała krągłości. Na Newbury Street ceny były tak nieprzyzwoicie wysokie, że matka z pewnością szepnęłaby „Odłóż to”, gdyby jej towarzyszyła. Ale tego wieczoru Amy wybrała się tam sama; nie była już inwalidką i czuła radość, że wyrwała się z domu. Uniosła pod światło jeden but z pary szpilek i wyobraziła sobie, jak miło byłoby wsunąć w niego stopę. Jak podkreśliłby jej łydkę, wysmuklił nogę i zaokrąglił pośladki. Szpilki zawsze dawały ten efekt. Obie sprzedawczynie obsługiwały inne klientki, więc Amy mogła przechadzać się swobodnie po sklepie, nie mając nikogo nad głową. Zresztą tylko się rozglądała; nie miała zamiaru niczego kupować. Nie przy tych cenach.

Podeszła do wystawy i dostrzegła srebrne wieczorowe buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Były odpowiednie na bal albo do opery i z pewnością ich nie potrzebowała, ale wzięła do ręki jeden

i patrzyła, jak wąski ma czubek. Piękny bucik, ale czy warto byłoby cierpieć i chodzić na tak wysokich obcasach? Być może. Lecz jeszcze nie teraz.

Miała już odstawić but na cokolik, gdy zauważyła przez okno stojącego na ulicy mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym. Wpatrywał się w nią. Znieruchomiała z butem w ręce i utkwiła spojrzenie w jego twarzy, którą już kiedyś widziała. Przypomniała sobie deszczowy poranek, naelektryzowane powietrze przed nadciągającą burzą. Kardynała śpiewającego na drzewie. I uśmiechającego się do niej mężczyznę o opuszczonych ramionach i szarych oczach na tle szarej twarzy.

– Chciałaby pani przymierzyć te szpilki?

Amy drgnęła i odwróciła się do ekspedientki, która akurat w tym momencie postanowiła w końcu do niej podejść.

– Ja… tylko oglądam… – Spojrzała ponownie przez okno na ulicę. Zobaczyła spacerujących ludzi, parę trzymającą się za ręce. A mężczyzna? Gdzie on się podział?

– Dostaliśmy właśnie nowe szpilki od Manolo… są naprawdę śliczne.

– Nie. Dziękuję. – Amy była tak zdenerwowana, że gdy próbowała odstawić but, nie trafiła w cokolik i upuściła go na podłogę. – Och, przepraszam.

– Nic nie szkodzi – rzuciła ekspedientka, podnosząc but. – Jeśli będę mogła pani w czymś pomóc, proszę dać znać.

Ale Amy już wychodziła ze sklepu.

Zatrzymała się na ruchliwym chodniku i rozejrzała po ulicy, ale w wieczornym tłumie nie dostrzegła nieznajomego. Zniknął za rogiem? Wszedł do jakiegoś sklepu?

A może wcale go nie było, tylko go sobie wyobraziła. Albo jedynie przypominał mężczyznę z cmentarza. Tak, tak musiało być, bo skąd mógłby

wiedzieć, że akurat tego wieczoru zastanie ją w tym konkretnym sklepie? Nie, musiała się pomylić. Przez ostatnie dwa miesiące żyła w strasznym stresie. Wypadek. Pobyt w szpitalu. Tygodnie bólu i rehabilitacji, gdy goiło się zoperowane biodro i uczyła się ponownie chodzić. Plus obawy, jak poradzi sobie na uczelni, skoro nie chodziła na zajęcia. Nadal nie dokończyła pracy dyplomowej na temat Artemisii Gentileschi. Odkładała to, bo wydawało jej się mało ważne w świetle wszystkiego, co się wydarzyło. Zamiast oglądać buty, powinna być teraz w domu i zająć się pracą.

Wzięła głęboki oddech. Nieco już uspokojona ruszyła Newbury Street, w kierunku parkingu, gdzie zostawiła samochód. Dziś prowadziła po raz pierwszy od miesięcy i pierwszy raz szła swobodnie bez laski, ale robiła to jeszcze powoli, a nienawykła do wysiłku noga sprawiała jej ból. Wszyscy wokół niej poruszali się o wiele żwawiej; mijali ją jak śmigające w strumieniu ryby i pewnie się zastanawiali, dlaczego tak młoda i najwyraźniej zdrowa dziewczyna idzie jak staruszka.

Jeszcze tylko parę przecznic.

I wtedy go zobaczyła. Przecznicę dalej, niemal zagubionego w tłumie. Mimo ciepłego wieczoru miał na sobie ten sam płaszcz, który nosił na cmentarzu. Przystanęła, nie wiedząc, jak uniknąć spotkania z nim. Miała nadzieję, że jej nie zauważył.

Ale było już za późno. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Głęboko. W tym momencie przestała mieć jakiekolwiek wątpliwości. To nie było przypadkowe spotkanie. Śledził ją.

A teraz szedł do niej.

# Rozdział dwudziesty szósty

## Jane

Rizzoli i Frost zastali Amy siedzącą samotnie przy stole w głębi baru i tak skuloną, że niemal niewidoczną w mroku. Był piątkowy wieczór, ósma godzina, i w lokalu panował tłok. Po tygodniu pracy młodzi ludzie mieli ochotę się napić, potańczyć i może znaleźć kogoś wyjątkowego. W pomieszczeniu dudniącym muzyką i podniesionymi głosami Amy Antrim wydawała się ukrytą w cieniu milczącą zjawą.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechaliście – powiedziała. – Tata jest w pracy, a z mamą nie mogę się skontaktować. Nie wiedziałam, co robić, a powiedziała pani, żeby w razie potrzeby do pani zadzwonić.

– Bardzo dobrze pani zrobiła – pochwaliła ją Rizzoli.

– Bałam się pójść do samochodu. – Amy rozejrzała się po zatłoczonym barze. – Pomyślałam, że będę bezpieczniejsza, jeśli zostanę tutaj, w tłumie ludzi.

Detektywi usiedli przy jej stoliku.

– Niech nam pani opowie dokładnie, co się stało – poprosiła Rizzoli.

Amy zaczerpnęła powietrza, żeby się uspokoić.

– Pojechałam do miasta na zakupy. A właściwie żeby połazić po sklepach. Weszłam do sklepu z butami, rozglądałam się i nagle zobaczyłam go przez okno. Stał na ulicy i patrzył na mnie. A właściwie gapił się… z takim… pożądliwym wyrazem twarzy.

– Jest pani pewna, że to był ten sam mężczyzna?

– Początkowo nie byłam. Zobaczyłam go tylko przelotnie, zanim odszedł. I pomyślałam: okej, może to ktoś inny. Uznałam, że to musiał być ktoś inny, bo skąd by wiedział, gdzie mnie znaleźć?

– Mówiła pani, że zaparkowała tu samochód – wtrącił Frost.

– Tak. Na parkingu przy ulicy.

– Przyjechała pani sama?

Skinęła głową.

– Po raz pierwszy od wypadku prowadziłam samochód. Nie chciałam iść do centrum pieszo, bo kiedy za dużo chodzę, boli mnie noga.

– Jechała tu pani prosto z domu?

– Tak.

– Mówiła pani komuś, że wybiera się do centrum?

– Nie. Mama była na zajęciach jogi, a ja chciałam wyjść. Po tylu tygodniach czas stanąć wreszcie na nogi. Trochę się rozerwać. Mama martwiła się z powodu tego mężczyzny, ale ja nie. Nigdy naprawdę nie sądziłam… – Amy rozejrzała się po zatłoczonym barze, po twarzach ludzi. Nawet siedząc przy stoliku z parą detektywów, była czujna jak zwierzę wypatrujące drapieżnika.

– I co stało się potem? – spytała Rizzoli. – Po tym, jak wyszła pani ze sklepu?

– Rozglądałam się na chodniku, czy ten mężczyzna nadal tam jest. Nigdzie go nie widziałam, więc uznałam, że pewnie się pomyliłam, że to był ktoś inny. – Znów rozejrzała się, podejrzliwa i zalękniona. – Potem zobaczyłam go na ulicy. Wiem, że to był on. Ruszył w moim kierunku i wtedy spanikowałam. Wpadłam do pierwszego zatłoczonego baru, który mijałam, i ukrywałam się, jak długo mogłam, w damskiej toalecie. Sądziłam, że tam mnie nie napadnie. Za dużo było wokół ludzi.

Ale czy ktokolwiek zwróciłby na to uwagę? – przemknęło przez głowę Rizzoli. Wszyscy byli zbyt zajęci drinkami, by dostrzec siedzącą w kącie przerażoną dziewczynę. W tym tłumie, przy głośnej muzyce, kto zauważyłby pistolet albo nóż, zanim byłoby za późno?

– Amy – odezwał się Frost. – Jak pani sądzi, dlaczego ten człowiek panią śledzi?

– Chciałabym wiedzieć. Usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie się wcześniej spotkaliśmy, ale nie potrafię. Wiem tylko, że jego twarz wydaje mi się znajoma.

Dudniła muzyka. Kelnerka przemknęła obok nich z kieliszkami martini na tacy. Rizzoli przyglądała się w mroku twarzy Amy. Dopiero po chwili zapytała:

– Mówi pani coś nazwisko Creighton? James Creighton?

– Nie. A powinno?

– Proszę się dobrze zastanowić. Czy nie budzi żadnych skojarzeń?

– Przykro mi, ale od wypadku moja pamięć… – Amy pokręciła głową.

– A na ile pamięta pani swojego ojca? – spytała Rizzoli.

– Znacie go przecież.

– Nie mam na myśli doktora Antrima, tylko pani biologicznego ojca.

Nawet w mroku Rizzoli dostrzegła, że dziewczyna nagle zesztywniała.

– Dlaczego pani o niego pyta?

– Jak dobrze go pani pamięta?

– Staram się nie pamiętać.

– Pani matka powiedziała, że miała pani osiem lat, kiedy widziała go po raz ostatni. Czy człowiek, który panią śledzi, może być…

– Proszę nie nazywać go „moim ojcem”.

Zaskoczona gwałtownością reakcji dziewczyny, Rizzoli przyglądała się jej w milczeniu. Amy patrzyła wyzywająco, jakby prowokowała ją, by przekroczyła jakąś niewidzialną linię.

– Czy był aż tak okropny, Amy? – spytała w końcu Rizzoli.

– Powinna pani zadać to pytanie mojej matce. To ona znosiła jego brutalność. Miała siniaki i podbite oczy.

– Wie pani, gdzie on jest teraz?

– Nie mam pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi. – Nagle dziewczyna wstała, dając wyraźnie do zrozumienia, że skończyła rozmowę. – Chciałabym wrócić już do domu.

– Odprowadzimy panią do samochodu – powiedziała Rizzoli, również się podnosząc. – Ale proszę pozwolić, że się najpierw rozejrzę. Sprawdzę, czy nie kręci się gdzieś tutaj.

Przeciskała się między ludźmi stłoczonymi przy barze, czując całą gamę zapachów: perfum, płynów po goleniu i zwietrzałego alkoholu. Gdy wyszła na zewnątrz, z ulgą odetchnęła znowu świeżym powietrzem i zaczęła się rozglądać po ruchliwej ulicy. W ten piątkowy wieczór ludzie spieszyli tłumnie na kolację. Widziała kobiety w krótkich spódniczkach i na wysokich obcasach, biznesmenów pod krawatami i włóczące się watahy młodych mężczyzn.

I nagle zauważyła go w oddali. Człowieka w szarym płaszczu, oddalającego się w kierunku parku Boston Common.

Ruszyła za nim.

Był od niej zbyt daleko, by mogła mieć pewność, że to mężczyzna z cmentarza, ale miał taką samą szczupłą sylwetkę. Starała się nie stracić go z oczu, gdy lawirował w tłumie przechodniów, ale poruszał się szybko, zmierzając wprost do pogrążonego w mroku parku. Gdyby tam wszedł, natychmiast by go zgubiła.

Biegła, roztrącając przechodniów. Próbując przecisnąć się przez gęsty tłum, zderzyła się z jakimś mężczyzną.

– Hej, proszę pani! – warknął. – Niech pani uważa!

To wystarczyło, by się rozproszyła. Człowiek, którego śledziła, zniknął.

Pobiegła na róg ulic Newbury i Arlington i wpadła do parku. Gdzie on jest? Gdzie się podział? Minęła ją spacerująca para. Na trawniku siedziało kręgiem kilku nastolatków, którzy grali na gitarach. Rozejrzała się i zobaczyła go nagle na przeciwległym rogu. Gdy ruszyła przez ulicę w jego kierunku, podniósł wzrok i uśmiechnął się, ale nie do niej. Uśmiechał się do kobiety, która podeszła do niego i cmoknęła go w policzek. Wzięli się za ręce i przeszli tuż obok Rizzoli.

To nie ten człowiek.

Zlustrowała błyskawicznie ulicę, ale Mężczyzny z Cmentarza nigdzie nie zobaczyła. Może w ogóle go tam nie było.

◘ ◘ ◘

– Amy mogła się mylić – rzucił Frost. – Może widziała tego samego faceta co ty i myślała, że to ten z cmentarza.

– Twierdzi, że jest całkowicie pewna. – Rizzoli westchnęła ciężko. – A jeśli ma rację, to znaczy, że mamy problem.

Siedzieli w jej samochodzie przed domem Antrimów; właśnie odwieźli Amy i dziewczyna znalazła się pod opieką matki i ojca. Była to okolica z ładnymi domami i starymi drzewami, zadbanymi ogródkami i żywopłotami, miejsce, do którego zdawała się nie docierać przemoc. Choć tak naprawdę takie miejsca nie istnieją. Nawet tutaj, na tej spokojnej ulicy, Rizzoli czuła, że przemoc zagraża temu domowi. I Amy Antrim.

– Jeśli rzeczywiście pojawił się na Newbury Street, to nie był zbieg okoliczności – powiedziała. – Nie znalazł się przy tym sklepie z butami przypadkowo.

– Mówiła, że pojechała tam prosto z domu. Jeśli ją śledził…

– To znaczy, że wie, gdzie mieszka.

Oboje milczeli. Wpatrywali się w dom Antrimów, gdzie Amy i jej rodzice siedzieli nadal w salonie. Byli oczywiście poruszeni, ale chyba nie w pełni zdawali sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo może grozić Amy.

– Ten telefon na kartę musi należeć do niego. To on dzwonił do Antrimów – przerwała ciszę Rizzoli. – A kiedy odebrała matka Amy, rozłączył się. Bo chciał rozmawiać z jej córką.

– W ich domu jest system alarmowy – zauważył Frost. – Powinien być bezpieczny.

– A kiedy Amy wychodzi z domu, tak jak dzisiaj? Nie mogą wciąż jej pilnować.

Przez salon przesunęła się jakaś sylwetka i ktoś stanął przy oknie. Julianne wyglądała na ulicę. Matka tygrysica, wypatrująca zagrożenia. Na jej miejscu Rizzoli byłaby równie czujna.

– Zawiadomię policję w Brookline – powiedział Frost. – Żeby co jakiś czas wysyłali tu wóz patrolowy.

Poczuli napięcie na widok reflektorów samochodu, który nadjeżdżał tak wolno, że puls Rizzoli gwałtownie przyspieszył. Ciemny sedan minął ich, skręcił w podjazd dwa domy dalej i wjechał do garażu.

Oboje się odprężyli.

Rizzoli znowu skupiła uwagę na domu Antrimów. Amy stała teraz obok matki przy oknie.

– Czy nie wydało ci się dziwne to, co powiedziała? – spytała Rizzoli partnera.

– Co takiego?

– Nie chciała mówić o swoim biologicznym ojcu. Zdenerwowała się, kiedy poruszyłam ten temat.

– Zdaje się, że miała dość traumatyczne dzieciństwo. Widziała, jak ojciec bił matkę.

– Ciekawe, gdzie on teraz jest. Skoro istnieje możliwość, że to właśnie on…

– Wiem, do czego zmierzasz, ale daj spokój. Rozpoznałaby przecież własnego ojca, nawet po trzynastu latach.

– Masz rację. – Odchyliła się na oparcie siedzenia i westchnęła ciężko. Chciała wracać do domu. Zjeść kolację z rodziną, poczytać bajkę Reginie i położyć się do łóżka z Gabrielem, ale nie mogła przestać rozmyślać o tym, co wydarzyło się tego wieczoru. I o tym, co powinni zrobić, by zapewnić Amy bezpieczeństwo.

– A jeśli ten człowiek śledzi ją już dłużej? Nie od tygodni, ale od miesięcy? – zasugerował Frost. – Założyliśmy, że zobaczył ją po raz pierwszy na cmentarzu, ale mógł zainteresować się nią wcześniej. Jak sądzisz, gdzie?

– Na uniwersytecie.

Frost skinął głową.

– Piękna dziewczyna przez cztery lata chodzi po kampusie. Jakiś facet ją zauważa i zaczyna śledzić. Ma obsesję na jej punkcie. Może nawet próbuje ją zabić.

– Okej. Tylko co to wszystko ma wspólnego z Sofią Suarez?

– Być może nic.

Rizzoli ponownie spojrzała na dom. Matki i córki nie było już w oknie. Pomyślała o ofiarach psychopatów, o martwych kobietach, których nie zauważała aż do chwili, gdy stanęła nad ich zwłokami. Na tym polegało

brzemię pracy w wydziale zabójstw: zawsze przybywa się za późno, by odmienić los ofiary.

Tym razem jest inaczej, pomyślała. Tym razem ofiara wciąż żyje i oddycha, a my zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by tak pozostało.

# Rozdział dwudziesty siódmy

– Chciałabyś czasem wrócić na uczelnię? – spytał Frost, gdy schodzili po betonowych schodach uniwersyteckiego parkingu. Ich kroki odbijały się echem, rozbrzmiewając tak głośno, jakby byli armią najeźdźców.

– Nie – odparła Rizzoli. – Nie mogłam się doczekać, kiedy skończę studia i zacznę normalnie żyć.

– A mnie tego brakuje – przyznał. – Siedzenia w sali wykładowej, chłonięcia wiedzy. Wyobrażania sobie wszystkich możliwości, jakie mam przed sobą.

– I zobacz, do czego doszedłeś.

– Tak. – Frost westchnął ciężko. – Do czego doszedłem…

Przecisnęli się przez wejście na parterze i wyszli na kampus Uniwersytetu Northeastern. Trzy tygodnie temu zaczęła się sesja letnia i teraz, w ciepły wiosenny dzień, widzieli wokół szokująco kuse stroje. Od kiedy to na kampusie nosi się topy na ramiączkach i szorty? Rizzoli pomyślała, że za piętnaście lat jej córka zechce paradować tam półnaga jak niektóre z tych dziewczyn. Nie, nic z tego, jeśli tylko ona będzie miała coś do powiedzenia na ten temat.

O Boże. Naprawdę zmieniam się we własną matkę.

– Gdybym tak mógł cofnąć czas – rozmarzył się Frost, patrząc na tłumy studentów. – Gdybym mógł wrócić na studia…

– I tak zostałbyś gliną – powiedziała Rizzoli.

– Możliwe. A może poszedłbym w zupełnie innym kierunku. Mogłem studiować prawo, jak Alice.

– Nie cierpiałbyś tego.

– Skąd wiesz?

– Wolałbyś siedzieć całymi dniami na sali sądowej, zamiast ścigać ze mną przestępców?

– Nosiłbym ładniejsze garnitury.

– Jakbym słyszała Alice.

– Ona uważa, że marnuję swój potencjał.

– Jak sądzisz, ilu mamy w Stanach prawników?

– Nie wiem. Milion? Dwa miliony?

– A ilu detektywów zajmujących się zabójstwami?

– Nie tak wielu.

– O wiele mniej. Bo mało kto potrafi robić to co my. Powiedz to Alice. – Przerwała, spojrzała na mapę w telefonie i wskazała kierunek. – Tędy.

– Co?

– Biuro Harthoorna. Jesteśmy spóźnieni.

Spóźnili się dwadzieścia minut, ale profesor Aaron Harthoorn najwyraźniej się tym nie przejął. Gdy weszli do jego gabinetu, był tak zajęty przeglądaniem papierów na biurku, że tylko na nich spojrzał i wskazał ręką dwa wolne krzesła.

– Jestem detektyw Rizzoli. A to jest…

– Tak, tak, widziałem w grafiku – przerwał jej Harthoorn. – Za chwilę się państwem zajmę. Skończę tylko oceniać tę koszmarną pracę. – Przerzucił kolejną kartkę. Zbliżał się do osiemdziesiątki, więc mógł już dziesięć lat temu przejść na emeryturę, ale nadal tu siedział, jakby był stałym rezydentem w tym zawalonym książkami gabinecie. Po obu stronach biurka leżały sterty woluminów, jak strzegące go szachowe wieże.

Prychnął pogardliwie, nabazgrał na kartce literę F i wrzucił pracę do kosza.

– Aż tak kiepsko? – spytał Frost.

– Powinienem oskarżyć tego studenta o plagiat. Naprawdę sądził, że nie rozpoznam akapitu z książki, którą sam redagowałem? Kiedy robią to pierwszy raz, oblewam ich. Ale za drugim razem? – Odchrząknął. – Drugiego razu nigdy nie było. Potrafię się z nimi rozprawić.

Dlatego nie odszedł na emeryturę, pomyślała Rizzoli. Kogo by terroryzował, gdyby nie miał studentów?

– No dobrze – rzucił i skupił na nich uwagę. – Podobno mają państwo jakieś pytania związane z Amy Antrim?

– Powiedziała nam, że jest pan jej promotorem.

– Tak. Fatalna historia z tym wypadkiem. Nie mogła obronić dyplomu z resztą grupy, ale może skończyć studia jesienią, jeśli zdecyduje się wrócić. Złapaliście kierowcę, który ją potrącił?

– Nie sądzę, żeby poczyniono jakieś postępy.

– Czy nie w tej sprawie prowadzicie dochodzenie? – Harthoorn spojrzał na Frosta, a potem na Rizzoli, kręcąc głową na chudej szyi jak struś poszukujący zdobyczy.

– Nie, zajmujemy się czymś innym. Zdaje się, że ktoś prześladuje Amy, i możliwe, że zaczęło się to na tym kampusie.

– Nigdy mi o tym nie wspominała.

– Zdała sobie z tego sprawę dopiero w ciągu ostatnich tygodni, gdy podszedł do niej na cmentarzu jakiś człowiek. Potem pojawił się ponownie na Newbury Street. To starszy mężczyzna, koło sześćdziesiątki.

Profesor skrzywił się.

– Nie nazwałbym go starszym.

– Proszę spojrzeć na to nagranie. – Frost włączył film na swoim tablecie i podsunął go Harthoornowi. – To zapis z kamery na cmentarzu. Może pan

rozpozna tego człowieka?

– Jak? Prawie nie widać jego twarzy.

– Ale może poznaje pan jakiś szczegół. Ubranie, chód. Czy przypomina kogoś z kampusu?

Harthoorn ponownie obejrzał nagranie.

– Niestety, nie znam go. Z pewnością nie jest to nikt z mojego wydziału. – Oddał tablet Frostowi. – Kiedy powiedział pan, że ktoś ją prześladuje, zakładałem, że ma pan na myśli kogoś młodszego, któregoś z jej kolegów. Amy może przyciągać uwagę. Nawet nieświadomie.

– I tak było? Nieświadomie przyciągała uwagę? – spytała Rizzoli.

– Nie mam pojęcia.

– Jest pan jej promotorem. Czy wspominała kiedykolwiek…

– Doradzam jej w sprawach naukowych. Studenci nie przychodzą tutaj, by zwierzać się ze swoich osobistych problemów.

Nie, nie wyobrażam sobie tego, pomyślała. Kto by się zwierzał takiemu staremu prykowi jak ty?

– Amy na pewno ma paru wielbicieli. Taka atrakcyjna młoda kobieta. – Jego spojrzenie powędrowało do stojącej na regale ceramicznej figurki. Była to rzeźba zmysłowej kobiety w todze z odsłoniętą jedną piersią. – Nie żebym zwracał zbytnią uwagę na takie rzeczy. Moje spotkania z Amy dotyczyły czysto naukowych tematów. Jej perspektyw w kwestii studiów doktoranckich. Możliwości zatrudnienia, zważywszy na jej specjalizację.

– Jak wygląda rynek pracy? – spytał Frost.

– Dla absolwentów historii sztuki? – Pokręcił głową. – Marnie. Co trochę ją zniechęca, bo bezpieczeństwo finansowe jest dla niej istotne. Mówiła, że matka wychowywała ją sama i walczyła, by związać koniec z końcem. Choć trwało to tylko kilka lat, ubóstwo i przemoc pozostawiają ślad w psychice dziecka.

– Wspominała o przemocy?

– Nie wdawała się w szczegóły, ale mówiła, że w poprzednim związku jej matka była maltretowana. Pewnie dlatego Amy wybrała taki, a nie inny temat do swojej pracy dyplomowej. – Przerzucił stertę papierów na biurku. – Mam ją gdzieś tutaj. Gdy zadzwoniła pani i powiedziała, że chodzi o Amy, pomyślałem, że może zechce pani zajrzeć do tej pracy. – Wyjął teczkę i podsunął ją Rizzoli.

– Amy to napisała? – spytała.

– To robocza wersja jej pracy dyplomowej na temat Artemisii Gentileschi, malarki z epoki baroku. Amy musi jeszcze uzupełnić tę pracę, bo pominęła istotny aspekt życia tej kobiety, prawdopodobnie dlatego, że było jej niezręcznie o nim pisać. Ale to, co napisała dotychczas, jest bardzo dobre.

– Co może być krępującego w historii sztuki?

– Pokażę pani coś, żeby to zilustrować. – Postukał w klawiaturę laptopa i odwrócił w ich stronę ekran. – To obraz Artemisii. Wisi w Galerii Uffizi we Florencji. Dla wielu osób jest szokujący.

Nic dziwnego. Rizzoli zmarszczyła brwi na widok groteskowej sceny: dwie kobiety o posępnych twarzach przygniatają do łóżka przerażonego mężczyznę i jedna z nich brutalnie podrzyna mu gardło mieczem. Każdy szczegół, od krwi tryskającej z szyi umierającego po fałdy jego bogatej szaty, został przedstawiony ze zdumiewającą dokładnością.

– To Judyta odcinająca głowę Holofernesowi – wyjaśnił Harthoorn.

– Nie chciałabym mieć tego na ścianie – skwitowała Rizzoli.

– Proszę jednak spojrzeć na precyzję i siłę wyrazu tego dzieła. Straszliwy gniew na twarzy Judyty. To portret kobiecej zemsty. Temat bardzo bliski Artemisii.

– Dlaczego?

– Jako młoda kobieta została zgwałcona przez swojego nauczyciela. Na tym obrazie widać jej furię, poczucie satysfakcji z wymierzania kary. Gloryfikuje przemoc, ale w imię sprawiedliwości. Dlatego Artemisia fascynuje tak wiele moich studentek. Ożywia fantazje kobiet pragnących ukarać mężczyzn, którzy je wykorzystali. Daje siłę bezbronnym. – Zamknął laptop i spojrzał na Rizzoli, jakby chciał powiedzieć, że powinna to rozumieć. – To oczywiste, dlaczego ten motyw przemawiał do Amy.

– Siła dla bezbronnych.

– Uniwersalny temat. Ofiary, które stawiają opór i wygrywają.

– Myśli pan, że Amy uważała się za ofiarę?

– Mówiła mi, że malarstwo Artemisii fascynuje ją między innymi dlatego, że jej matka była maltretowana przez poprzedniego partnera. Zakładam, że to się działo wiele lat temu, ale tego rodzaju traumy pozostają do końca życia. A teraz… jeśli ktoś prześladuje Amy… – Przerwał, bo nagle coś mu przyszło do głowy. – Czy ma z tym coś wspólnego wypadek, który miała w marcu?

– Tego nie wiemy.

– Bo jeśli to nie był wypadek… – spojrzał na Rizzoli – to ten człowiek próbuje ją zabić.

# Rozdział dwudziesty ósmy

## Angela

Coś dzieje się naprzeciwko.

Chociaż stosując się do ostrzeżeń córki i policji z Revere, staram się nie być wścibska, nie mogę ignorować tego, co widzę z okna salonu: biała furgonetka znowu się pojawiła. Ta, która z niewiadomego powodu kręci się wciąż po okolicy. Tym razem zaparkowała niemal dokładnie przed domem Leopoldów. Wczoraj wieczorem widziałam, jak przejeżdżała ulicą, na tyle wolno, że dostrzegłam przelotnie kierowcę, mężczyznę z krótkimi włosami, który wpatrywał się w dom Greenów.

A teraz furgonetka stoi przy krawężniku, przodem w kierunku mojego domu.

Nie wiem, kiedy przyjechała. Nie widziałam jej o piątej po południu, gdy wyjrzałam za okno, ale teraz, o ósmej piętnaście, stoi tam z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Zaparkowany samochód niekoniecznie musi budzić niepokój, ale gdy kierowca siedzi w środku, coś jest nie w porządku. Jest zbyt ciemno, bym widziała jego twarz. Z tej odległości dostrzegam tylko sylwetkę za przednią szybą.

Dzwonię do Leopoldów. Odbiera Lorelei.

– Przed twoim domem stoi zaparkowana furgonetka – informuję ją.

– Furgonetka?

– No wiesz, ten biały samochód, który wciąż pojawia się w okolicy. Nie zwracaj uwagi kierowcy! Zgaś światła, zanim wyjrzysz przez okno.

– A po co mam wyglądać?

– Zobacz, może go rozpoznasz. Chcę wiedzieć, po co tu ciągle wraca.

Czekam przy telefonie, gdy Lorelei gasi światła i podchodzi do okna.

– Nie mam pojęcia, kto to jest – odpowiada. – Spytam Larry’ego. Hej, Larry! – woła.

Słyszę w słuchawce, jak jej mąż zrzędzi, wchodząc do pokoju.

– Dlaczego są zgaszone światła? Co ty wyprawiasz?

– Angela zadzwoniła, żeby powiedzieć, że na ulicy stoi biała furgonetka. Wiesz, kto to jest?

Chwila milczenia, a potem jego głos:

– Nie. A co mnie to obchodzi?

– W tym tygodniu była tu już trzy razy – mówię.

– Angela twierdzi, że w tym tygodniu była tu już trzy razy. To dziwne, prawda? Nie sądzisz, że ten człowiek szpieguje kogoś w okolicy? Może jest prywatnym detektywem?

Znowu zapada milczenie. Larry zastanawia się nad tym i spodziewam się po nim jakiegoś uszczypliwego komentarza na temat głupich kobiet i ich głupiej wyobraźni. Jestem pewna, że nie ma o mnie wysokiego mniemania, bo szczerze wierzy, że jest o wiele inteligentniejszy niż ja. Jeśli chodzi o scrabble’a, ma rację. Ale nie w innych sprawach.

A zwłaszcza w tej.

– Do diabła, sprawdzę, kto mnie szpieguje – odpowiada żonie Larry i jego słowa mnie zaskakują.

– Co?! – krzyczy Lorelei. – A jeśli on jest niebezpieczny?

– Chcę, żeby to się natychmiast skończyło! – oświadcza jej mąż.

Widzę przez okno, jak zapala się światło na ich ganku i Larry wypada przez frontowe drzwi.

– Hej! – wrzeszczy. – Kto cię wynajął, do cholery?!

Błyskają nagle reflektory furgonetki, pojazd rusza raptownie od krawężnika i znika szybko w mroku.

– Zostaw mnie w spokoju, do cholery! – krzyczy za nim Larry.

A to niespodzianka. Zakładałam, że ktoś obserwuje Greenów. W końcu to oni zachowują się podejrzanie i najwyraźniej coś ukrywają. Teraz zastanawiam się, czy całkowicie się nie myliłam. Może wcale nie chodzi o nich.

Może chodzi o Larry’ego Leopolda.

Nie ośmielam się rozmawiać o tym z Lorelei. Gdy jej mąż wraca do domu, przechodzę przez ulicę i pukam do drzwi Jonasa. Wiem, że jest w środku, bo widziałam go w oknie. Podnosił ciężarki. Po kolacji zawsze to robi. Otwiera mi w skąpym sportowym stroju. Koszulkę ma mokrą od potu.

– Angie, kochanie! Jesteś w końcu gotowa na martini?

Ignoruję tę propozycję i wparowuję do jego domu.

– Muszę cię o coś zapytać – mówię.

– Wal.

– Chodzi o Larry’ego Leopolda. Co o nim wiesz?

– Mieszkasz przy tej ulicy dłużej niż ja. Powinnaś wiedzieć więcej.

– Tak, ale ty jesteś mężczyzną.

– Jak miło, że zauważyłaś.

– Mężczyźni rozmawiają o sprawach, o których nie mówią kobietom.

– To prawda.

– Dlaczego ktoś w białej furgonetce miałby szpiegować Larry’ego? W co on się wpakował?

Jonas wzdycha ciężko.

– O Boże!

– Wiesz o czymś.

– Niczego nie wiem. Niczego, co mógłbym potwierdzić.

– Och, na litość boską!

Wskazuje na kanapę.

– Usiądź, Angie. Rozgość się, a ja zrobię nam coś do picia.

Idzie do kuchni, a ja siadam. Przez okno wychodzące na mój dom zauważam ruch w oknie sąsiadki. To moja nemezis, Agnes Kaminsky. Stoi w oknie salonu, paląc papierosa i patrząc wprost na mnie. Ludzie mogą sądzić, że to ja najbardziej wtykam nos w cudze sprawy, ale Agnes nie dorównam. Teraz pewnie podejrzewa, że mam romans z Jonasem. Nie mogę jej winić za to, że zakłada najgorsze. Też tak robiłam. Macham do niej ręką, żeby wiedziała, że ją widzę i nie obchodzi mnie, co myśli. Lepiej jawnie się do czegoś przyznać, niż się z tym kryć.

Patrzy na mnie spode łba i odchodzi od okna, niewątpliwie jak zwykle pochrząkując z oburzenia.

Z kuchni dobiega radosny brzęk kostek lodu w shakerze. Och, nie, on zamierza uzupełnić braki płynu w organizmie alkoholem, więc ja pewnie też będę musiała się z nim napić, jeśli chcę wydobyć z niego jakieś informacje. Jonas wraca do salonu, niosąc wprawnie dwa wypełnione po brzegi kieliszki martini. W każdym pływa oliwka. Wręcza mi drinka.

– Twoje zdrowie, Angie.

Jeden kieliszek, obiecuję sobie. Tylko jeden kieliszek. Wypijam łyk i… ojej, jakie to dobre! Ten facet potrafi przyrządzić martini.

– A więc chcesz dowiedzieć się czegoś o Larrym – mówi.

– Powiesz mi, prawda?

– Nie mam żadnych dowodów. Tylko podejrzenia. Nic, z czym można pójść do sądu, jak mawialiśmy, gdy byłem komandosem.

– Tak, tak, wiem.

– Chodzi o to, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Przynajmniej ci z temperamentem. Zawsze wypatrujemy… hm… towaru. A czasem nie tylko patrzymy.

– Larry ma dziewczynę?

Jonas wsuwa do ust oliwkę i uśmiecha się.

– Widzisz? Nie musiałem ci nawet mówić.

– Ale… co z Lorelei?

Wzdycha.

– To smutne, prawda? Co muszą czasem znosić żony…

Opadam na poduszki na kanapie, bo tracę na chwilę oddech z powodu tego odkrycia.

– Czemu tak się dziwisz, Angie?

– Po prostu nigdy… żeby Larry Leopold?!

Wzrusza ramionami.

– Jak mówiłem, taka jest natura mężczyzn.

Akurat ja powinnam to wiedzieć. W końcu moje własne małżeństwo rozpadło się dlatego, że Frank zostawił mnie dla innej kobiety. Na dłuższą metę jego odejście okazało się najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przydarzyć, bo dzięki temu związałam się z moim kochanym Vince’em.

Vince. On by mi tego nie zrobił, prawda? Chyba nie wszyscy mężczyźni są tacy sami?

Przez chwilę czuję paniczną potrzebę zadzwonienia do Vince’a i upewnienia się, że naprawdę jest w Kalifornii i opiekuje się siostrą. Potem myślę o wszystkich przyzwoitych mężczyznach, których znam, takich jak mój zięć Gabriel czy Barry Frost, miłych i godnych zaufania facetach, którzy nie przypominają Franka ani Larry’ego Leopolda.

Zakładając, że Larry rzeczywiście jest takim łajdakiem, jak sugeruje Jonas.

Przyglądam się Jonasowi, który wypił już połowę martini i sprawia wrażenie bardzo odprężonego i zadowolonego z siebie.

– Skąd wiesz, że Larry spotyka się z inną kobietą? – pytam go.

– Lorelei sama to podejrzewała.

– Powiedziała ci to?

– Mogło jej się wymknąć podczas któregoś z naszych popołudniowych spotkań przy kawie.

– Jakim cudem nic o nich nie wiedziałam?

– Bo spotykamy się w Starbucksie przy plaży. To tylko sąsiedzkie pogawędki.

Na które umawiają się poza naszą dzielnicą, pewnie dlatego, że nie chcą, by ktoś ich zobaczył. Zwłaszcza ja. Nic dziwnego, że umknęło to mojej uwadze. Zastanawiam się, ile jeszcze rzeczy przeoczyłam w ciągu minionych lat, o ilu romansach i przestępstwach nie wiem, bo jestem ślepa na to, co się wokół mnie naprawdę dzieje. Równie ślepa, jak byłam na romans Franka.

Wychodzi na to, że jestem marnym detektywem. Trudno się do tego przyznać, ale teraz to widzę i sfrustrowana, odchylam się na oparcie kanapy.

– Nie chcesz skończyć martini, skarbie? – pyta Jonas.

– Nie. – Podsuwam mu kieliszek przez stolik do kawy. – Ty je wypij.

– Skoro tak sobie życzysz. – Wkłada do ust oliwkę z mojego drinka. – Nie wiem, dlaczego sprawa Larry’ego i Lorelei tak cię przygnębiła. Takie rzeczy się zdarzają.

– Kim jest ta dziewczyna? Ta, z którą spotyka się Larry?

– Nie mam pojęcia.

– A Lorelei wie?

– Nie. Domyślam się, że to dlatego pojawiła się ta furgonetka. Obserwują ich dom. Założę się, że wynajęła kogoś, żeby go śledził. Żeby zebrać przeciwko niemu trochę amunicji w razie rozwodu.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę i uświadamiam sobie, że to nie ma sensu. Kiedy zadzwoniłam do Lorelei z wiadomością o parkującym przed jej domem samochodzie, wydawała się naprawdę zaskoczona. Nie próbowała mnie zbyć ani mówić, żebym nie zwracała na to uwagi. A potem zawołała do okna Larry'ego, żeby zobaczył furgonetkę. To nie ona zleciła śledzenie.

Więc kto?

Podnoszę się z kanapy. Mimo że wypiłam tylko kilka łyków martini, czuję jego działanie. Jonas robi mocne drinki. Nie dość, że opróżnił swój kieliszek, to jeszcze dopija to, co zostało w moim.

– O, tak szybko wychodzisz, Angie?

– Jesteś zalany.

– Dopiero zaczynam.

– Właśnie to mnie martwi. Wracam do domu.

Jak na komandosa znosi alkohol gorzej, niżbym się spodziewała. Ma już szklisty wzrok, a gdy wychodzę, jest zbyt wstawiony, by podźwignąć się z kanapy i odprowadzić mnie do drzwi. Przechodzę przez ulicę, a kiedy jestem już w swoim salonie, staję przy oknie i rozglądam się po okolicy. Każde oświetlone okno jest jak trójwymiarowy obraz dający wgląd w życie ludzi, których – jak mi się wydawało – dobrze znam, ale teraz zdaję sobie sprawę, jak niewiele dostrzegałam. Nie wyobrażałam sobie, że Larry o kurzych nóżkach jest casanovą. Że Lorelei i Jonas dzielili się sekretami

w Starbucksie. Okazuje się, że jestem tylko głupią gospodynią domową, tak głupią, że nie wiedziałam nawet o zdradzie własnego męża.

Idę do kuchni, żeby nalać sobie merlota. Nie jestem tak tępa, by upijać się w domu Jonasa. Nie, powinnam się schlać w zaciszu własnego mieszkania, gdzie nikt mnie nie widzi. Jeszcze nie ma dziesiątej, za wcześnie, by się kłaść, ale jestem już gotowa zakończyć ten dzień.

Wypijam kieliszek wina i nalewam sobie następny.

Co jeszcze dzieje się w mojej dzielnicy, o czym nie wiem? Greenowie nadal stanowią dla mnie zagadkę, ich żaluzje są wciąż opuszczone, a moja córka i policja w Revere zabraniają mi interesować się ich sekretami. Jest poza tym Tricia Talley, która nadal nie wróciła do domu, a jej rodzice, Jackie i Rick, zaczęli mnie unikać. Zaledwie parę tygodni temu Jackie prosiła mnie o pomoc w odnalezieniu córki. Teraz nie chce mieć ze mną nic wspólnego. W ich domu coś się dzieje, coś, co spowodowało rozpad rodziny, a ja nie mam pojęcia, o co chodzi.

Może powinnam posłuchać Jane i zajmować się swoimi sprawami. Dziś wydaje się to bardzo dobrą radą. Przestań obserwować, przestań się zastanawiać i zadawać pytania. Chyba tak właśnie zrobię.

I nagle słyszę strzał.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

## Jane

O siódmej trzydzieści pięć sala była niemal wypełniona. Rizzoli patrzyła ze zdumieniem, jak ostatni goście polują na wolne miejsca w audytorium liceum. Kto by przypuszczał, że koncert muzyki klasycznej w wykonaniu amatorów przyciągnie taki tłum? Z pewnością nie spodziewała się, że będzie siedziała w gronie ośmiuset słuchaczy, którzy wczytywali się w program spektaklu. Niestety, ostatnia osoba, którą miała ochotę mieć przy sobie, siedziała tuż obok niej.

– To był zawsze jeden z moich ulubionych koncertów, odkąd usłyszałam go w wykonaniu Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej, gdy miałam trzynaście lat – zwierzyła się Alice Frost. – Nie każdy może być Yo-Yo Ma, ale miło, że amatorzy się starają, nie sądzisz?

– Jasne – odparła Rizzoli.

– Dobrze, że próbują. Tak niewiele osób ma odwagę czymś się wykazać. Dlatego Barry i ja przyszliśmy tu, żeby ich dopingować. Nieważne, że są amatorami.

– Hej, Maura ma dzisiaj solowy występ! – oznajmił Frost, siadając obok żony. – Wyobrażam sobie, że będzie fantastyczna!

– Słyszałeś kiedykolwiek, jak gra? – spytała Alice.

– Nie.

– Więc skąd możesz wiedzieć?

– Bo jest wspaniała we wszystkim, co robi.

– Och… – Alice pokręciła nosem. – Przekonamy się.

To będzie bardzo długi wieczór, pomyślała Rizzoli, wzięła męża za rękę i szepnęła do niego:

– Zamienisz się ze mną miejscami?

– Żeby pozbawić cię komentarzy?

– Wynagrodzę ci to.

– Po przerwie – obiecał. – Zamienimy się po przerwie.

Tak długo nie wytrzymam.

– Jak sądzisz, dlaczego nie wspomniała ci o tym koncercie? – spytała Alice.

Rizzoli niechętnie znów skupiła na niej uwagę.

– Mówisz o Maurze?

– Barry powiedział, że dowiedziałaś się o tym od kogoś innego. Ćwiczy od tygodni i nie pisnęła ani słowa.

Ta uwaga zirytowała ją, nie tylko dlatego, że rodziła wątpliwości, czy Maura jest naprawdę jej przyjaciółką, ale również dlatego, że pochodziła z ust Alice. Zastanawiała się, jakie jeszcze sekrety Maura przed nią ukrywa.

– Może obawiała się, że nie pójdzie jej dziś zbyt dobrze, i nie chciała, żebyś była tego świadkiem – zasugerowała Alice, po czym skupiła uwagę na scenie. – Już wychodzą – rzuciła, gdy muzycy zaczęli zajmować miejsca.

Maury jeszcze nie było, ale Rizzoli zobaczyła doktora Antrima, który właśnie siadał na krześle w sekcji smyczkowej.

– Czy wiedziałaś, że skrzypce nie zawsze strojono na czterysta czterdzieści? – spytała Alice.

Rizzoli odwróciła się do niej.

– Czterysta czterdzieści czego?

– Herców. Taki zabawny szczegół, o którym przeczytałam kilka lat temu. W dziewiętnastym wieku struny A skrzypiec były strojone na czterysta trzydzieści pięć herców. Czy to nie interesujące, że nawet muzyka klasyczna ulega przemianom? Adaptuje się do współczesnego ucha. O, jest już dyrygent.

Na scenę wyszedł siwowłosy mężczyzna w smokingu i publiczność zaczęła bić brawo.

– To Claude Ellison, zawodowy dyrygent, nie lekarz – wyjaśniła Alice. – Sprawdziłam właśnie w telefonie, kim jest. Chyba potrzeba prawdziwego profesjonalisty, by zdyscyplinować amatorów.

Rozległy się kolejne oklaski i Rizzoli zobaczyła, jak Maura wychodzi na scenę. Wyglądała wyjątkowo elegancko w czarnej sukni z lśniącego jedwabiu. Stanęła przy fortepianie i uśmiechnęła się do widzów w pierwszym rzędzie, gdzie siedział Daniel Brophy. Z gracją podciągnęła lekko suknię i usiadła przy klawiaturze.

Spraw, żebyśmy byli z ciebie dumni, Mauro, a przy okazji wkurz Alice, zaklinała przyjaciółkę w myślach Rizzoli.

Dyrygent dał znak batutą. Skrzypkowie unieśli smyczki i zaczęli grać.

Zabrzęczała komórka Rizzoli. Dzięki Bogu, nie zapomniała jej wyciszyć. Zerknęła, kto dzwoni, zobaczyła, że to matka, i wsunęła telefon z powrotem do torebki. Nie teraz, mamo.

– Muszę przyznać, że są całkiem nieźli – szepnęła Alice. – Jak na amatorów.

Gdy cała orkiestra dołączyła do smyczków i narastająca fala muzyki zmierzała do solowej partii fortepianowej, Maura uniosła dłonie nad klawiaturą. Rizzoli czekała w napięciu, obawiając się, że przyjaciółka popełni jakiś błąd. Bała się z troski o Maurę, ale chodziło również o to, że gdyby Alice pozwoliła sobie wtedy na jakąś złośliwą uwagę, mogłaby ją

udusić. Maura jednak od pierwszych taktów wyraźnie panowała nad instrumentem i bez wysiłku przebierała palcami po klawiszach.

– Zupełnie nieźle – przyznała Alice.

Nieźle? Moja przyjaciółka jest fenomenalna!

Komórka znowu zabrzęczała. Tym razem był to esemes. Rizzoli go zignorowała. Nie pozwoli, by cokolwiek ją rozpraszało. Pochyliła się naprzód, oczarowana występem Maury. Jakie masz jeszcze nadprzyrodzone zdolności, o których mi nie powiedziałaś? Skupiała całą uwagę na scenie, na kobiecie, która wydobywała z fortepianu magiczne dźwięki.

Nie usłyszała brzęczenia komórki zwiastującego kolejnego esemesa.

# Rozdział trzydziesty

## Angela

Moja córka nadal nie odbiera telefonu. Wysłałam jej trzy esemesy i dwa razy próbowałam się do niej dodzwonić, ale za każdym razem odpowiadała mi poczta głosowa. Ignoruje mnie, bo ma dość moich telefonów, moich donosów na sąsiadów. Jestem matką, która zbyt często podnosiła alarm i teraz odczuwa tego skutki. Kiedy sytuacja zrobiła się naprawdę poważna, nie zwraca na mnie uwagi.

Dzwonię więc na policję.

– Mówi Angela Rizzoli, z Mill Street. Usłyszałam właśnie…

– Witam ponownie, pani Rizzoli. – Dyspozytorka wzdycha i wyczuwam w jej głosie nutę rezygnacji.

– Usłyszałam właśnie strzał. W pobliżu mojego domu.

– Jest pani pewna? Może to był wystrzał z rury wydechowej samochodu albo coś podobnego?

– Wiem, jak brzmi strzał z broni palnej! Wiem też, że sąsiad z naprzeciwka ma pistolet!

– Ma pani znów na myśli pana Greena?

– Nie wiem, czy to on strzelał. Ale wiem, że ma broń, a ktoś w okolicy oddał strzał.

– Może mi pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

– Chwileczkę. Tylko zgaszę światła. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył mnie w oknie.

Biegnę przez salon, naciskając przełączniki. Dopiero gdy jest kompletnie ciemno, podchodzę do okna i wyglądam na zewnątrz. Od razu zauważam, że Greenowie też mają zgaszone światła. Czy są w domu? Czy wyglądają zza któregoś z tych zaciemnionych okien, próbując ocenić sytuację? U Jonasa palą się światła. Stoi w salonie i patrzy przez okno, w pełni widoczny. Wydawać by się mogło, że jako były komandos powinien unikać ryzyka, że stanie się łatwym celem dla snajpera. Światła są również zapalone w domu Leopoldów, ale nie widać tam nikogo w żadnym z okien.

– Pani Rizzoli? – odzywa się dyspozytorka. Niemal zapomniałam, że nadal jest na linii. – Czy wie pani, skąd padł strzał?

– Trudno powiedzieć. Wiem tylko, że go słyszałam. – Przerywam i nagle skupiam uwagę na samochodzie zaparkowanym na podjeździe Leopoldów. To nie ich wóz, wygląda jak camaro Ricka Talleya. Po co Rick miałby ich odwiedzać o tak późnej porze? Równie niezwykłe jest to, że frontowe drzwi ich domu są szeroko otwarte i światło z przedpokoju wylewa się na ganek. Larry ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Zawsze zamyka drzwi na klucz, a tym bardziej nie zostawiłby ich otwartych na oścież w piątkową noc, by każdy mógł wejść. – Coś jest nie w porządku – mówię dyspozytorce. – Musi pani kogoś przysłać.

– Okej. – Wzdycha ciężko. – Wyślę wóz patrolowy, żeby sprawdzili, co się dzieje. Ale proszę nic nie robić, dobrze? Niech pani zostanie w domu.

Kończę rozmowę i zostaję z nosem przy oknie; chcę wiedzieć, co się będzie działo. Jonas wyłania się ze swojego domu, staje na chodniku i rozgląda się po ulicy. Teraz wychodzi również Agnes Kaminsky i ma czelność palić papierosa tuż pod moim oknem, niewątpliwie równocześnie mnie szpiegując.

Nie mogę znieść bezruchu. Dyspozytorka kazała mi zostać w domu, a Jane powiedziałaby mi dokładnie to samo, ale kiedy nawet moja siedemdziesięcioośmioletnia sąsiadka ma dość odwagi, by wyjść, to pozostawanie w mieszkaniu zakrawałoby na tchórzostwo.

Więc wychodzę.

Agnes wita mnie, patrząc wilkiem.

– Angelo – mówi ozięble.

– Co się tu dzieje?

– Może ten Mister Universe ci powie?

Spoglądam przez ulicę na Jonasa; macha do mnie i woła:

– Masz ochotę na jeszcze jedno martini?!

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – zwracam się do Agnes.

– A on o tym wie?

Jonas przechodzi przez ulicę, by do nas dołączyć.

– Drogie panie – wita nas. – Mamy w okolicy trochę emocji, co?

– Słyszałeś ten strzał? – pytam go.

– Miałem nastawioną na cały regulator muzykę do ćwiczeń, więc nie mam pewności, co słyszałem.

– Chyba stoi tam zaparkowane camaro Ricka Talleya – mówię. – Co on, do licha, robi u Leopoldów?

Jonas wzdycha.

– No i mamy konsekwencje.

– Czego? – Unoszę brwi, patrząc na Jonasa, który tego wieczoru mówił tak tajemniczo o małżeństwie Leopoldów. – O Boże! Chcesz powiedzieć, że to Jackie Talley jest tą kobietą…

– Jaką kobietą? – dopytuje się Agnes.

– Tą, którą bzyka Larry!

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć – odpowiada Jonas.

– Nie musisz! Sytuacja jest wystarczająco jasna, żeby…

Dobiega nas odgłos kolejnego strzału i wszyscy troje nieruchomiejemy. Stoimy jak sparaliżowani, choć słyszymy wrzask Lorelei:

– Przestań! O Boże, błagam, przestań!

Jest to rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety wzywającej pomocy.

Nie zastanawiając się ani przez moment, rzucam się biegiem w kierunku domu Leopoldów. Nie jestem całkiem sama. Mam w tej walce wsparcie. Ktoś musi ocalić Lorelei, a w tej chwili tylko my możemy to zrobić.

Kiedy wchodzę po schodach na ganek, pierwszym, co widzę przez otwarte drzwi, są odłamki szkła na podłodze. Po chwili zauważam, skąd pochodzą – parę metrów dalej wisi na ścianie przedpokoju przekrzywiony obraz z rozbitym szkłem.

Wchodzę do salonu; rozdeptywane odłamki chrzęszczą pod moimi butami. Zastygam w bezruchu na widok krwi. Jest jej tylko parę kropli, ale wydają się przerażająco jaskrawe na tle białej skórzanej kanapy, o której Lorelei mówiła mi kiedyś z dumą, że kosztowała dwa tysiące dolarów. Przenoszę powoli wzrok na źródło krwi: Larry’ego, który leży na podłodze, trzymając się za lewe ramię. Jest jak najbardziej żywy i jęczy.

– Postrzeliłeś mnie, ty sukinsynu! Kurwa, postrzeliłeś mnie!

Rick Talley stoi nad nim, ściskając w obu dłoniach pistolet. Ręce drżą mu tak, że lufa chwieje się niepewnie.

– Dlaczego?! – krzyczy Lorelei, kuląc się za zaplamioną krwią kanapą. – Czemu to robisz, Rick?

– Powiedz jej, Larry – odpowiada Rick. – No już, powiedz jej.

– Wynoś się z mojego domu! – woła Larry.

– Powiedz jej! – Rick napina nagle mięśnie i prostuje rękę, wymierzając lufę wprost w głowę Larry’ego.

Ogarnięta paniką odwracam się, szukając pomocy Jonasa.

Ale go nie ma. Stoi za mną tylko Agnes. Zgięta wpół w przedpokoju, odkrztusza flegmę. Jedynie ja mogę coś zrobić.

– Rick – odzywam się spokojnie. – To niczego nie rozwiąże.

Patrzy na mnie, wyraźnie zaskoczony, że tam jestem. Był tak skupiony na Larrym, że nie zauważył nawet, kiedy weszłam do domu.

– Odejdź, Angie – rzuca.

– Dopiero jak odłożysz broń.

– Jezu, nigdy nie przestaniesz wtykać nosa w cudze sprawy?

– Mieszkam tutaj. To są moje sprawy. Odłóż ten pistolet.

– Posłuchaj jej, Rick! – W głosie Lorelei słychać błaganie. – Proszę!

– Mam do tego prawo – odpowiada Rick, znów wymierzając broń w Larry’ego.

– Nikt nie ma prawa zabijać drugiego człowieka – mówię.

– Zrujnował mi życie! Wziął coś, co do niego nie należało.

Larry prycha pogardliwie.

– Jackie z pewnością nie protestowała.

Nie pomagasz sobie, Larry, myślę. Wcale sobie nie pomagasz.

– Co to wygadujesz? – pyta go żona, wystawiając głowę zza kanapy. – A więc to prawda?

Larry jęczy i próbuje się podnieść, ale po chwili opada, chwytając się za postrzelone ramię.

– Może ktoś wezwie pieprzoną karetkę?

– Ty i Jackie Talley? Mieliście romans? – pyta Lorelei.

– To nie trwało długo. I było dawno temu.

– Jak dawno?

– Bardzo. Kiedy zaczęła pracę w liceum.

– Kiedy to się skończyło? – Lorelei podnosi się na nogi, tak wściekła, że nie dba już o to, że w ich domu jest uzbrojony mężczyzna, a jej nic nie chroni. – Powiedz mi.

– Jakie to ma znaczenie?

– Ma!

– Wiele lat temu. Piętnaście, szesnaście, nie pamiętam. Minęło tyle czasu, że nie wiem, dlaczego, do cholery, teraz wychodzi to na jaw!

– Z kim jeszcze sypiałeś, Larry? Chcę to wiedzieć!

– A ja nie – rzuca Rick. – Wiem wszystko, co chciałem. – Unosi broń.

Uznaję, że muszę zareagować.

– Co ci przyjdzie z tego, że go zabijesz, Rick? – pytam i jestem zdumiona brzmieniem własnego głosu. Jest spokojny, opanowany. Dziwi mnie, że w ogóle tu stoję, przed człowiekiem z nabitą bronią. Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu i patrzę z góry na samą siebie: odważniejszą, bardziej szaloną wersję Angeli Rizzoli, która stawia czoło rozwścieczonemu mężczyźnie. – To niczego nie rozwiąże.

– Przynajmniej lepiej się poczuję.

– Naprawdę? Tak sądzisz?

Rick milczy, zastanawiając się nad tym.

– Tak, oszukali cię i to jest do kitu – dodaję. – Ale dasz sobie z tym radę. Wiem, bo mnie przydarzyło się to samo. Możesz mi wierzyć, że byłam wkurwiona, kiedy odkryłam, że mój Frank bzyka tę niunię. Myślałam, że moje życie się skończyło. Gdybym miała broń, być może zechciałabym jej użyć, tak jak ty. Ale wzięłam się w garść, otrzepałam

z kurzu i znalazłam Vince’a. Spójrz na mnie teraz! Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek. I ty też będziesz.

– Nie będę. – Rickowi łamie się głos i opadają mu ramiona. Roztapia się na moich oczach jak woskowa świeca. – Nie znajdę nikogo innego.

– Oczywiście, że znajdziesz.

– Skąd możesz to wiedzieć, Angie? Jasne, że bez problemu sobie poradziłaś. Nadal jesteś atrakcyjna.

Nawet w środku kryzysu, w obliczu nabitej broni, która może wystrzelić, jestem dość próżna, by docenić komplement, ale nie mam czasu, żeby się nim delektować. Życie Larry’ego jest zagrożone.

Z oddali słychać syrenę. Policja jest już w drodze. Muszę zająć Ricka rozmową, dopóki tu nie dotrą.

– A co z Tricią? – pytam. – Chcesz, żeby twoja córka cierpiała, kiedy będzie musiała żyć z tym, co zrobił jej ojciec?

– Jej ojciec?! – Zamiast uspokoić Ricka, moje słowa go rozsierdzają. Patrzy na mnie dzikim wzrokiem, zatacza lufą pistoletu niekontrolowany łuk i wymierza ją kolejno w Lorelei, we mnie, w ścianę, a na koniec znów w Larry’ego. – Myślałem, że jestem jej ojcem!

Wpatruję się w leżącego na podłodze Larry’ego, a potem ponownie w Ricka. O kurczę, to jest jeszcze bardziej skomplikowane, niż sądziłam. Nagle pojmuję, dlaczego Tricia jest taka wściekła na matkę. Dlaczego uciekła i nie chce rozmawiać z Jackie. Tricia wie, że matka zdradzała Ricka. Jasne, że wie.

Syrenę słychać coraz bliżej. Porozmawiaj z nim jeszcze chwilę, nakazuję sobie.

– Kochasz Tricię, prawda? – zwracam się do Ricka.

– Oczywiście.

– Wychowywałeś ją. Zważywszy na wszystko, co się liczy, jest naprawdę twoją córką.

– Nie jego. – Rick patrzy z goryczą na Larry’ego. – Nigdy nie będzie jego córką.

– Chwileczkę – odzywa się Lorelei. – Larry jest jej ojcem?

Wszyscy ją ignorujemy. Skupiam uwagę na tym, co najważniejsze: na człowieku z bronią.

– Pomyśl o jej przyszłości, Rick – mówię. – Powinieneś tu być dla Tricii. Widzieć, jak kończy studia. Wychodzi za mąż. Zostaje matką…

Rick szlocha.

– Już za późno. Pójdę do więzienia za to, co zrobiłem.

Larry odchrząkuje.

– Masz cholerną rację.

– Zamknij się, Larry – beszta go Lorelei.

– To tylko lekka rana – zauważam. – Odsiedzisz krótki wyrok i wyjdziesz. Tricia będzie cię potrzebować. Ale musisz pozostawić Larry’ego przy życiu.

Rick chwieje się, drżąc na całym ciele od szlochu.

Zbliżam się do niego powoli. Broń zwisa mu z dłoni, z lufą skierowaną do podłogi. Obejmuję go jednym ramieniem, a wolną ręką zabieram mu ostrożnie pistolet. Oddaje go bez walki i osuwa się z płaczem na kolana. Robi to szokujące wrażenie. Przytulam go, gdy przywiera twarzą do mojego ramienia; jego łzy wsiąkają mi w bluzkę. Zapominam, że nadal trzymam broń. Skupiam się jedynie na tym zrozpaczonym człowieku, drżącym w moich objęciach, i zastanawiam się, co go czeka. Postrzelił Larry’ego, ale przynajmniej go nie zabił. Przypuszczam, że pójdzie na jakiś czas do więzienia. Straci pracę, a Jackie prawdopodobnie się z nim rozwiedzie. Ale pewnego dnia Rick wyjdzie na wolność, a jeśli Tricia nie

okaże się głupią smarkulą, jaką czasem się wydaje, będzie na niego czekała, by pomóc mu zacząć nowe życie.

Ja też postaram się przy nim być. Wiem wszystko o złamanym sercu i wiem, jak przetrwać. Będzie potrzebował przyjaciółki, a ja mogę się nią stać.

W domu dudnią kroki.

– Niech pani to rzuci! – krzyczy ktoś. – Proszę rzucić broń!

Odwracam się i widzę dwóch policjantów z Revere, którzy celują we mnie z pistoletów. Są młodzi i zdenerwowani. Niebezpieczni.

Zapomniałam, że nadal trzymam broń. Odkładam ją powoli na podłogę.

– Teraz proszę się odsunąć! I położyć twarzą do ziemi! – nakazuje mi policjant.

Naprawdę? – myślę. Naprawdę chcecie, żeby staruszka się położyła?

W tym momencie wchodzi Agnes. Wkracza do salonu w butach ortopedycznych i ta ważąca pięćdziesiąt kilogramów kobieta staje między policjantami a mną.

– Nie ważcie się, chłopcy, mierzyć do niej z pistoletów! – skrzeczy chrapliwym od papierosów głosem. – Nie widzicie, że to pieprzona bohaterka?

# Rozdział trzydziesty pierwszy

Tydzień temu Agnes Kaminsky i ja nawet ze sobą nie rozmawiałyśmy. Teraz stoi ze mną na podwórku przed domem Leopoldów i klepie mnie po plecach, gdy patrzymy za oddalającą się karetką, która zabrała Larry'ego. Sądząc po tym, jak bluzgał na ratowników medycznych, gdy zakładali mu kroplówkę, jego życiu nic nie zagraża. Nie mogę powiedzieć tego samego o jego małżeństwie.

Lorelei wyjeżdża tyłem z garażu, opuszcza szybę i mówi do nas:

– Ten sukinsyn będzie potrzebował portfela i okularów, więc jadę do szpitala. Chociaż nie wiem, dlaczego się tym przejmuję.

Gdy patrzymy, jak Lorelei odjeżdża za karetką, Agnes prycha.

– Może powinnaś była pozwolić Rickowi wykończyć tego dupka.

Ale cieszę się, że zrobiłam to, co zrobiłam. Kiedy policja wyprowadza Ricka z domu w kajdankach, ten żegna mnie skinieniem głowy. To gest podziękowania za to, że powstrzymałam go od popełnienia jeszcze większego błędu. Ludzie są istotami tak ułomnymi, skłonnymi do lekkomyślnego postępowania, i czasem ratuje nas tylko wstawiennictwo Boga… albo sąsiadki. Unoszę rękę na pożegnanie i Rick znika w blasku pulsujących świateł radiowozu.

Już po wszystkim. I nikt nie zginął.

Nagle opuszcza mnie napięcie i uginają się pode mną nogi. Podchodzę chwiejnym krokiem do ganku przed domem Leopoldów i osuwam się na schody. Nie mogę uwierzyć w to, co się wydarzyło. Nie mogę uwierzyć, że przybiegłam do tego domu, nawet się nad tym nie zastanawiając. Myślałam wtedy, że sąsiedzi dają mi wsparcie, że tuż za mną szarżuje cały oddział.

A tymczasem moja jedyna sojuszniczka stoi teraz obok, odkrztuszając flegmę nałogowej palaczki.

– Ach, ten Jonas… – mruczę.

– Co masz do niego?

– Jaki komandos pozwala, by kobieta stawiała samotnie czoło wrogowi?

– To cykor. – Agnes siada na stopniu obok mnie. – Naprawdę wierzyłaś w te jego bzdury o służbie w Navy SEALs?

– Uważasz, że to nieprawda?

– Och, miałam swoje podejrzenia. Dziś wieczorem się potwierdziły. – Jej śmiech brzmi jak ujadanie foki. Prawdziwej*, nie zmyślonej. – To jego podnoszenie ciężarków, przechwalanie się udziałem w niebezpiecznych misjach. Kto potrzebuje się chwalić, jeśli rzeczywiście uczestniczył w akcjach?

Ma rację. Jasne, że ma rację. Czuję się jak idiotka, że wierzyłam w jego wojenne opowieści. Ale zawsze miałam z tym problem – ufam ludziom – i dziś mogłam zginąć z tego powodu.

W domu Greenów zapala się światło i sączy się przez szczeliny w opuszczonych żaluzjach. Więc byli jednak w środku, zamknięci jak w norze, ze zgaszonymi światłami, gdy u ich sąsiadów rozgrywał się dramat. Musieli słyszeć strzały i krzyki Lorelei. Musieli wiedzieć, że biegnę tam nieuzbrojona, ryzykując życie. Choć Matthew Green ma broń, nie pofatygował się, by wyjść z domu i mi pomóc. Nawet teraz, gdy na ulicy stoją radiowozy, nie pokazuje się.

Jeszcze jeden tchórz. Zdaje się, że w tej okolicy jest ich pełno.

Ktoś woła zza błyskających policyjnych kogutów.

– Mamo?!

Podnoszę wzrok, mrużąc oczy, ale z trudem dostrzegam sylwetkę córki, gdy wyłania się z mroku w blasku świateł.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odpowiadałaś – mówi.

Rozglądam się po radiowozach i wzruszam ramionami.

– Było tu trochę zamieszania.

– Detektyw Saldana powiedział mi, co się tutaj stało. Jezu, mamo, tak mi przykro, że o niczym nie wiedziałam. Byłam na koncercie Maury i…

– Powinnaś była ją widzieć, Janie! – przerywa jej Agnes. – Twoja matka jest superbohaterką!

Jane wie, że Agnes i ja od miesięcy miałyśmy ze sobą na pieńku, przygląda się więc nam, próbując zrozumieć, co się zmieniło w moich relacjach z sąsiadką.

– Rozbroiła tego faceta gołymi rękami! – opowiada Agnes, młócąc pięściami w powietrzu. – Nie potrzebowała żadnej broni, absolutnie! Po prostu wparadowała do środka i kazała mu oddać pistolet. Teraz wiemy, po kim odziedziczyłaś odwagę.

– Och, mamo – wzdycha Jane. – Co ty sobie wyobrażałaś?

– Ktoś musiał to zrobić.

– Akurat ty?

– Cóż, pan komandos się nie pokazał. Podobnie jak pan Green ze swoją bronią. Pozostałam tylko ja.

Jane siada i wyglądamy teraz na schodkach ganku jak trzy ustawione w szeregu kręgle.

– Tak mi przykro – mówi.

Wzruszam ramionami.

– Byłaś na koncercie. Udał się?

– Wyszłam przed końcem, kiedy wreszcie przeczytałam twojego esemesa. Przepraszam, że nie potraktowałam poważnie ciebie i tego wszystkiego, co próbowałaś mi opowiedzieć o swojej okolicy.

– Ale żadna z tych spraw nie okazała się problemem. To były tylko drobiazgi. Greenowie, ucieczka Tricii. Prawdziwy problem okazał się czymś zupełnie innym i wiązał się z tym, co zdarzyło się dawno temu.

– Z czym?

– Jackie bzykała się z Larrym Leopoldem – oznajmia Agnes.

– Dzięki za to podsumowanie, pani Kaminsky – mówi Jane.

– No cóż, powiedziała mi to twoja matka.

– A co najdziwniejsze, Rick był tym zaskoczony – dodaję. – Nic nie wiedział. Można by pomyśleć, że po tylu latach sprawa została już dawno pogrzebana i zapomniana.

– Więc jak to teraz wyszło na jaw? – pyta Jane.

– Nie wiem. Ale myślę, że Rick wynajął tego faceta w białej furgonetce, żeby śledził Larry’ego. W ten sposób musiał dowiedzieć się prawdy.

– Jakiego faceta?

– Nie mówiłam ci o nim? Ktoś obserwował dom Leopoldów z białej furgonetki. Domyślam się, że to prywatny detektyw. Prawdopodobnie potwierdził podejrzenia Ricka i dlatego ten zjawił się tutaj dzisiaj, żeby w końcu rozprawić się z Larrym.

– A co z Jackie? Czy ktoś już z nią rozmawiał, sprawdził, czy dobrze się czuje?

– Tak, tak. Dzwoniłam do niej i nic jej nie jest. Ale mówi, że Tricia nadal nie chce wrócić do domu. – Kręcę głową. – Co za pasztet.

– Chodź, mamo. Odprowadzę cię do domu. Chcesz, żebym została z tobą na noc?

– Po co?

– Żeby dotrzymać ci towarzystwa? To musiało być dość traumatyczne doświadczenie.

Agnes śmieje się.

– Czy twoja mama wygląda, jakby przeżyła traumę?

Jane milczy, ale po raz pierwszy od dawna widzę, że mi się przygląda. Naprawdę mi się przygląda. Przez całe życie byłam dla niej po prostu mamą, kobietą, która gotowała i sprzątała, która opatrywała jej zadrapania i kibicowała na meczach softballu. Czy ktokolwiek naprawdę przygląda się swojej matce? Jesteśmy po prostu zawsze obecne, niezawodne jak siła grawitacji. Ale tego wieczoru Jane chyba dostrzega coś więcej – kogoś więcej – i wyciąga rękę, by pomóc mi wstać.

– Nie, nie wyglądasz, jakbyś przeżyła traumę – odzywa się w końcu. – Ale chyba przydałby ci się drink.

– Ja też się chętnie napiję – oświadcza Agnes. – Mam w domu szkocką. Dobry rocznik.

– Jane, nic mi nie będzie – mówię. – Wrócę po prostu do domu.

– Jesteś pewna?

– Słyszałaś, co mówiła Agnes. Jestem teraz superbohaterką. – Zerkam na sąsiadkę. – Mówisz, że masz dobrą whisky?

– Najlepszą.

– A więc dobrze – rzucam.

Ruszamy w kierunku jej domu.

– Wiesz co, Angie? – mówi Agnes.

– Co?

– Dobrze jest znów porozmawiać.

* *Seal* (ang.) – foka.

# Rozdział trzydziesty drugi

## Maura

– Wznieśmy toast! Za naszą wspaniałą pianistkę! – zawołał Mike Antrim.

Maura zdobyła się na promienny uśmiech, gdy jej koledzy muzycy unieśli kieliszki szampana. Zawsze czuła się niezręcznie, gdy była w centrum uwagi, ale tego wieczoru nie mogła kryć się skromnie w kącie – nie po takim bezbłędnym występie.

– Za naszą wspaniałą pianistkę! – zawtórowali wszyscy.

Daniel nachylił się i szepnął:

– Zasłużyłaś na owacje. Delektuj się tą chwilą.

Uniosła kieliszek, by wypić ich zdrowie.

– Dziękuję wam. Może jesteśmy amatorami, ale myślę, że dziś brzmieliśmy cholernie dobrze!

– Hej, jestem gotowy zawiesić na haku swój stetoskop! – zawołał ktoś. – Kiedy wyruszamy na tournée z tym koncertem?

– Najpierw chodźmy do jadalni i coś przekąśmy – zaproponował Antrim. – Jeśli nam z tym nie pomożecie, będziemy przez miesiąc dojadać resztki.

Przed występem Maura była zbyt zdenerwowana, by cokolwiek jeść, ale teraz poczuła głód. Poszła do jadalni i napełniła talerz kotlecikami krabowymi, medalionami z polędwicy cielęcej i szparagami. Wzięła też kolejny kieliszek wina, tym razem mocnego i krwistoczerwonego; popijała

je ze smakiem, przechodząc do przestronnego salonu Antrimów, by wmieszać się w tłum gości.

Gospodarz zaprosił ją gestem do grona osób, z którymi rozmawiał.

– Mauro, dołącz do nas! Rozmawiamy właśnie o tym, jakie utwory wybrać na następny koncert.

– Następny koncert? Ja jeszcze dochodzę do siebie po tym występie!

– Myślę, że powinniście wybrać coś dramatycznego. Albo bardzo romantycznego – powiedziała Julianne. – Słuchałam ostatnio w radiu koncertu Rachmaninowa. Co o tym sądzicie?

Wszyscy stojący w kręgu jęknęli.

– Julianne, kochanie – odezwał się jej mąż. – Jesteśmy tylko amatorami.

– Ale sprawilibyście widowni ogromną przyjemność.

Jeden ze skrzypków zwrócił się do Maury:

– Rachmaninow? Podejmujesz wyzwanie?

– Nigdy w życiu – odparła. – Na samą myśl o tym pocą mi się ręce.

Antrim roześmiał się.

– Nie przypuszczałem, że nasza opanowana pani doktor może pocić się z jakiegokolwiek powodu.

Gdybyś wiedział, pomyślała Maura. Ta lodowata doktor Isles, Królowa Zmarłych, to tylko fasada. Kobieta, która nigdy się nie denerwuje i kieruje się tylko faktami. Nosiła tę maskę na miejscach zbrodni i w salach sądowych i grała tę rolę od tak dawna, że większość ludzi wierzyła, że taka jest naprawdę.

Większość ludzi.

Rozejrzała się po pokoju, szukając Daniela, ale stał po przeciwnej stronie z Amy, córką Antrimów. Patrzyli na jeden z wiszących na ścianie obrazów.

– Czy pani znajomym podobał się koncert? – spytała Julianne.

– Nie miałam jeszcze okazji z nimi porozmawiać. Był tłum ludzi i spore zamieszanie.

– Pełna sala! – dodał Antrim. – Słyszałem, że wyprzedano wszystkie miejsca.

– Zauważyłam, że detektyw Rizzoli wyszła w trakcie koncertu – powiedziała jego żona. – Jaka szkoda, że nie została, żeby usłyszeć go w całości.

– Detektywi mają taką pracę jak my, lekarze – skwitował Antrim. – Zawsze ktoś ich wzywa.

– Wszyscy dobrze wiemy, jak to wygląda – przyznała wiolonczelistka. – Przerwane urodziny, występy dzieci, na które nie można pójść. Na szczęście naszej znakomitej pianistki nie wezwano na żadne miejsce zbrodni.

– Moim „pacjentom” raczej nigdzie się nie spieszy – powiedziała Maura.

– Masz pusty kieliszek! – zorientował się gospodarz. Sięgnął po butelkę z czerwonym winem, ale zawahał się, zanim jej dolał. – Można?

– Tak, poproszę. Dziś prowadzi Daniel.

Napełnił jej kieliszek, a potem spojrzał przez pokój na Daniela Brophy’ego i Amy, nadal skupionych na obrazie.

– Widzę, że twój przyjaciel interesuje się sztuką.

– Tak. Zwłaszcza sakralną.

– Więc powinien rzucić okiem na tryptyk w moim gabinecie. Kupiłem go parę lat temu w Grecji. Sprzedawca zaklinał się, że to antyk, ale moja żona ma wątpliwości.

– Czy Daniel też ma coś wspólnego z medycyną? – spytała Julianne.

– Nie – odparła Maura.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Powinna wypełnić ją odpowiedzią na niezadane przez gospodynię pytanie, które zawsze bała się usłyszeć: „Czym Daniel się zajmuje?”. Prawda była zbyt złożona i zawsze wywoływała uniesienie brwi, więc Maura zręcznie zmieniła temat, okazując zainteresowanie oszkloną gablotą ze skrzypcami.

– Opowiedz mi o tych instrumentach, Mike – poprosiła. – Po co ci aż pięć egzemplarzy skrzypiec?

– Chcesz znać prawdę? – Antrim zaśmiał się. – Wciąż je kupuję, bo mam nadzieję, że któregoś dnia znajdę w końcu te, na których zagram jak Heifetz. A na razie gram równie kiepsko na wszystkich.

– Ale grasz – rzuciła jego żona. – Ja nie umiem nawet czytać nut. – Rozejrzała się po gościach. – Tylu tu utalentowanych lekarzy! Czuję się w tym pokoju jak kompletne beztalencie.

Antrim objął ją w talii.

– Och, ale gotujesz jak anioł!

– Zakładając, że anioły potrafią gotować.

– Wiedziałaś, że tak się poznaliśmy? – zwrócił się do Maury Antrim. – Julianne prowadziła niewielką kafejkę naprzeciwko szpitala. Wpadałem tam codziennie na lunch i pogawędkę z miłą właścicielką.

– Kanapka z indykiem i boczkiem i podwójne cappuccino – powiedziała Julianne. – Zawsze zamawiał to samo.

– Widzisz? – Antrim zaśmiał się. – Jak mogłem się oprzeć kobiecie, która potrafi znaleźć drogę do żołądka mężczyzny?

– Skoro o tym mowa, powinniśmy uzupełnić tace. Mam jeszcze w piekarniku kotleciki krabowe.

Gdy Antrimowie wyszli do kuchni, Maura rozejrzała się za Danielem. Nigdzie go nie było, więc przeszła przez pokój w kierunku obrazu, przy

którym stał wcześniej z Amy. Rozumiała, dlaczego tak się nim zainteresował. Był to kubistyczny wizerunek Madonny z Dzieciątkiem – pomarańczowe i czerwone prostokąty. Całkowite przeciwieństwo sakralnych malowideł, które Daniel tak cenił, choć przedstawiał tę samą, tak bliską mu symbolikę.

Słysząc w oddali jego głos, poszła do holu, gdzie stał z Amy przed czarno-białą fotografią.

– Mauro, spójrz na to – powiedział. – To plac Świętego Marka, jakiego większość ludzi nigdy nie widziała. Opustoszały!

– Wstałam o czwartej rano, żeby zrobić to zdjęcie – wyjaśniła Amy. – Tylko o tej porze nie było tam tłumu turystów.

– Ty je zrobiłaś? – spytała Maura.

– Byliśmy w Wenecji na moje szesnaste urodziny. – Uśmiechnęła się do fotografii. – To dzięki tej podróży pokochałam historię sztuki. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu polecimy do Włoch. Tata obiecał, że następnym razem zwiedzimy Galerię Uffizi. Napisałam pracę dyplomową o jednym z wystawionych tam obrazów, a nigdy nie widziałam go na żywo.

– Twój tata powiedział, że ma w gabinecie tryptyk, który Daniel powinien zobaczyć.

– O, dobry pomysł. Mama uważa, że to falsyfikat. Może Daniel się wypowie.

Amy poprowadziła ich do pomieszczenia w głębi holu i włączyła światło. Wystarczył rzut oka, by wiedzieć, że są w gabinecie lekarza. Regał wypełniało wiele tych samych medycznych książek, które Maura miała u siebie: podręczniki Harrisona i Schwartza, Sabistona i Zollingera. Między nimi stała oprawiona ślubna fotografia Mike’a i Julianne z małą Amy. Wyglądała na dziesięć lat. Przypominała księżniczkę z bajki z różanym wianuszkiem na krótkich czarnych włosach.

– Oto ten słynny tryptyk – oznajmiła Amy, wyciągając rękę. – Mama uważa, że tatę oszukano, ale handlarz antyków w Atenach przysięgał, że ten obraz ma sto lat. Co sądzisz, Daniel?

– Nie znam się na tym wystarczająco, by wypowiadać się o jego wieku czy autentyczności. – Pochylił się, by przyjrzeć się dziełu. – Ale rozpoznaję tych świętych. To kultowe postacie w Kościele prawosławnym. Kobieta w środku to Theotokos, którą znamy jako Marię, matkę Jezusa. Po lewej jest najwyraźniej Jan Chrzciciel. A po prawej, sądząc po szacie, święty Mikołaj.

– Biskup z Miry – dodała Amy.

Daniel uśmiechnął się.

– Nie każdy wie, że prawdziwy święty Mikołaj był Turkiem. – Wskazał na dolny róg obrazu. – Jest tu fragment jakiegoś tekstu. Mauro, rzuć okiem. Znasz trochę grekę, więc może potrafisz to przeczytać.

Maura podeszła bliżej.

– Zbyt małe litery. Potrzebuję lupy.

– Tata ma ją gdzieś tutaj. – Amy odwróciła się w stronę biurka. – Chyba w górnej…

Maura usłyszała głośne sapnięcie i spojrzała na nią. Amy stała w bezruchu, zasłaniając dłonią usta i wpatrując się w okno.

– Co się stało? – spytała Maura.

– On tu jest. – Dziewczyna cofnęła się od okna. – Odnalazł mnie.

– Co?!

Amy patrzyła na Maurę z przerażeniem w oczach.

– Ten człowiek z cmentarza!

Daniel podszedł do okna i wyjrzał na podwórze.

– Nikogo tam nie widzę.

– Stał obok drzewa i gapił się na mnie!

Daniel skierował się do drzwi.

– Wychodzę.

– Zaczekaj! – zawołała Maura. – Daniel!

Wybiegła za nim przez tylne drzwi, w noc tak gęstą od wilgoci, że człowiek jakby się zderzał ze ścianą oparów. Stanęli razem na trawniku i rozglądali się w mroku. Z domu dochodziły dźwięki jazzu i przytłumione głosy gości Antrimów, ale na zewnątrz słychać było tylko cykanie świerszczy. Maura odwróciła się i zobaczyła Amy, która stała w oknie gabinetu i wpatrywała się w nich z niepokojem.

– Nikogo tu nie ma – powiedział Daniel.

– Miał czas, żeby uciec.

– Jeśli w ogóle ktoś tu był.

Spojrzała na niego i spytała cicho:

– Myślisz, że go sobie wyobraziła?

– Może zobaczyła własne odbicie. I wydawało jej się, że ktoś tam jest.

Przeszła po wilgotnej trawie i przykucnęła pod drzewem.

– Daniel – odezwała się cicho. – Nic jej się nie wydawało. Tu naprawdę ktoś był.

Przykucnął obok niej i razem przyglądali się odciśniętym wyraźnie w ziemi śladom butów.

Maura wyjęła komórkę i zadzwoniła do Rizzoli.

◘ ◘ ◘

– Stosowne zakończenie szalonego wieczoru – podsumowała Rizzoli. – Najpierw moja mama rozbraja człowieka z pistoletem, a teraz najwyraźniej wraca prześladowca Amy.

– Zapomniałaś wspomnieć o moim triumfalnym debiucie w roli pianistki – zauważyła Maura.

– No tak. – Rizzoli westchnęła. – Przepraszam, że musiałam wyjść w czasie koncertu, Mauro. Ale kiedy przeczytałam esemesa od mamy…

– Przecież żartuję. Pilne wezwania od mamy zawsze mają pierwszeństwo.

Rozmawiały, kucając w półmroku na podwórku Antrimów. Dochodziła północ, pozostali goście już wyszli i w okolicy zapadła cisza. Maura spojrzała na rąbek swojej jedwabnej sukni, która była teraz przemoknięta i pewnie zaplamiona mokrą trawą. Każde śledztwo ma swoją cenę, ale to wydawało się wyjątkowo kosztowne.

Podniosła się i poczuła, że od długiego kucania bolą ją uda.

– On wie, gdzie Amy mieszka – powiedziała. – Może w każdej chwili znowu się pojawić.

Rizzoli też wstała.

– Jej rodzice są przerażeni – rzuciła. – I cholernie wkurzeni.

– Chyba nie winią ciebie?

– A kogo mają winić? Ich córkę ktoś prześladuje, a ja nie potrafię go złapać. – Spojrzała na pulsujące światła zaparkowanego na ulicy radiowozu. – Ty i Daniel nie widzieliście zupełnie nikogo?

– Nie. Widziała go tylko Amy. Zanim wybiegliśmy na zewnątrz, zniknął. Przy tylu gościach na ulicy parkowało co najmniej kilkanaście samochodów, więc jego auta nikt by nie zauważył. A stąd mógł dobrze widzieć gabinet. – Maura popatrzyła w stronę okna, gdzie nadal paliło się światło. – Kiedy byliśmy w gabinecie i oglądaliśmy obraz, on stał tutaj, na podwórku. I obserwował ją.

– Pani detektyw?

Odwróciły się i zobaczyły Julianne, która wyszła przez tylne drzwi i podążała do nich przez trawnik. Mimo ciepłej nocy kuliła się, jakby z zimna, gdy stanęła w półmroku, z twarzą ukrytą w cieniu krzaku bzu.

– Co powinniśmy zrobić? – spytała.

– Macie system alarmowy. Musi być włączony.

– Ale Amy nie jest bezpieczna w domu, gdy wiemy, że on może się tu w każdej chwili zjawić. Mike musi pracować, więc nie będzie mógł chronić nas przez cały czas.

– Policja może się u państwa zjawić w ciągu dziesięciu minut – zapewniła Rizzoli.

– A jeśli zajmie im to więcej czasu? Zanim tutaj dotrą, on może być już w domu i nas zaatakować. Zaatakować Amy. – Julianne objęła się mocniej ramionami i spojrzała w kierunku ulicy, jakby w obawie, że nawet w tej chwili ktoś ich obserwuje. – Dopóki nie złapiecie tego człowieka, chciałabym Amy stąd zabrać. Wiem dokąd.

– O jakim miejscu pani myślała?

– Mamy domek letniskowy nad jeziorem, w pobliżu Douglas State Forest. To zupełne odludzie. Nigdy nas tam nie znajdzie. Mąż zgadza się ze mną, że to idealne miejsce. On musi zostać w mieście, żeby pracować, ale dołączy do nas w sobotę. Nie chcę, żeby Amy tu teraz przebywała.

Maura spojrzała na dom, którego każde pomieszczenie było widoczne jak na dłoni. Jak łatwo jest zaglądać nocą do czyjegoś wnętrza, obserwować szczegóły życia mieszkańców. Patrzeć, jak przygotowują kolację, siadają do stołu. Widzieć, co oglądają w telewizji, wiedzieć, o której idą na górę i gaszą światła. Nocą każdy dom przyciąga spojrzenia obcych, których zainteresowanie nie musi być niewinną ciekawością.

– Jeśli chcecie państwo zabrać stąd Amy, wywieźcie ją do hotelu albo do znajomych – poradziła Rizzoli. – W domku nad jeziorem nie mogę

zapewnić jej ochrony.

– A tutaj pani może?

– Staram się dbać o jej bezpieczeństwo.

– Ja też – rzuciła Julianne. Jej twarz przesłaniał cień, ale w głosie pobrzmiewał zdecydowanie lodowaty ton. – Proszę zająć się śledztwem, pani detektyw. I pozwolić mi robić swoje.

# Rozdział trzydziesty trzeci

## Amy

Nie wiedziała, dlaczego nazywano je Jeziorem Latarni, ale ta nazwa kojarzyła jej się zawsze z magicznymi nocami, świetlikami i złocistymi zmarszczkami na wodzie. Odkąd skończyła dziesięć lat, co roku, gdy upał w mieście stawał się nie do zniesienia, jej rodzina uciekała w to miejsce. Tutaj spędzali weekendy; pływali kajakiem albo kąpali się wśród trzcin. Amy słyszała, że dobrze biorą tam ryby, i ojciec zarzucał czasem wędkę, nigdy jednak nie rozumiała, co może być ciekawego w całej tej zabawie z haczykami, linkami i resztą sprzętu wędkarskiego. Ona mogła tam po prostu być, niczego nie robiąc. Obie z matką wiedziały, że będą czuły się w tym miejscu bezpieczne. Nie pytały detektyw Rizzoli o zgodę. Po prostu spakowały się i wyjechały, a gdy już się tu znalazły, Amy wiedziała, że podjęły słuszną decyzję.

Żałowała tylko, że nie przemyślały dokładniej, co zabrać. Gdy opuszczały rano w pośpiechu miasto, matka napełniła torby przypadkowymi produktami, które znalazła w kuchni. Mimo to dadzą sobie radę. Jak zawsze.

Odległy ryk silnika przyciągnął spojrzenie Amy do przecinającej wodę motorówki, zakłócającej ciszę spokojnego zwykle jeziora. Ale w takie ciepłe popołudnie należało się tego spodziewać. Do wieczora wszystkie łodzie znikną i kaczki i nury odzyskają swoje królestwo.

– Amy, jesteś głodna?! – zawołała matka z tarasu na tyłach domu.

– Nie bardzo.

– Kiedy chcesz jeść kolację?

– Jak ci pasuje.

Julianne dołączyła do córki stojącej nad brzegiem jeziora. Przez chwilę się nie odzywały, nasłuchując szumu liści na drzewach.

– Powinnyśmy jutro wyciągnąć kajak – powiedziała w końcu Julianne. – Zaraz rano, zanim pojawią się motorówki, wypłyniemy na wodę.

– Okej.

Matka spojrzała na nią.

– Boisz się, kochanie?

– A ty nie?

Julianne wpatrywała się w jezioro.

– Przeżywałyśmy gorsze rzeczy. Przetrwamy i to. Na razie nie martwmy się na zapas. – Odwróciła się w kierunku domu. – Skończę rozpakowywać rzeczy, a potem otworzymy butelkę wina.

– Jesteś pewna, że powinnyśmy?

– Myślę, że obu nam przyda się kieliszek.

□ □ □

Zbliżała się już dziewiąta, kiedy w końcu zasiadły do kolacji. Nie był to typowy posiłek. Julianne, dumna ze swoich potraw, zwykle nie szczędziła wysiłków w ich przygotowywaniu, tego dnia jednak jadły spaghetti z sosem marinara ze słoika i sałatę przyprawioną tylko oliwą i solą. Co oznaczało, że Julianne była bardziej zmartwiona, niż chciała przyznać. Motorówki w końcu ucichły i w wieczornej ciszy rozlegały się tylko krzyki nurów. Obie były nadal poruszone niedawnymi wydarzeniami i jadły w milczeniu, popijając chwilami wino. Nawet jeśli ten dom wydawał im się bezpiecznym miejscem, to nadciągająca ciemność sprawiała, że znów się denerwowały

i nasłuchiwały mimo woli wszelkich niepokojących dźwięków. Trzasku gałązki, szelestu krzaków.

Dzwonek komórki tak przestraszył Amy, że przewróciła kieliszek i cabernet rozlał się na stole. Z bijącym sercem wycierała wino serwetką, gdy matka odebrała telefon.

– Tak, jesteśmy tu. Wszystko w porządku.

Amy posłała jej pytające spojrzenie i Julianne wymówiła bezgłośnie słowo „tata”. Musiał się czuć winny, że nie jest z nimi, lecz nalegała, by jak zawsze pojechał do pracy. Ktoś powinien pojawiać się w domu, by nie sprawiał wrażenia opuszczonego; prześladowca powinien sądzić, że Amy wciąż tam jest. To najlepszy sposób, żeby zapewnić ich córce bezpieczeństwo, wyjaśniła mężowi Julianne: odwrócić uwagę tego człowieka od Amy.

– Tak, dzwoniłam do detektyw Rizzoli – powiedziała teraz. – Nie jest zachwycona, że tu jesteśmy, ale przynajmniej o tym wie. Kontaktowała się z policją w Douglas, więc są zorientowani w sytuacji. Nie ma potrzeby się martwić, Mike. Naprawdę.

Ton jej głosu sugerował, że „mama nad wszystkim panuje”. Amy dobrze go znała, a na tatę też działał. Był co prawda lekarzem, przyzwyczajonym do wydawania poleceń na oddziale intensywnej opieki, ale w domu chętnie ustępował żonie, bo tak naprawdę to ona wszystkim zarządzała, zarówno finansami rodziny, jak i kuchnią.

Gdy Julianne skończyła wreszcie rozmowę, wydawała się wyczerpana wysiłkiem, jakiego wymagało od niej uspokojenie męża, i posłała córce znużony uśmiech.

– Żałuje, że go tu nie ma.

– Nadal zamierza przyjechać w sobotę?

– Tak. Przyjedzie prosto ze szpitala.

– Powiedz mu, żeby przywiózł jeszcze kilka butelek wina.

Julianne roześmiała się.

– Biedactwo. Tkwisz na odludziu z nudną matką.

– Nuda jest okej. Akurat teraz obie tego potrzebujemy.

Amy odniosła talerze do zlewu i spojrzała na matkę, która siedziała przy stole, wpatrując się w przestrzeń i bębniąc palcami o blat. Julianne nigdy nie przyznawała się, że się boi. Nigdy nie przyznawała się do niczego, co mogłoby zaniepokoić jej córkę, ale Amy wyczuwała to bez słów. Dostrzegała strach matki w ruchach jej palców, wystukujących alfabetem Morse’a wołanie o pomoc.

– Idę rzucić jeszcze raz okiem do samochodu – powiedziała Julianne, wstając. – Nie mogę znaleźć nigdzie klapek, a wiem, że je spakowałam.

– Może są na podłodze przy tylnym siedzeniu?

– Albo w bagażniku. Mogą być pod torbami z jedzeniem.

Julianne wyjęła z kuchennej szuflady latarkę i wyszła na zewnątrz; siatkowe drzwi chroniące przed owadami zaskrzypiały. Amy słyszała kroki matki schodzącej z ganku, a potem zobaczyła przez okno, jak idzie między drzewami w kierunku podjazdu.

Amy wróciła do zlewu i zajęła się brudnymi naczyniami z kolacji. Tego wieczoru żadna z nich nie zjadła zbyt dużo. Wyrzuciła resztki spaghetti do śmieci, umyła i wytarła talerze, po czym włożyła je do szafki.

Matka nie wracała.

Dziewczyna wyjrzała przez okno, ale nie dostrzegła ani jej, ani błysku latarki. Dokąd poszła? Wahała się, czy pójść jej szukać, czy zostać w jasno oświetlonej kuchni. Mijały sekundy. Nie słyszała żadnych krzyków, niczego, co mogłoby ją zaniepokoić, tylko cykanie świerszczy. Coś jednak było nie w porządku.

Wyszła na ganek.

– Mamo?! – zawołała.

Nie usłyszała odpowiedzi.

W żadnym domu nad jeziorem nie paliło się światło. Tylko one były tu tej nocy. Same, w lesie, z dala od głównej drogi. Właśnie takiego miejsca szukały, ale teraz Amy zaczynała mieć wątpliwości. Zastanawiała się, czy nie popełniły błędu.

– Mamo?

Coś plusnęło w jeziorze i zobaczyła zmarszczki na powierzchni wody, w której odbijało się światło księżyca. To tylko kaczka albo nur. Nie ma powodu do niepokoju. Weszła z powrotem do domu, ale gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, usłyszała kolejny dźwięk. Nie pochodził znad jeziora. Był o wiele bliższy. Szelest. Trzaśnięcie gałązki.

Kroki.

Spojrzała przez drzwi z siatką, próbując dostrzec, kto – lub co – się do niej zbliża. Czy to mama wracała z samochodu?

Nagle zobaczyła postać wyłaniającą się spomiędzy drzew. Majaczyła w mroku na tle odbitej w jeziorze poświaty księżyca. To nie była Julianne. W stronę domu szedł mężczyzna.

Wtedy zaczęła krzyczeć.

# Rozdział trzydziesty czwarty

## Jane

Zanim jeszcze Rizzoli weszła do domu nad jeziorem, zobaczyła krew, która musiała tryskać z tętnicy, bo zbryzgała podłogę i ścianę. Przystanęła bez słowa na ganku i pochyliła się, by nałożyć papierowe ochraniacze na buty. Kiedy się wyprostowała, odetchnęła głęboko, przygotowując się na to, co zastanie w środku. Na zewnątrz powietrze pachniało wilgotną ziemią i sosnowym igliwiem, ale wewnątrz poczuje zupełnie inny zapach. Zbyt wiele razy już tego doświadczała.

– Jak widać, atak zaczął się w kuchni – oznajmił detektyw sierżant Goode.

Pierwszy przybył na miejsce zbrodni i miał podpuchnięte i przekrwione oczy z powodu nieprzespanej nocy. W tej wiejskiej okolicy dochodzenia w sprawie zabójstw należały do rzadkości, a zeszłego wieczoru zobaczył coś, co nim wstrząsnęło. Jakby nie mając ochoty znów tego oglądać, zatrzymał się na ganku, zanim w końcu otworzył drzwi z moskitierą i wszedł do środka.

– To dość oczywiste, co się tu wydarzyło – dodał.

Zaschnięte ślady krwi, która tryskała strumieniami, pompowana przez pulsujące rozpaczliwie serce, mówiły wszystko. Były widoczne na ścianach i kuchennych szafkach. Na podłodze leżało przewrócone krzesło, a rozbite szkło i rozmazane odciski butów znaczyły chaotyczne kroki tańca napastnika i ofiary.

– Tropy prowadzą do przedpokoju – oznajmił Goode.

Wyprowadził Rizzoli z kuchni, idąc obok śladów krwi. Zaledwie parę tygodni wcześniej podążała podobną ścieżką w mieszkaniu Sofii Suarez. Miała wrażenie, że śnił jej się powtórnie ten sam koszmar. Przystanęła, żeby przyjrzeć się rozmazanemu pojedynczemu odciskowi dłoni na ścianie. Pozostawiła go ofiara, oszołomiona i osłabiona, gdy rozpaczliwie próbowała się czegoś uchwycić, zanim upadła.

W sypialni ślad w końcu się urywał.

Tu nie było już plam krwi, tryskającej łukiem z arterii na ściany. Ofiara straciła jej już zbyt wiele i serce nie miało czego pompować. To, co pozostało w umierającym ciele, wysączyło się coraz bardziej słabnącą strużką i zebrało w zakrzepłej kałuży, którą Rizzoli miała teraz u stóp. Zwłoki zabrano już do kostnicy w Urzędzie Lekarza Sądowego, ale przesiąknięta krwią odzież wskazywała, gdzie leżały.

– Przewieźliśmy ciało do Bostonu, tak jak pani prosiła – powiedział Goode. – Skoro to zabójstwo może mieć jakiś związek ze sprawą, którą pani prowadzi.

Rizzoli skinęła głową.

– Chciałabym, żeby autopsję zrobił nasz lekarz sądowy.

– To ułatwia nam zadanie. Właściwie pod każdym względem, bo już ma pani jakieś tropy. Zeznania świadka są dość jednoznaczne. – Spojrzał na Rizzoli. – Jeszcze coś chce pani zobaczyć?

– Samochód.

– Jest zaparkowany kawałek stąd, przy głównej drodze. Albo zgubił się, jadąc tutaj, albo…

– …nie chciał ich zaalarmować, że jest w tej okolicy – dokończyła za detektywa.

Ten skinął głową.

– Też tak przypuszczam.

Wyszli z domu i ruszyli po nieutwardzonym podjeździe w kierunku asfaltowej drogi, która przebiegała wzdłuż południowego krańca Jeziora Latarni.

– Samochód jest tam – rzucił Goode, gdy do niej dotarli.

Pojazd, na który wskazywał, stał zaledwie kilkanaście metrów od miejsca, gdzie zaczynał się trakt prowadzący do letniego domu Antrimów. Była to ciemnozielona honda civic z tablicami z Maine i nieważną nalepką z przeglądu technicznego. Samochód miał już swoje lata; podwozie przeżarła rdza, a w drzwiach od strony kierowcy widniało kilka wgnieceń.

– Sprawdziliśmy tablice. Wóz został zarejestrowany na niejakiego Jamesa Creightona z Portlandu w Maine, ale adres jest nieaktualny. Właściciel mieszkania twierdzi, że Creighton zalegał z czynszem i jakieś cztery miesiące temu musiał go wyrzucić. Odciski palców się zgadzają, więc wiemy, że to on. Przeszukaliśmy samochód i znaleźliśmy na tylnym siedzeniu śpiwór i poduszkę plus kilka pustych butelek kawowej brandy. Wygląda na to, że przez jakiś czas mieszkał w tej hondzie.

– Gdzie jego komórka?

– Nie znaleźliśmy żadnej.

Rizzoli zmarszczyła brwi.

– Jesteśmy niemal pewni, że miał aparat na kartę.

– Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Ale zainteresuje panią to, co znaleźliśmy. – Wyjął swój telefon i wyświetlił obraz na ekranie. – Jest teraz w stanowym laboratorium. Zrobiłem zdjęcie, bo sądziłem, że zechce pani to zobaczyć.

Spojrzała na ekran telefonu. Zdjęcie przedstawiało młotek.

– Był wciśnięty pod wykładzinę w bagażniku, obok zapasowego koła. Niby nic niezwykłego, że miał młotek, ale pytała mnie pani o to.

– Była na nim krew?

– Gołym okiem nie widziałem, ale laboratorium to potwierdziło. Znaleźli ślady krwi na główce młotka. – Popołudniowe słońce świeciło Goode’owi prosto w oczy, więc obrócił nieco głowę, by go nie oślepiało. W jaskrawym świetle widać było każdą zmarszczkę, każdą bruzdę na jego twarzy. – Jeśli okaże się, że to krew pani ofiary z Bostonu, może to rozwiązać wszystkie pani problemy.

– Na to wygląda.

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Napastnik zginął, obie kobiety są bezpieczne. Ale pani nie wydaje się usatysfakcjonowana.

Westchnęła, spoglądając w górę na drzewa.

– Chciałabym jeszcze raz przejść się po tym domu.

– Oczywiście. Ekipa techniczna już skończyła pracę, więc proszę czuć się tu swobodnie. Ja muszę wracać do miasta. Gdyby miała pani jakieś pytania, proszę dzwonić.

Rizzoli wróciła sama do letniego domku. Stała przez chwilę na podwórku, słuchając świergotu ptaków i szumu wiatru w drzewach. Wczesnym rankiem ona i Frost przesłuchiwali Amy i Julianne, żeby dowiedzieć się, co stało się tu wczoraj wieczorem, i ich zeznania nadal rozbrzmiewały jej w głowie, gdy ponownie wchodziła po schodach na ganek.

Amy: *Wyszedł z lasu… wprost na mnie. Próbowałam zamknąć drzwi, żeby go nie wpuścić, ale wtargnął do środka. Wiedziałam, że zamierza mnie zabić…*

Julianne: *Byłam nad jeziorem i patrzyłam na wodę, kiedy usłyszałam krzyk Amy. Usłyszałam krzyk mojego dziecka, więc pobiegłam w stronę domu…*

Rizzoli weszła do środka, stanęła w kuchni i ponownie popatrzyła na zbryzgane krwią szafki, potłuczone szkło i przewrócone krzesło. Spojrzała na blat, uważnie przyjrzała się stojakowi na rzeźnickie noże. Jedna z przegródek była pusta. Zmieściłby się tam duży nóż.

Julianne: *Pobiegłam do kuchni. On był tam z Amy, przygwoździł ją do ściany i zaciskał ręce na jej szyi. Zrobiłam bez namysłu to, co zrobiłaby każda matka. Chwyciłam nóż z blatu…*

Dowodem na to, co stało się później, były zbryzgane krwią szafki i rozmazane plamy krwi na podłodze. Rizzoli widziała to wszystko oczami wyobraźni, jakby rozgrywało się tu i teraz. Julianne wbija napastnikowi nóż w plecy. Ranny, wyjąc z bólu, odwraca się i rzuca się na nią. Zdesperowana, tnie nożem na oślep i ostrze przecina mu szyję. Ta rana jest śmiertelna, ale napastnik nie umiera natychmiast. Ma jeszcze dość siły, by próbować wyrwać jej nóż, i w trakcie walki Julianne rozcina sobie rękę. Ale jemu oczy zachodzą już mgłą…

Zataczając się, idzie po omacku do przedpokoju i próbuje wesprzeć się o ścianę, pozostawiając na niej krwawy ślad dłoni. Stracił już tyle krwi, że zaczyna ogarniać go ciemność. Dociera do sypialni – w ślepy zaułek. Dalej nogi nie są w stanie go ponieść.

Rizzoli przystanęła, żeby spojrzeć na miejsce, gdzie James Creighton w końcu upadł. Tutaj wydał ostatnie tchnienie, gdy jego krew płynęła już tylko wąską strużką, a serce zablokowało się i zatrzymało.

Julianne: *Kiedy dzwoniłam na policję, jeszcze żył. Jestem tego pewna. Nie odezwał się ani słowem. Nie powiedział nam, dlaczego zaatakował. Gdy przyjechała policja, był już martwy, więc nigdy się nie dowiemy, czemu wybrał Amy. Dlaczego nie chciał zostawić jej w spokoju…*

Amy… Rizzoli rozejrzała się po sypialni. Zobaczyła koronkowe zasłony i rząd pluszaków na półce. To musiał być pokój dziewczyny. Po tej

koszmarnej nocy ją i jej matkę odwieziono do Bostonu i zostawiły w letnim domku wszystkie swoje rzeczy. Pusta walizka Amy była nadal w szafie, a w szufladach komody leżały jej skarpetki, podkoszulki i bielizna. W szafce w łazience zostały dwie szczoteczki do zębów, buteleczka tabletek na nadciśnienie, które zażywała Julianne, i farba do włosów Clairol.

Rizzoli wyszła z domu na frontowy ganek i wyjęła komórkę, żeby zadzwonić do Frosta.

– Jesteś jeszcze u nich? – spytała. – Jak się czują?

– Są trochę roztrzęsione, ale zważywszy na sytuację, nie jest źle – odparł. – Doktor Antrim wrócił do domu i Julianne poszła na górę się zdrzemnąć. Jakieś niespodzianki nad jeziorem?

– Być może. Technicy znaleźli w samochodzie Creightona młotek. Stanowe laboratorium twierdzi, że są na nim ślady krwi. Jeśli to krew Sofii Suarez…

– To by wszystko wyjaśniało.

– Z wyjątkiem pytania: dlaczego? Nadal nie znamy jego motywu. Dlaczego zabił Sofię? Dlaczego prześladował Amy?

– Dlaczego cokolwiek takiego się dzieje? Wiem, że nie znosisz, kiedy tak mówię, ale nie na wszystkie pytania można znaleźć odpowiedź.

– Owszem, nie znoszę, kiedy tak mówisz. – Spojrzała w kierunku jeziora, na parę płynącą czerwonym kajakiem. Popołudnie było bezwietrzne, powierzchnia wody wydawała się gładka jak tafla szkła. – Tu jest naprawdę pięknie. Nabieram ochoty, żeby kupić dom nad jeziorem.

– Chyba trzeba uczcić koniec śledztwa, prawda? Alice marzy, żeby wypróbować tę nową włoską restaurację w pobliżu Newton. Wszyscy w jej biurze się nią zachwycają. Co sądzisz?

– Niewykluczone. Ale teraz muszę sprawdzić jeszcze jeden szczegół.

– Co takiego?

– Wynik autopsji.

◘ ◘ ◘

Chociaż miała na sobie fartuch i maskę, a jej włosy skrywał papierowy czepek, postacią stojącą przy stole do sekcji była bez wątpienia Maura. Przyglądając się jej przez okno w przedsionku prosektorium, Rizzoli zastanawiała się, dlaczego jej przyjaciółka jest tak rozpoznawalna. Za sprawą jej królewskiej postawy, gdy sięgała po skalpel? Jej pełnej koncentracji, kiedy wpatrywała się w leżące na stole ciało? Nawet kiedy Rizzoli weszła do sali prosektorium, Maura nie podniosła wzroku znad zwłok; właśnie skończyła nacięcie w kształcie litery Y i zaczynała rozcinać żebra.

– Masz już przybliżony czas śmierci? – spytała Rizzoli, gdy stanęła obok niej przy stole.

– Zgadza się z tym, co zeznali świadkowie. – Maura podniosła mostek, odsłaniając cały skarbiec narządów, które mieści klatka piersiowa. – Śmierć nastąpiła między dziesiątą a jedenastą. Zbadałam już ranę kłutą w plecach. Ostrze noża weszło między piątym i szóstym kręgiem piersiowym. Wielkość rany pasuje do rozmiarów rzeźnickiego noża, który zabezpieczono na miejscu zbrodni. – Wskazała na szyję, gdzie rozcięcie, oczyszczone już z krwi, było rozwarte jak drugie usta, różowe i uśmiechnięte. – I jak widzisz, ta rana spowodowała rozerwanie lewej tętnicy szyjnej. Rozmawiałam z lekarzem sądowym z Worcester. Był w nocy na miejscu zbrodni i opisał to jako krwawą jatkę.

– Miał rację – przyznała Rizzoli.

– Mogli zrobić tę sekcję w Worcester. Nie musiałaś przewozić ciała do Bostonu.

– Ale wiem, że ty niczego nie przeoczysz. I zajmowałaś się tym śledztwem od początku. Sądziłam, że zechcesz je kontynuować.

– Dzięki.

Czyżby w głosie Maury brzmiał sarkazm? Jeśli chodzi o nią, czasem trudno to było stwierdzić, a wyraz jej twarzy pozostał niezgłębiony, gdy wycinała serce i płuca i otwierała tętnice wieńcowe. Żadnych zbędnych ruchów, każde cięcie sprawne i precyzyjne.

– Tętnice wieńcowe są czyste – stwierdziła, po czym spojrzała na wychudzoną twarz denata. – Choć on nie wygląda zdrowo.

– Po śmierci zwykle tak jest.

– Mam na myśli wyniszczenie organizmu. Miał o kilka rozmiarów za duże ubrania i zobacz, jakie ma zapadnięte skronie. Stracił dużo na wadze.

Rizzoli przypomniała sobie puste butelki po kawowej brandy w samochodzie.

– Alkoholik?

– Możliwe. – Maura odsunęła na bok zwoje jelita cienkiego. – Ale myślę, że to był prawdziwy powód. – Wskazała na nabrzmiały organ. – Trzustka. Są już przerzuty na wątrobę.

– Rak?

– Zaawansowany. On umierał.

Rizzoli spojrzała na zapadnięte oczy Jamesa Creightona.

– Myślisz, że wiedział? – spytała.

– Wystarczyło, by spojrzał w lustro.

– To bez sensu – rzuciła Rizzoli, kręcąc głową. – Miał raka i musiał wiedzieć, że umiera. Dlaczego prześladował tę dziewczynę? Po co jechał za nią nad jezioro i ją zaatakował?

Maura podniosła wzrok.

– Widziałaś siniaki na szyi Amy?

– Tak.

– Wyglądały przekonująco?

– Nie wierzysz ofierze?

– Mam taką naturę, że zadaję pytania. Wiesz o tym.

– Siniaki były mało widoczne – przyznała Rizzoli. – Ale widziałam je. I pamiętaj, że jego była żona też została uduszona.

– Nie udowodniono, że zrobił to Creighton.

– Po tym ataku wydaje się to bardziej prawdopodobne.

– „Prawdopodobne” nie znaczy udowodnione. – Właśnie takich słów należało się po Maurze spodziewać. Irytowały Rizzoli, choć wiedziała, że przyjaciółka ma rację.

Maura odłożyła skalpel.

– Mogę ci podać jedynie czas i przyczynę śmierci tego człowieka, a także potwierdzić jego tożsamość. Sądząc po odciskach palców i grupie krwi, jest to James Creighton, lat pięćdziesiąt sześć.

Zadzwoniła komórka. Rizzoli sięgnęła pod fartuch i wydobyła ją z kieszeni.

– Detektyw Rizzoli.

– Mam nowiny, które panią ucieszą – powiedział detektyw sierżant Goode.

– Więc proszę mnie ucieszyć.

– Chodzi o ten młotek, który znaleźliśmy w samochodzie Creightona. Stanowe laboratorium potwierdziło właśnie, że jest na nim ludzka krew tej samej grupy, jaką miała Sofia Suarez. Gratuluję. Ma pani sprawcę.

Rizzoli spojrzała na wypatroszone zwłoki. Powinna być szczęśliwa, że ostatni fragment układanki znalazł się wreszcie na swoim miejscu, poczuć

ulgę, że może zamknąć sprawę zabójstwa Sofii Suarez. Patrząc jednak na twarz Jamesa Creightona, myślała: Dlaczego mam wrażenie, że coś przeoczyłam?

# Rozdział trzydziesty piąty

## Angela

Jestem czczona tego wieczoru jak bohaterka. Wszyscy siedzący przy stole tak mnie przynajmniej nazywają i możecie być pewni, że się tym delektuję, bo nieczęsto zwykła stara mamuśka słyszy toasty na proszonej kolacji. Zresztą nie byle jakiej. Tym razem nie musiałam sama jej przygotowywać, lecz poszliśmy do jednej z najdroższych restauracji, w jakich kiedykolwiek jadłam. Wybrała ją Alice Frost, więc przynajmniej za to powinnam być jej wdzięczna, mimo że musieliśmy przejechać aż pół drogi w kierunku Framingham, by tam dotrzeć. Alice zna wszystkie najlepsze lokale, a jeśli ktoś jest – jak ona – prawniczką w renomowanej firmie, hołubią go wszyscy szefowie kuchni.

Może w końcu ją polubię. Pewnego dnia.

To ona wybierała wino do kolacji i w tym też jest cholernie dobra. Wypiłam już dwa kieliszki i kelner właśnie podbiega, by dolać mi więcej. Waha się przez chwilę, trzymając w gotowości butelkę, i pytająco pochyla głowę.

– Śmiało, mamo! – mówi Jane. – Odwiozę cię do domu, więc nie musisz sobie odmawiać.

Kelner, któremu posyłam swawolny uśmiech, napełnia mi kieliszek. Popijając wino i rozglądając się wokół stołu, żałuję, że nie ma z nami Vince’a. Uwielbia przyjęcia. Kiedy wróci z Kalifornii, uczcimy to w tej restauracji.

Tego wieczoru wszyscy coś świętujemy. Jane i Barry zamknęli śledztwo, Alice awansowała na partnera w firmie, a moja wnuczka Regina ukończyła właśnie pierwszy rok nauczania przedszkolnego. Patrzę na siedzących przy stole Alice i Barry’ego, Gabriela, Jane i Reginę i myślę: jestem taką szczęściarą!

Kiedy Vince wróci do domu, życie będzie idealne.

– Zdrowie Angeli Rizzoli, superbohaterki! – mówi Gabriel, wznosząc kieliszek z tonikiem. – Która w pojedynkę rozbroiła mężczyznę z pistoletem!

– Cóż, nie w pojedynkę – przyznaję. – Miałam wsparcie Agnes Kaminsky. Więc chociaż jej tu nie ma, powinniśmy wznieść toast także za jej zdrowie.

– Za Agnes! – mówią wszyscy i zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że jej nie zaprosiłam, ale wiem, że gdybym to zrobiła, narzekałaby na zbyt słone jedzenie, zbyt głośną muzykę i gderałaby, że trzeba być idiotą, żeby płacić trzydzieści dolarów za przystawkę.

Teraz ja wznoszę kieliszek w toaście.

– Gratulacje dla Jane i Barry’ego. Po wielu tygodniach ciężkiej pracy dopadliście sprawcę zbrodni!

– Technicznie rzecz biorąc, wcale nie – prostuje moja córka.

– Ale rozwikłaliście tę sprawę i ten człowiek nikogo już nie skrzywdzi. A więc za najlepszych detektywów w Bostonie!

Jane ociąga się trochę ze spełnieniem toastu, mimo że wszyscy pociągają solidny łyk. Znam córkę i widzę, że coś ją trapi. Co z kolei martwi mnie. To brzemię macierzyństwa: bez względu na wiek dzieci ich problemy są zawsze twoimi.

Pochylam się ku niej i pytam cicho:

– O co chodzi, Janie?

– To było długie i stresujące dochodzenie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie, to nic takiego. Po prostu irytujące szczegóły.

Odstawiam kieliszek z winem.

– Wychowałam najbystrzejszą policjantkę na świecie… – Przerywam, uświadamiając sobie nagle, że jej partner Barry także tego słucha, ale nie czuje się urażony; salutuje z uśmiechem.

– Nie zaprzeczę, pani Rizzoli.

– Okej, wychowałam policjantkę, która jest jedną z dwojga najlepszych na świecie funkcjonariuszy – poprawiam się. – Odziedziczyłaś po kimś ten detektywistyczny zmysł i z pewnością nie po ojcu.

Jane prycha.

– Też tak sądzę.

– Więc może po mnie. Może potrafię rzucić trochę światła na tę sprawę. Spojrzeć na nią z innej perspektywy, nie sądzisz?

– Nie jestem pewna, mamo.

– Nie pracuję w policji i wiem, że łatwo mnie lekceważyć jako osobę starszą i w ogóle, ale…

– Właśnie – wtrąca się Alice, machając kieliszkiem. – To wina społeczeństwa. My, kobiety, przestajemy mieć jakąkolwiek wartość, kiedy się starzejemy i tracimy zdolności rozrodcze.

– Hm… może – rzucam. – Nie znam się na tym. Po prostu lubię, żeby mnie słuchano. – Patrzę na córkę. – Jeśli coś cię gnębi, może potrafię pomóc.

Jane wzdycha ciężko.

– Nie wiem, co mnie gnębi – przyznaje.

– Ale wiesz, że coś nie gra, prawda? Znam to uczucie. Tak samo wiedziałam, że coś jest nie w porządku, gdy twój brat Frankie powiedział mi, że spędzał noc u Mike’a Popovicha, a tymczasem palił trawkę w kamieniołomie. Wyczułam to, bo mam instynkt.

– Muszę po prostu przemyśleć tę sprawę – mówi Jane.

I widzę, że właśnie to robi, gdy zaczynamy jeść na deser tiramisu, a ja dopijam czwarty kieliszek wina. Ona wypiła przez cały wieczór tylko jeden, bo ma mnie odwieźć do domu. Zawsze pełni służbę. Poświęca się egzekwowaniu prawa, co oznacza, że w ogóle się nie odprężyła. Myśli najwyraźniej o czymś innym.

Jest nadal rozkojarzona, gdy wsiadamy do jej samochodu i zapinamy pasy. Ona i jej mąż przyjechali na kolację osobno. Gabriel zabiera teraz Reginę prosto do domu, by położyć ją spać, więc Jane i ja jesteśmy tylko we dwie. Chciałabym spędzać więcej czasu sam na sam z córką. Życie mija tak szybko, ona jest wciąż zbyt zajęta, a kiedy mam ją już w końcu dla siebie, zawsze dokądś się spieszy.

– To była prawdziwa uczta – odzywa się.

– Alice wybrała dobry lokal. – Poklepuję bezcenne pudełko z jedzeniem na wynos, które mam na kolanach. – Nie zawsze gada bez sensu.

– To brzmi mi podejrzanie jak komplement.

– Nie posuwałabym się tak daleko. – Patrzę przez szybę na Alice i Barry’ego, którzy wsiadają do samochodu. Taki miły człowiek jak on zasługuje na lepszą kobietę, ale w miłości nie dyskutuje się o gustach.

Jane uruchamia silnik i wyjeżdżamy z parkingu przed restauracją.

Przed nami widać radiowóz z błyskającymi światłami. Policjanci z radiowozu zatrzymali właśnie pick-upa i oba pojazdy stoją na poboczu. Jane oczywiście zwalnia, żeby ocenić sytuację i sprawdzić, czy nie powinna interweniować. Cała moja córka, zawsze węszy jakiś problem.

Podobnie jak ja.

– Greenowie musieli się chyba wyprowadzić – mówię.

– Tak? – Wcale mnie nie słucha, bo skupia uwagę na stojącym radiowozie.

– Od kilku dni nie widziałam jej ani jego. Ale zobaczyłam światła wewnątrz domu, więc mają pewnie automatyczny timer. Urządzenie, które zapala światła, gdy robi się ciemno, żeby odstraszyć włamywaczy.

– Mamo, skoro obserwujesz ten dom całymi dniami, to żaden włamywacz nie ma szans.

Rozbawia mnie to.

– Chyba masz rację.

– *Jeśli coś zauważysz, zgłoś to*. Nadajesz tym słowom zupełnie nowe znaczenie. – Widząc, że policjanci mają wszystko pod kontrolą, przejeżdża obok nich. – Greenowie mieli pewnie już dość twojego szpiegowania.

– Po prostu obserwuję, co się dzieje w sąsiedztwie. Gdybym tego nie robiła, Larry Leopold już by nie żył, a Rick Talley miałby proces o zabójstwo.

– Rozmawiałaś już z Jackie?

– Wydaje mi się, że za bardzo się wstydzi, żeby ze mną rozmawiać.

– Z powodu swojego romansu?

– Nie, chyba bardziej z powodu tego, z kim miała ten romans. Z Larrym Leopoldem? Naprawdę? – Prycham pogardliwie.

– Nigdy nie wiadomo, mamo. Może w łóżku jest tygrysem.

Przez chwilę myślę o Jonasie i jego wyrzeźbionym torsie. Muszę przyznać, że przyciągnął moje oko. Przyznaję również, że w chwili słabości, po kilku martini, mogłabym mieć jakieś zdrożne myśli. Na szczęście Agnes przywołała mnie do porządku. Od razu go przejrzała.

Teraz znów czuję się winna, że nie zaprosiłam jej na dzisiejszą kolację. Potrafi być irytująca, była jednak przy mnie w krytycznym momencie. Z trudem łapiąc oddech, co prawda, ale pozostała ze mną.

Kiedy Jane wysadza mnie koło domu, zauważam, że u Agnes palą się jeszcze światła. Wiem, że późno chodzi spać i prawdopodobnie siedzi teraz przed telewizorem, paląc swoje ulubione virginia slims. Pewnie miałaby ochotę na moje towarzystwo. I smakowite jedzenie z restauracji.

Wciskam dzwonek przy drzwiach do jej domu.

– Angie! – skrzeczy, widząc mnie na progu. Cofam się o krok, bo bucha mi w twarz chmura tytoniowego dymu, tak gęsta, jakby wybuchł pożar. – Właśnie nalałam sobie kieliszeczek! Wejdź i napij się ze mną.

– Przyniosłam przekąski. – Pokazuję pudełko z jedzeniem.

– Chętnie coś zjem. – Sięga do stolika po butelkę whisky. – Chcesz podwójną?

– Czemu nie?

Następnego ranka płacę za to.

◘ ◘ ◘

Wstaję z gigantycznym bólem głowy, pamiętając mgliście, że wypiłyśmy całą butelkę jamesona. Wzeszło już słońce, światło w sypialni jest oślepiająco jasne i z trudem otwieram oczy. Patrzę na zegarek i wydaję jęk, widząc, że już południe. Nigdy więcej nie spróbuję dorównać w piciu Agnes. Jaka ze mnie superbohaterka, skoro siedemdziesięcioośmioletnia kobieta potrafi mnie spić!

Siadam na łóżku, masując skronie. Poprzez dudnienie w głowie słyszę dzwonek do drzwi.

Nie mam najmniejszej ochoty na gości, ale spodziewam się przesyłki od Vince’a, więc wsuwam stopy w kapcie i człapię do przedpokoju. Jestem zaskoczona, gdy po otwarciu drzwi widzę na progu zamiast kuriera Tricię Talley. Przez ostatnich parę tygodni naraziła rodziców na piekło. A teraz stoi na moim ganku, ze wzrokiem skierowanym w dół i opuszczonymi ramionami.

– To było wsunięte w pani drzwi – mówi, wręczając mi ulotkę reklamową miejscowej pizzerii.

– Tricio… – Wzdycham ciężko. – Wiem, że nie przyszłaś do mnie z ulotkami.

– Nie.

– Chcesz wejść?

– Tak. Chyba tak.

– Posłuchaj, możesz zaczekać parę minut w salonie? Późno się położyłam, więc pozwól mi się ubrać i zaraz wrócę.

Idę do łazienki, by ochlapać twarz wodą i uczesać włosy. W sypialni wciągam dżinsy i czystą bluzkę, zastanawiając się, dlaczego, u licha, ta dziewczyna nagle się zjawiła i chce ze mną rozmawiać. Czy rzeczywiście po to przyszła? A może za chwilę odkryję, że ukradła moje srebra albo coś innego? Z nastolatkami nigdy nie wiadomo.

Gdy wychodzę, nie ma jej w salonie, gdzie ją zostawiłam. Czuję zapach zaparzanej kawy i podążam za nim do kuchni. Tricia stoi przy blacie i nalewa kawę dla nas obu. Stawia filiżanki na stole, siada i patrzy na mnie wyczekująco. Nie pamiętam, by moje dzieci pijały kawę w wieku szesnastu lat, ale ona najwyraźniej nie tylko ją pije, lecz także potrafi zaparzyć.

Punkt dla Tricii.

Gdy siadam, widzę, jak na przemian zaciska i rozluźnia dłonie, jakby nie mogła się zdecydować, czy do tej rozmowy potrzebne są pięści.

– To wszystko moja wina – rzuca w końcu. – Co prawda początkowo nie ja wszystko spieprzyłam, ale potem pogorszyłam tylko sytuację.

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

– Wszystko przez lekcję biologii.

– Teraz już zupełnie nie rozumiem.

– Widzi pani, tuż przed końcem roku szkolnego mieliśmy ćwiczenia laboratoryjne z genetyki. Musieliśmy ukłuć się w palec i pobrać sobie krew. – Krzywi się na samo wspomnienie. – Nie mogłam tego ścierpieć. Tego, że muszę się ukłuć.

Kiwam głową ze współczuciem.

– Też nie potrafiłam tego zrobić. Musiała mnie ukłuć koleżanka.

Unosi brwi.

– Uczyła się pani biologii?

– Tak, Tricio. Wierz w to lub nie, ale ja również chodziłam kiedyś do liceum. I także walczyłam z rodzicami. Nawiasem mówiąc, miałam duże powodzenie. Co te lekcje biologii mają wspólnego z tym, co się stało?

– Uczyliśmy się o grupach krwi. No wie pani, A, B, zero. Kiedy pobraliśmy sobie krew, mieliśmy określić jej grupę. Okazało się, że mam B Rh plus. Jak dziewięć procent populacji. Nie taką znowu rzadką.

– No i?

– Uczyliśmy się zasad genetyki… tego, w jaki sposób dziedziczy się grupę krwi, więc chciałam się dowiedzieć, jakie mają moi rodzice, żeby dostać dodatkową ocenę.

No tak… Czyli wszystkiemu winien jest system edukacji. Nie potrafi przewidzieć konsekwencji nadmiaru wiedzy, co może doprowadzić do katastrofy.

– Mama trzyma w portfelu legitymację honorowego dawcy krwi, więc wiedziałam już, że ma grupę A Rh plus. Kiedy spytałam tatę, powiedział mi, że ma zero Rh plus. I wtedy wszystko stało się jasne. – Wciągnęła głęboko powietrze. – Nie można skrzyżować grupy A Rh plus matki z zero Rh plus ojca i mieć dziecko z grupą B Rh plus. – Przetarła gniewnie twarz ręką, by usunąć łzy. – Mama wszystkiemu zaprzeczyła, ale wiedziałam, że kłamie. Nie mogłam na nią patrzeć. Nie potrafiłam znieść tego, że rodzice są razem, udając, że wszystko jest w porządku, kiedy ja znałam prawdę. – Patrzy mi w oczy. – Dlatego uciekłam. Musiałam na jakiś czas ich opuścić. Ale wysłałam tacie esemesa, żeby wiedział, że nic mi się nie stało. Wytropił mnie w domu koleżanki i zaczął się wydzierać, że jestem niewdzięczną gówniarą. I wtedy nie mogłam się już pohamować. Wygarnęłam mu, że nie jest nawet moim ojcem. Że wszyscy żyjemy w kłamstwie.

– Dowiedział się od ciebie?

Opuściła głowę.

– To był błąd – przyznała.

– A więc nie usłyszał o tym od prywatnego detektywa?

– Jakiego detektywa?

– Człowieka z białej furgonetki.

– Nic nie wiem o żadnej białej furgonetce. Wiem tylko, że nie powinnam była mówić tego tacie. Powinnam dotrzymać tajemnicy i pozwolić mu dalej myśleć, że wszystko jest w porządku. Wierzyć, że możemy nadal udawać szczęśliwą rodzinę. Ale nie umiałam się powstrzymać.

– To ty powiedziałaś mu, że Larry jest twoim ojcem?

– Nie, nie wiedziałam, że to on. – Dziewczyna krzywi się z odrazą, która jest jak najbardziej na miejscu. Jak inaczej można zareagować na

odkrycie, że ma się geny Larry’ego Leopolda? – Nie mogę uwierzyć, że moja mama… i on… – Przechodzi ją dreszcz.

– Więc jak Rick się dowiedział?

– Mama w końcu się przyznała. Tego wieczoru powiedziała mu, z kim miała romans. I dlatego to wszystko się zdarzyło. Dlatego tata pojechał do Larry’ego.

– Och, Tricio…

– Wiem. – Wzdycha ciężko. – A byłoby gorzej, dużo gorzej, gdyby nie powstrzymała pani taty. Mógł zabić Larry’ego i na resztę życia trafiłby do więzienia. Przeze mnie.

– Nie, kochanie. Nie przez ciebie. Nie wiń się o to. Zawinili dorośli. – Przerywam. – To zwykle wina dorosłych.

Ukrywa twarz w dłoniach i płacze bezgłośnie. Jest zupełnie niepodobna do mojej córki, gdy ta była nastolatką. Janie nie płakała w ten sposób. Nie płakała, gdy ktoś ją uderzył. Natychmiast oddawała. Ale Tricia jest o wiele bardziej wrażliwa i będzie potrzebowała pomocy matki, by przez to przejść.

Muszę zadzwonić do Jackie. Będzie to niezręczna rozmowa, bo ona nie zdaje sobie sprawy, jak dużo wiem o jej rodzinie, ale Jackie i Tricia potrzebują się nawzajem i być może to ja będę musiała je pogodzić.

Odprowadzam dziewczynę do drzwi i gdy się oddala, myślę o tym, co powiem jej matce przez telefon. Żadnych wyrzutów. Wie już, że spieprzyła sprawę (i to zadając się z Larrym Leopoldem!), i teraz potrzebuje przyjaciółki. Przystaję przez chwilę na ganku, obserwuję okolicę i zbieram siły, by wykonać ten okropny telefon. Wszystko wygląda na pozór tak samo, ale ulica wydaje się jakaś inna. Ogród Leopoldów jest zadbany jak zawsze, lecz ich małżeństwo przeżywa kryzys. Jonas, uważany dotąd przez sąsiadów za byłego komandosa, nie podnosi w oknie ciężarków. Prawdopodobnie obawia się pokazać twarz, skoro okazało się, że jest

oszustem. A Greenowie? Nawet w tę piękną, słoneczną niedzielę opuszczone żaluzje skrywają ich tajemnice.

Zamierzam już wrócić do domu, gdy spostrzegam, że zbliża się znajoma biała furgonetka. Ta sama, która przejeżdża ciągle naszą ulicą i którą kilka dni temu widziałam wieczorem przed domem Leopoldów. Zakładałam, że należy do prywatnego detektywa, którego wynajął Rick, teraz jednak wiem, że to nieprawda. Kto więc jeździ tą furgonetką i dlaczego znów tu się pojawiła?

Mija powoli mój dom i zatrzymuje się przy krawężniku kilka posesji dalej. Stoi tam z wyłączonym silnikiem. Dlaczego kierowca nie wysiada? Na co czeka?

Nie mogę już dłużej znosić niepewności. Jestem kobietą, która stawiła czoło napastnikowi z pistoletem, która ocaliła życie Larry’emu Leopoldowi. Z pewnością potrafię rozwikłać tę małą tajemnicę.

Chwytam komórkę i wychodzę na zewnątrz. Po raz pierwszy furgonetka zatrzymała się tu w ciągu dnia na wystarczająco długo, bym mogła dobrze się jej przyjrzeć. Robię zdjęcie tylnej tablicy rejestracyjnej, a potem podchodzę do drzwi od strony kierowcy i stukam w szybę.

– Halo?! – wołam. – Halo?!

Mężczyzna podnosi wzrok znad telefonu komórkowego i gapi się na mnie. Jest blondynem po trzydziestce o szerokich barach i twarzy pozbawionej uśmiechu. Całkowicie.

– Dla kogo pan pracuje? – pytam.

Wpatruje się we mnie, jakbym mówiła w obcym języku.

– Pilnuję porządku w tej okolicy. Widziałam już pana tutaj kilka razy i chciałabym wiedzieć, co pan tu robi.

Chyba to do niego nie dociera, bo nadal mi nie odpowiada. Pewnie dlatego, że widzi przed sobą nie najmłodszą już gospodynię domową, którą

może zignorować. Zbyt długo mnie ignorowano i mam tego dość. Staję wyprostowana z uniesioną głową. Czas przybrać postawę mojej córki, przemówić jej głosem. Co powiedziałaby policjantka?

– Będę musiała to zgłosić – oznajmiam.

Tym razem się udaje.

– Mam dostarczyć kwiaty – odzywa się w końcu.

– Komu?

– Sprawdzę jeszcze raz nazwisko. Mam je na zleceniu z tyłu wozu.

Wysiada z furgonetki. Jest jeszcze potężniejszy, niż wydawał się za kierownicą, i idąc za nim, czuję się, jakbym kroczyła za Herkulesem.

– Może rzuci pani okiem na nazwisko na kartce – mówi. – I powie mi, czy to właściwy adres.

– Proszę mi pokazać.

Otwiera tylne drzwi i odsuwa się na bok, bym mogła spojrzeć na kwiaty.

Tyle że nie ma tam kwiatów. Furgonetka jest pusta.

Zatyka mi dłonią usta. Próbuję się wyrwać, walczyć, ale zmagam się ze ścianą mięśni. Moja komórka upada z brzękiem na ziemię, gdy mężczyzna unosi mnie i wrzuca do furgonetki. Wskakuje do środka i zatrzaskuje drzwi, zamykając się tam ze mną. Na zewnątrz jest jasno, ale w furgonetce panuje taki mrok, że prawie nie widzę, jak się nade mną pochyla. Słyszę, jak odrywa kawałek taśmy izolacyjnej.

Gdy wciągam powietrze, by krzyknąć, zakleja mi nią usta. Przewraca mnie na brzuch i brutalnie związuje mi ręce za plecami. W kilka sekund krępuje mi sprawnie nadgarstki i kostki.

Profesjonalista. Co oznacza, że umrę.

# Rozdział trzydziesty szósty

## Jane

– Wiedziałam, że coś jest nie w porządku, jak tylko zobaczyłam ten telefon leżący na ulicy – powiedziała Agnes Kaminsky. – Kiedy zapukałam, nie odezwała się, ale drzwi nie były zamknięte. Twoja mama zawsze zamyka drzwi na klucz z powodu tych koszmarnych historii, które jej opowiadasz. Dlatego do ciebie zadzwoniłam.

Czując coraz większy niepokój, Rizzoli obejrzała komórkę matki. W etui było zdjęcie Reginy, co nie pozostawiało wątpliwości, że telefon należał do Angeli. Rizzoli chciała wierzyć, że mógł leżeć na ulicy z jakiegoś zupełnie banalnego powodu. Może matka poszła na spacer i po prostu go upuściła. To nie wyjaśniałoby jednak, dlaczego nie zamknęła drzwi. Kiedy twoja córka pracuje w wydziale zabójstw, a partner jest emerytowanym policjantem i słyszysz ich opowieści o grasujących w wielkim mieście przestępcach, nigdy nie zapominasz zamykać drzwi na klucz.

– W domu jest wszystko w porządku – zapewniła Agnes. – Nikt go nie okradł.

– Była pani tam już?

– Cóż, musiałam sprawdzić. My, kobiety mieszkające same, musimy wzajemnie się pilnować.

Zaledwie przed paru tygodniami Agnes i Angela nawet ze sobą nie rozmawiały. Teraz wydawały się najlepszymi przyjaciółkami. W życiu szybko zachodzą zmiany.

– Nie pościeliła łóżka, ale zaparzyła kawę i dzbanek jest nadal ciepły – dodała Agnes. – A na stole w kuchni stoją dwa kubki, więc miała gościa. Jeśli to cokolwiek znaczy.

Rizzoli weszła do domu, a Agnes podążyła za nią, ciągnąc za sobą, jak zawsze, smród nikotyny. Na stoliku w przedpokoju, tam gdzie zwykle, leżały klucze i torebka Angeli. Kolejny zły znak. Weszły do kuchni. Rzeczywiście dzbanek do kawy był jeszcze ciepły. A na stole stały dwa puste kubki, tak jak opisała Agnes.

Ktoś odwiedził Angelę tego ranka. Ktoś siedział przy tym stole i pił z nią kawę.

– Widzisz? – odezwała się Agnes. – Jest tak, jak mówiłam.

– Widziała pani, kto ją odwiedził?

– Nie. Oglądałam telewizję. Reklamują właśnie te nowoczesne odkurzacze i pomyślałam, że może sobie taki kupię. – Agnes wskazała na komórkę. – Wiesz, jak to odblokować? Może do kogoś dzwoniła albo ktoś dzwonił do niej. Może to wszystko wyjaśni.

Rizzoli zmarszczyła brwi, patrząc na telefon. Potrzebowała sześciocyfrowego kodu, by go odblokować. Jest moją matką, powinnam wiedzieć, jakie cyfry wybrała, pomyślała. Wystukała datę urodzin mamy. Błędny kod. Jej data urodzin? Znowu błąd.

– To twoja córeczka, prawda? – spytała Agnes.

– Słucham?

– W etui telefonu. To jej zdjęcie. Zanim zaczęła chodzić do przedszkola, była niemal codziennie u twojej matki. Angie strasznie za nią tęskni.

Oczywiście, pomyślała Rizzoli i wystukała datę urodzin Reginy.

Telefon w magiczny sposób się odblokował i otworzył na używanej ostatnio funkcji. Na ekranie ukazało się najnowsze zdjęcie. Przedstawiało tył białej furgonetki. Zrobiono je dwie godziny temu, o 13.12.

– To nasza ulica – stwierdziła Agnes, pochylając się nad ekranem komórki. – Tuż przed domem.

Rizzoli wyszła na chodnik i stanęła mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie stała jej matka, gdy robiła to zdjęcie. Nie parkowała tam teraz żadna furgonetka. Powiększyła obraz i ekran wypełniła tablica rejestracyjna samochodu. Rejestracja z Massachusetts. Dlaczego zrobiłaś to zdjęcie, mamo? Czy z tego powodu zniknęłaś?

– O mój Boże – westchnęła Agnes, patrząc na drugą stronę ulicy. – To on.

Tajemniczy Matthew Green wyszedł właśnie ze swojego domu. Zmierzał prosto w ich kierunku, poruszając się jak człowiek gotowy do walki. Szedł pewnym krokiem, prężąc ramiona. Oczy przesłaniały mu okulary lustrzanki i Rizzoli nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy, ale dostrzegła bez problemu zarys ukrytej pod koszulą broni. Gdy się zbliżył, korciło ją, by sięgnąć po swój pistolet. Ale był przecież biały dzień, a obok siebie miała świadka, nawet jeśli była nim tylko Agnes Kaminsky.

– Detektyw Jane Rizzoli? – zapytał.

– Tak.

– Domyślam się, że szuka pani matki?

– Owszem. Czy wie pan, gdzie ona jest, panie Green?

– Nie jestem całkowicie pewien. – Zdjął ciemne okulary i spojrzał jej w oczy. Miał twarz nieprzeniknioną jak cyborg. – Ale chyba mogę pani pomóc ją odnaleźć.

# Rozdział trzydziesty siódmy

## Angela

Jeśli kiedykolwiek myślałam o śmierci, to zakładałam, że nastąpi dopiero za wiele lat. Wyobrażałam sobie, że leżę w domu na swoim łóżku w otoczeniu kochającej rodziny. Albo w szpitalnej sali pod opieką pielęgniarek. Albo najlepiej, że umieram nagle i bezboleśnie na udar, leżąc na ciepłej plaży z koktajlem mai tai w dłoni. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że miałabym umrzeć z taśmą izolacyjną na ustach.

A jednak taki chyba czeka mnie koniec, ze związanymi rękami i nogami na tyle furgonetki. Chyba że ten człowiek zabierze mnie na jakieś odludzie i strzeli mi w głowę. Tak robią profesjonaliści, a podejrzewam, że mężczyzna siedzący za kierownicą i wiozący mnie do grobu właśnie nim jest. Profesjonalistą.

Dlaczego aż tak się pomyliłam? Kiedy koncentrowałam uwagę na Tricii, Leopoldach i tajemniczych Greenach, tuż pod moim nosem rozgrywało się coś zupełnie innego, coś, co sprowadzało wielokrotnie tę furgonetkę do naszej dzielnicy. Ten człowiek nie przyjeżdżał tu szpiegować Larry’ego Leopolda. Był tutaj z całkiem innego powodu, którego jeszcze nie rozgryzłam. Co teraz nie ma już zresztą żadnego znaczenia.

Nadal próbuję się uwolnić, ale taśma izolacyjna nie ustępuje. To najwytrzymalszy materiał na świecie. Wyczerpana, poddaję się rozpaczy. Oto co mnie spotyka za wtykanie nosa w cudze sprawy. Miałam szczęście u Leopoldów, że nie zostałam postrzelona. Rozzuchwaliłam się i teraz za to zapłacę.

Furgonetka ostro skręca i przewracam się na bok, uderzając głową o karoserię. Szyję przeszywa mi ból, rozdzierający jak wstrząs elektryczny. Pojękuję, osłabiona i rozbita. Jak mam walczyć, skoro nie mogę nawet poruszyć rękami?

Samochód się zatrzymuje.

Poprzez dudnienie serca słyszę, jak otwierają się i zatrzaskują drzwi kierowcy. Z echa wnioskuję, że nie jesteśmy na powietrzu, tylko w jakimś budynku. Może w magazynie? Kierowca nie otwiera tylnych drzwi; odchodzi, stukając butami o beton, i zostawia mnie związaną w samochodzie. Mówi do kogoś cicho, lecz nie słyszę drugiego głosu. Prawdopodobnie rozmawia przez telefon. Wydaje się wzburzony. Czyżby dyskutowali, co ze mną zrobić?

Po chwili jego głos zanika i zapada cisza. Mam wrażenie, że o mnie zapomniał.

Teraz, gdy samochód stoi i nie rzuca już mną z boku na bok, mogę wreszcie usiąść, ale w moim wieku przy zesztywniałych stawach nawet to jest wyzwaniem. Na nic więcej mnie nie stać. Nie mogę krzyczeć, uwolnić rąk ani nóg. Jestem uwięziona w zamkniętym metalowym pudle.

W końcu ktoś zauważy, że zniknęłam, ale ile to potrwa? Czy Vince zacznie się zastanawiać, dlaczego nie odbieram telefonu, i zadzwoni do Jane? Czy Agnes zajrzy, by podziękować mi za jedzenie z restauracji? Rozważam wszelkie możliwe scenariusze, które prowadzą do tego, że pozostanę przy życiu, ale barierą nie do pokonania staje się to, że jeśli nawet zaczną mnie szukać, nikt nie wie, gdzie jestem.

Och, Angie, naprawdę już po tobie.

W panice znów próbuję uwolnić ręce od taśmy izolacyjnej. Szlochając i pocąc się, wykręcam je tak mocno, tak rozpaczliwie, że drętwieją mi palce. Straciłam już poczucie czasu, wydaje mi się jednak, że od mojego

porwania minęło wiele godzin. Może on nie wróci. Może tak to się skończy, że zostanę zmumifikowana w porzuconej furgonetce.

Nie zjadłam nawet śniadania.

Opadam wyczerpana na plecy. Janie, wiem, że więcej się po mnie spodziewasz, ale nie dam rady. Nie zdołam się uratować.

Powietrze robi się gorące i zatęchłe. Z trudem łapię oddech. A może to tylko panika. Spokojnie, spokojnie. Zamykam oczy i próbuję oddychać wolniej.

Nagle pojawia się drugi samochód. Zrywam się raptownie.

Słyszę warkot silnika i pisk opon hamujących na betonie, gdy wjeżdża do budynku. Silnik milknie i trzaskają drzwi.

Tylne drzwi furgonetki otwierają się na oścież i patrzy na mnie jakiś mężczyzna. Jego twarz jest ukryta w cieniu, więc nie widzę, co wyraża, ale dostrzegam jego sylwetkę o szerokiej talii i krótkim, grubym karku.

– Zabierz ją stąd. Chcę z nią porozmawiać – mówi.

Drugi mężczyzna przecina nożem taśmę izolacyjną na moich nadgarstkach i kostkach i wyciąga mnie z furgonetki, nogami do przodu. Byłam związana tak długo, że mam sztywne kończyny i chwieję się, stając przed trzema mężczyznami. Jednym z nich jest człowiek, który porwał mnie z ulicy. Dwaj pozostali przyjechali właśnie czarnym SUV-em escalade, który stoi obok furgonetki. Żaden się nie uśmiecha. Od razu widać, że otyły mężczyzna, najstarszy z nich, jest szefem. Dwaj młodsi stoją przy nim, a on podchodzi do mnie tak blisko, że niemal stykamy się nosami. Jest po pięćdziesiątce, ma jasnoniebieskie oczy, krótko przystrzyżone blond włosy i pachnie wodą po goleniu. Przypuszczam, że dość drogą, ale oblał się nią bez umiaru.

– No więc gdzie ona jest? – pyta.

Mamroczę coś spod taśmy izolacyjnej, którą wciąż mam zasłonięte usta. Zdziera mi ją bez ostrzeżenia. Jestem tak zaskoczona, że cofam się raptownie i uderzam nogami o tylny zderzak furgonetki. Nie mam dokąd uciekać. Jestem uwięziona między samochodem a tym mężczyzną, przesiąkniętym zapachem wody po goleniu.

– Gdzie ona jest? – powtarza.

– Kto? – pytam.

– Nina.

– Nie znam żadnej Niny.

Ku mojemu zaskoczeniu śmieje się i patrzy na pozostałych dwóch mężczyzn.

– To musi być nowa strategia, której je teraz uczą. Jak udawać głupią.

– Nie udaję głupiej. – Naprawdę jestem ogłupiała.

– Masz jej dowód tożsamości? – zwraca się do kierowcy furgonetki.

Ten kręci głową.

– Nie miała przy sobie.

– Więc będzie musiała sama nam powiedzieć. – Ten najstarszy zwraca się znów do mnie: – Dla kogo pracujesz?

– Co? Dla nikogo. Jestem po prostu…

– Dla jakiej agencji?

Agencji? Powoli zaczyna coś do mnie docierać. Oni uważają mnie za kogoś innego. Nie za zwykłą gospodynię domową.

– Gdzie wy ją ukrywacie?

Jeśli powiem im prawdę, że nie mam pojęcia, o czym mówią, będę dla nich bezwartościowa. Dopóki uważają, że wiem coś ważnego, pozwolą mi żyć. Mogą łamać mi kości i wyrywać paznokcie, ale mnie nie zabiją. A to chyba dobra wiadomość.

Nie zauważam nadchodzącego ciosu. Mężczyzna wymierza mi go tak błyskawicznie, tak nieoczekiwanie, że nie mam szans się zasłonić. Dostaję pięścią w twarz i padam na ziemię, czując eksplozję w głowie. Gdy odzyskuję ostrość widzenia, stoi nade mną, uśmiechając się szyderczo.

– Nie jesteś za stara, żeby działać w tej branży? – mówi.

– A ty? – Wypowiadam te słowa, zanim udaje mi się powstrzymać, i kulę się, gdy unosi rękę, by zadać kolejny cios. Nagle opuszcza pięść.

– Może źle zaczęliśmy naszą znajomość – mówi. Chwyta mnie za rękę i stawia z powrotem na nogi. – Trochę współpracy z twojej strony i będzie nam o wiele łatwiej. Może ci się to nawet opłacić… w sensie finansowym. Nie wyobrażam sobie, żeby państwowa emerytura kogoś zadowalała.

Dotykam ostrożnie policzka w miejscu, gdzie mnie uderzył. Nie krwawi, ale czuję, jak puchnie. Będę miała cholernego siniaka… jeśli przeżyję.

– Powiedz, gdzie przewieźliście Ninę.

Znów wracamy do tej tajemniczej Niny. Nie mogę się przyznać, że nie mam pojęcia, o kogo chodzi. Muszę blefować.

– Nina nie chce, żeby ją odnaleziono – odpowiadam.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Ona naprawdę jest przerażona.

– Powinna być. Oczekuję od moich pracowników lojalności, a rozmowa z federalnymi to szczyt nielojalności. – Spogląda na stojących obok niego mężczyzn. – Oni to rozumieją.

– Ale Nina nie rozumiała – rzucam.

– Nigdy nie uda jej się wystąpić w roli świadka. Bez względu na to, ile razy będzie zmieniała miejsce pobytu, odnajdę ją. Ale to zaczyna być męczące. – Jego głos łagodnieje, staje się przyjacielski, niemal intymny. –

Poświęcam tyle środków, żeby wytropić tę sukę. Tym razem zajęło mi to całe cztery tygodnie. Musiałem prosić o przysługę policję z Revere.

Cztery tygodnie. Wszystko staje się jasne. Przed czterema tygodniami Greenowie przeprowadzili się do domu naprzeciwko. Przez cały czas mieli opuszczone żaluzje i zamknięte drzwi garażu. Nigdy nie zamienili ze mną słowa poza moją wizytą u nich pierwszego dnia. Myślę o zdenerwowanej kobiecie, która przedstawiała się jako Carrie Green, ale nie jest to jej prawdziwe nazwisko.

To Nina, która najwyraźniej wie wystarczająco dużo, by posłać tego człowieka do więzienia. Jeśli ten wcześniej jej nie zabije.

– Zawrzyjmy układ – proponuje mężczyzna, znów próbując przekonać mnie niskim, przymilnym głosem. – Ty pomożesz mnie, a ja tobie.

– A jeśli nie zechcę?

Zerka na swoich ludzi.

– Jak sądzicie, chłopcy? Pogrzebiemy ją żywcem? Czy wsadzimy do zgniatarki na śmieci?

Strzał w głowę zaczyna brzmieć lepiej.

– Spróbujmy jeszcze raz – zwraca się do mnie. – Powiedz mi, gdzie ją trzymacie, a ja pozwolę ci żyć. Mogę cię nawet zatrudnić. Przyda mi się jeszcze jedna para uszu i oczu do szpiegowania. Powiedziałaś, że dla kogo pracujesz?

– Nic nie powiedziała – wtrąca się kierowca furgonetki. – Ale wyczuwam, że jest policjantką. Po tym, jak się do mnie zwracała. Jak na mnie naskoczyła, jakby, kurwa, cała ulica należała do niej.

I na tym polegał mój błąd. Myślałam o sobie jako o prawdziwej bohaterce, a w rzeczywistości jestem tylko zwykłą gospodynią domową z Revere. Szkoda, że okazałam się taka przekonująca. Teraz umrę, bo nie mam pojęcia, gdzie jest Nina alias Carrie.

Ale oni nie muszą wiedzieć, że nie wiem.

– Niech zgadnę. FBI? – pyta mnie ten najstarszy.

Nie odpowiadam. Tym razem widzę, jak zamierza się pięścią, i choć spodziewam się ciosu, jest równie ogłuszający jak poprzedni. Zataczam się, czując pulsowanie w szczęce. Piecze mnie warga i kiedy jej dotykam, widzę krew na palcach.

– Spytam jeszcze raz. Jesteś z FBI? – mówi.

Wciągam powietrze i szepczę:

– Z bostońskiej policji.

– Wreszcie do czegoś dochodzimy.

Jestem zbyt przybita, by cokolwiek powiedzieć. Wpatruję się w swoją krew kapiącą na beton; pozostanie niemym dowodem długo po mojej śmierci. Wyobrażam sobie techników kryminalistycznych, którzy przeczesują ten magazyn po wielu dniach, tygodniach, a nawet latach, spoglądając na jaśniejące u ich stóp świadectwo mojego zgonu. Nie będę w stanie opowiedzieć im, co się wydarzyło, ale moja krew wszystko wyjawi.

Zwłaszcza że zajmie się tym Jane. Wiem, że na to mogę liczyć: moja córka zadba, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Spróbujmy od nowa – mówi. – Gdzie jest Nina?

Kręcę tylko głową.

– Zabić ją – nakazuje i odwraca się, by odejść.

Jeden z mężczyzn wyciąga broń i robi krok naprzód.

– Chwileczkę – powstrzymuję go.

Ten, który tu rządzi, odwraca się.

– Hotel Colonnade – wyrzucam z siebie. Jego nazwa przychodzi mi do głowy tylko dlatego, że wnuczka Agnes Kaminsky miała tam przyjęcie

weselne. Pamiętam trzypiętrowy tort, szampana i zaskakująco niskiego pana młodego. To pierwsze, co przyszło mi do głowy. Wiem, że wystarczy im krótka wizyta w hotelu, by odkryć moje kłamstwo. Nic więcej nie mogę jednak zrobić, by opóźnić nieuniknioną katastrofę.

– Pod jakim nazwiskiem jest zameldowana?

– Kaminsky – odpowiadam, mając nadzieję, że nikt o tym nazwisku tam nie przebywa.

Patrzy na kierowcę furgonetki.

– Jedź tam i sprawdź.

Tak jak przypuszczałam: wkrótce okaże się, że blefuję i kobiety, którą ścigają, wcale tam nie ma. Nie mam pomysłu, co jeszcze mogę powiedzieć albo zrobić, żeby się uratować. Myślę o ludziach, których kocham, o tym, że już nigdy ich nie zobaczę.

Kierowca wsiada do furgonetki i wyjeżdża z magazynu. Pół godziny, najwyżej godzina, przewiduję. Tyle wystarczy, by dowiedzieli się, że skłamałam. Rozglądam się, szukając drogi ucieczki. Widzę sprzęt budowlany – betoniarkę, buldożer – ale jedyne wyjście stanowią otwarte drzwi, które blokują teraz mężczyźni.

Ten, który jest szefem, przyciąga skrzynię i siada na niej. Spogląda na knykcie i potrząsa ręką. Sukinsyn stłukł ją sobie, gdy mnie uderzył. Dobrze mu tak. Patrzy na zegarek, drapie się po nosie. Zwykłe gesty wyglądającego zwyczajnie faceta. Nie sprawia wrażenia potwora, ale nim jest i myślę o tym, jak odważna musi być Nina, że mu się sprzeciwiła. Pamiętam jej zdenerwowaną twarz i wiadomość, którą podrzuciła na mój ganek; prosiła, bym zostawiła ich w spokoju. Przez cały czas sądziłam, że boi się męża, a ona obawiała się tych ludzi.

Krzywię się, słysząc dzwonek telefonu. Mężczyzna, który wydaje tu rozkazy, wyciąga go z kieszeni i mówi:

– Tak?

Zaraz wszystko się skończy. Dowie się, że w hotelu Colonnade nie ma nikogo o nazwisku Kaminsky. Dowie się, że skłamałam.

– Kto mówi? – warczy do słuchawki. – Skąd masz ten numer?

Warkot silnika sprawia, że obaj mężczyźni rzucają się do otwartych drzwi, gdy czarny SUV wjeżdża na pełnym gazie do magazynu. Staje z piskiem hamulców tuż obok nich.

To moja szansa. Być może jedyna. Korzystam z niej.

Nie mogę uciec przez główne drzwi, więc prześlizguję się za escalade i pędzę w kierunku betoniarki.

– Co jest, kurwa?! – wrzeszczy mężczyzna.

Przykucam za betoniarką, więc nie widzę, co się dzieje, ale słyszę, że do budynku wjeżdżają kolejne pojazdy i hamują z piskiem opon. Słyszę krzyki i tupot butów na betonie.

I strzały. O Jezu, to gangsterskie porachunki. A ja trafiłam w sam ich środek.

Przedzieram się w głąb magazynu i ukrywam pod buldożerem. Są zbyt zajęci walką o życie, więc może zapomną, że tu jestem. A gdy się wzajemnie wystrzelają, kiedy już wszyscy padną, wypełznę stąd i wymknę się. Uniknę rzezi. Zwijam się w kłębek, zasłaniam głowę i powtarzam cicho jak mantrę: „Nie widzą mnie. Jestem niewidzialna. Jestem niewidzialna”.

Tak szczelnie otulam ramionami głowę, że dopiero po chwili uświadamiam sobie, że strzelanina ucichła. Nikt już nie krzyczy. Jak żółw wynurzający się powoli ze skorupy, wysuwam ostrożnie głowę i słyszę…

Ciszę.

Nie, nie jest zupełnie cicho. Słyszę jakieś kroki. Widzę spod buldożera buty kogoś, kto przystaje tuż obok miejsca, gdzie się ukrywam. Czarne półbuty, wąskie, lekko zdarte i dziwnie znajome.

– Mamo?

Oczy Jane spoglądają na mnie nagle pod buldożerem. Patrzymy na siebie i przez chwilę myślę, że mam halucynacje. Jak to możliwe? Moja genialna, nieustępliwa córka zjawiła się w magiczny sposób. Przybyła mi na ratunek.

– Hej, jesteś cała? – pyta.

Wypełzam spod buldożera i biorę ją w ramiona. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni ściskałam córkę tak mocno. Minęło wiele lat, odkąd była małą dziewczynką i mogłam chwycić ją i unieść. Teraz jest na to za duża, ale nadal mogę spróbować i gdy jej nogi odrywają się od podłogi, słyszę, jak mówi ze śmiechem: „Wow, mamo!”.

Zwykle to ja wybawiałam ją z opresji, opatrywałam skaleczone kolana i zbijałam gorączkę. Teraz ona mnie ratuje i nigdy nie byłam równie wdzięczna losowi, że mam tę dziewczynę, moją córkę.

– Mamo. – Odsuwa się i patrzy na moją sponiewieraną twarz. – Co oni ci, kurwa, zrobili?

– Trochę mnie poturbowali. Ale nic mi nie jest.

Odwraca się i woła:

– Greeley! Znalazłam ją!

– Kim jest Greeley? – pytam.

Widzę, jak zmierza do nas człowiek, którego znałam kiedyś jako Matthew Greena. Mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu, oceniając chłodnym okiem, na ile ucierpiałam.

– Potrzebuje pani karetki, pani Rizzoli? – pyta.

– Chcę po prostu pojechać do domu – mówię.

– Sądziłem, że tak pani odpowie. Niech córka zabierze panią do domu i pomoże pani doprowadzić się do porządku. A potem będziemy musieli

pogawędzić. – Odwraca się, by odejść.

– Na temat Niny? – pytam.

Przystaje i patrzy na mnie.

– Co pani o niej wie?

– Wiem, że ma zeznawać przeciwko facetowi, który stoi za moim porwaniem. Wiem, że jeśli kiedykolwiek ją odnajdzie, będzie martwa. Wiem, że on ma wtyczkę w policji w Revere, kogoś, kto dostarcza mu informacje, więc lepiej to sprawdźcie. A jeden z jego ludzi jest teraz w hotelu Colonnade i szuka Niny.

Przygląda mi się przez chwilę, jakby mnie zobaczył – naprawdę zobaczył – po raz pierwszy. Jeden kącik jego ust się unosi.

– Chyba pani nie doceniłem. – Zwraca się do Jane: – Proszę zabrać mamę do domu, pani detektyw. I niech nie wchodzi mi w drogę. O ile to możliwe.

– A co z Niną?! – wołam, gdy się odwraca.

– Nic jej już nie grozi.

– Skąd pan wie?

– Proszę mi zaufać.

– Niby dlaczego? Czy naprawdę nazywa się pan Greeley?

Podnosi rękę, macha mi niedbale na pożegnanie i odchodzi.

– Chodź, mamo – mówi Jane. – Zawiozę cię do domu.

Teraz, gdy minęło przerażenie, zaczyna naprawdę boleć mnie policzek. Może potrzebna mi karetka, ale jestem zbyt dumna, by się do tego przyznać, pozwalam więc córce, by poprowadziła mnie od buldożera do drzwi, gdzie kręci się kilkunastu funkcjonariuszy w kamizelkach z napisem *Agent Federalny*.

– Nie patrz, mamo – ostrzega mnie Jane.

Muszę więc tym bardziej spojrzeć. Na krew rozbryzganą na betonowej posadzce. Na dwa ciała leżące u stóp agentów. To dlatego Greeley powiedział, że Ninie już nic nie grozi. Ponieważ człowiek, który ją ścigał, leży teraz martwy, zastrzelony w potyczce z agentami federalnymi. Nadal czuję intensywny zapach jego wody po goleniu.

Przystaję, żeby popatrzeć na mężczyznę, który posiniaczył mi twarz i bez namysłu rozkazał mnie zabić, i czuję pokusę, by mocno kopnąć jego zwłoki. Mam jednak swoją godność, a poza tym patrzą na mnie wszyscy agenci. Wychodzę z magazynu i wsiadam do samochodu córki.

◘ ◘ ◘

Kilka godzin później, po solidnej dawce ibuprofenu i z przytkniętą do policzka torebką mrożonego groszku, czuję się o wiele lepiej. Jane i ja siedzimy w salonie, co samo w sobie jest już czymś odświętnym, bo córka nieczęsto znajduje dla mnie czas. Zwykle absorbuje ją praca albo Regina, albo tysiąc innych spraw, które musi załatwić, zamiast towarzyszyć matce. Ale tego popołudnia wygląda na zadowoloną, że może napić się herbaty i po prostu… porozmawiać. O tym, co się dziś wydarzyło. O ludziach, których znaliśmy wcześniej jako Matthew i Carrie Greenów.

– A więc to dlatego mieli zawsze opuszczone żaluzje – mówię. – Dlatego on nosił broń. Dlatego założył kraty w oknach. Dlatego nie rozmawiał z sąsiadami.

– Ona była ich świadkiem koronnym, mamo, i musiała pozostać przy życiu. Przeprowadzali się z nią już wcześniej dwukrotnie, ale on jakoś zawsze umiał ją wytropić.

– Bo ktoś z policji w Revere dawał mu cynk.

Jane skinęła głową.

– Teraz już to wiedzą, dzięki tobie. I dowiedzą się, kto to jest, do cholery.

Czuję przyjemny dreszczyk, słysząc pochwałę z ust córki, która jest policjantką.

– Greeley zaniepokoił się, gdy zobaczył dwa tygodnie temu tę furgonetkę – wyjaśnia Jane. – Więc przenieśli Ninę w kolejne bezpieczne miejsce.

– Ale ktoś nadal mieszkał w tym domu naprzeciwko. Widziałam tam światła.

– On się nie przeprowadził, żeby wyglądało na to, że mieszkanie nadal jest zajęte. I żeby mieć oko na tę furgonetkę. A potem ty włączyłaś się do akcji.

– I pewnie wszystko spieprzyłam.

– Nie, mamo. Dałaś im powód, żeby w końcu wkroczyli i aresztowali tego człowieka. Musieli postawić mu zarzuty, z których nie mógłby się wywinąć, a porwanie to mocny zarzut. Założyli nadajnik w jego wozie i doprowadził ich do ciebie. Kiedy zaczął strzelać, pozostało im tylko jedno wyjście: odpowiedzieć ogniem. Teraz proces nie jest już potrzebny.

– Pamiętasz, co mówiłam, kiedy byłaś małą dziewczynką? Na temat dokonywania niewłaściwych wyborów?

Jane śmieje się.

– Tak. Dokonali złego wyboru, porywając ciebie.

Patrzę za okno, na dom naprzeciwko. Nikt tam teraz nie mieszka i muszę przyznać, że brakuje mi Greenów. Brakuje mi tajemniczych sytuacji, ekscytujących domysłów. Pozostała nudna znajoma okolica, gdzie udało mi się rozwikłać jedynie zagadkę, kto kogo bzykał.

– Skoro mowa o ludziach, którzy dokonują złych wyborów… – mówię. – Wiem wreszcie, dlaczego Rick Talley postrzelił Larry’ego Leopolda.

Myślałam cały czas, że to Rick wynajął prywatnego detektywa i w ten sposób dowiedział się o romansie żony. Ale to Tricia mu powiedziała.

– Tricia o tym wiedziała?

– Przyszła mi podziękować, że powstrzymałam jej ojca przed zabiciem Larry’ego.

– Jak dowiedziała się o romansie matki?

– Dzięki lekcji biologii. Uczyli się o genetyce i mieli oznaczyć swoją grupę krwi. Tricia ma B Rh plus, a jej mama A Rh plus. Problem polega na tym, że Rick ma zero Rh plus, co oznacza, że nie może być jej biologicznym ojcem. Dlatego była taka wkurzona na matkę. Powiedziała Rickowi, a on przycisnął Jackie i ta w końcu przyznała się, z kim miała romans. Dlatego zjawił się w domu Larry’ego.

Jane długo milczy i widzę, że myśli o czymś innym. Zawsze tak jest. Ja coś mówię, a ona wędruje myślami do innych spraw. Ważniejszych od tych, o których opowiada jej matka. Lada chwila znajdzie jakąś wymówkę, by zakończyć tę nudną rozmowę i wyjść.

– Jezu, mamo! – Nagle zrywa się z krzesła.

– Wiem. – Wzdycham ciężko. – Musisz już iść.

– Rozwikłałaś tę sprawę! Dziękuję!

– Co? Co takiego powiedziałam?

– Grupy krwi! Powinnam była się domyślić, że chodziło o grupy krwi! – Zmierza do drzwi. – Czeka mnie dużo pracy.

– O czym ty mówisz?

– O Sofii Suarez. Całkowicie się myliłam.

# Rozdział trzydziesty ósmy

## Amy

Detektyw Rizzoli wróciła. Amy zobaczyła przez okno w holu, że stoi przed frontowymi drzwiami, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego policjantka znowu przychodzi tyle tygodni po ich ostatniej rozmowie. Może musiała wyjaśnić jeszcze kilka szczegółów, zanim oficjalnie zamknie sprawę, postawić parę kropek nad „i”.

Amy otworzyła drzwi i powitała ją uśmiechem.

– Nie wiedziałam, że pani przyjdzie. Miło znów panią widzieć.

– Pomyślałam, że wpadnę zobaczyć, jak sobie z mamą radzicie.

– Świetnie, dzięki pani. Śpimy obie o wiele lepiej, gdy jest już po wszystkim. Proszę wejść.

– Czy mama jest w domu? – spytała Rizzoli, wchodząc do środka.

– Pobiegła kupić coś do jedzenia, ale zaraz wróci. Chciała pani z nią porozmawiać?

– Tak. I z panią również.

– Chodźmy do kuchni. Miałam właśnie zaparzyć herbatę. Napije się pani?

– Chętnie, dziękuję.

Weszły do kuchni i Amy nastawiła czajnik. Matka nauczyła ją dawno temu, że rano proponuje się gościowi kawę, a po południu herbatę. Tak czy inaczej, zawsze częstuje się go czymś do picia. Czekając, aż zagotuje się woda, dziewczyna patrzyła, jak detektyw Rizzoli wysyła esemesa, a potem rozgląda się zamyślona po kuchni, jakby widziała ją po raz pierwszy, choć

przecież odwiedzała już ich dom. Może podziwiała po prostu nowoczesną lodówkę ze stali nierdzewnej albo sześciopalnikową kuchenkę typu Viking, sprzęt, z którego Julianne była bardzo dumna.

– Twoja mama świetnie gotuje, prawda? – odezwała się Rizzoli.

– Wszystko przyrządza sama. To dla niej powód do dumy – powiedziała Amy, otwierając plastikowy pojemnik z cytrynowymi ciasteczkami upieczonymi przez matkę.

– Jak nauczyła się gotować?

– Nie wiem. Od zawsze umiała to robić. W ten sposób zarabiała, gdy byłam mała. Pracowała w restauracjach, w kafejkach.

– Podobno tak poznała doktora Antrima. W kafejce naprzeciwko szpitala.

Amy roześmiała się.

– Słyszałam tę historię tysiąc razy.

– To było tuż po waszej przeprowadzce do Bostonu?

– Miałam wtedy dziewięć lat. Mieszkałyśmy w koszmarnej norze w Dorchester. Potem mama poznała tatę i wszystko się zmieniło. – Dziewczyna ułożyła cytrynowe ciasteczka na pięknym porcelanowym talerzu i postawiła go na stole. Sposób podania to połowa sukcesu, mówiła zawsze jej matka.

– Gdzie mieszkałyście wcześniej? Przed przeprowadzką?

– W wielu różnych miejscach. W Worcester. Na północy stanu Nowy Jork.

– I w Vermoncie. Tam się pani urodziła, prawda?

– Cóż, nie sięgam pamięcią aż tak daleko.

– A przypomina pani sobie pobyt w Maine?

– Nigdy tam nie mieszkałyśmy. – Amy wsypała do czajniczka herbatę, zalała ją gorącą wodą i odstawiła, żeby się zaparzyła.

– Ale była tam pani.

– Raz, na wakacjach. Tato chciał pozwiedzać latarnie morskie. Lało przez cały tydzień. Nigdy już tam nie wróciliśmy.

Siedziały przez chwilę w milczeniu. Tykał kuchenny zegar, a herbata się parzyła. Wyglądało na to, że prowadzą pogawędkę dla zabicia czasu, a policjantka przyszła, żeby porozmawiać z Julianne. Herbata nie była jeszcze gotowa, ale Amy i tak nalała ją do dwóch filiżanek, podała jedną detektyw Rizzoli, a drugą podniosła do ust.

– Zanim zaczniesz pić, muszę pobrać ci wymaz z gardła – oznajmiła Rizzoli.

Amy odstawiła filiżankę i uniosła brwi, gdy policjantka wyjęła z kieszeni wacik i rozpakowała go.

– Dlaczego? Do czego to potrzebne?

– Musimy wykluczyć pewne możliwości. Na nożu były ślady krwi więcej niż jednej osoby i laboratorium potrzebuje DNA wszystkich osób, które były w domu letniskowym.

– Ale przecież pani wie, że mama skaleczyła się tamtego wieczoru. Więc to jej krew będzie na nożu.

– Potrzebujemy także twojego DNA. Żeby zamknąć tę sprawę. To rutynowe postępowanie.

– Okej – zgodziła się w końcu dziewczyna.

Rizzoli pobrała próbkę, zamknęła pojemnik i wsunęła go do kieszeni.

– A teraz proszę mi powiedzieć, jak sobie pani radzi, Amy. Przeżyła pani kilka trudnych tygodni z powodu tego człowieka, który panią prześladował.

Amy objęła dłońmi ciepłą filiżankę.

– Nic mi nie jest.

– Naprawdę? Bo byłoby to całkiem normalne, gdyby miała pani zespół stresu pourazowego.

– Miewam koszmary – przyznała Amy. – Tata mówi, że najlepiej, żebym się czymś zajęła. Wróciła na uczelnię, skończyła studia. – Zaśmiała się smętnie. – Chociaż mama chce, żebym nigdy się od niej nie wyprowadzała.

– Zawsze była taka opiekuńcza?

– Tak. – Dziewczyna uśmiechnęła się. – Zanim poznała tatę, byłyśmy tylko my dwie. Pamiętam, jak śpiewała mi w samochodzie piosenkę: *Ty i ja przeciw całemu światu!*

– Jak daleko sięgają pani wspomnienia?

To pytanie sprawiło, że Amy zamilkła. Rozmowa zaczynała zmierzać w zaskakującym kierunku. Poczuła się niezręcznie, widząc, że Rizzoli przygląda się jej intensywnie i analizuje każde jej słowo. To nie była już pogawędka przy herbacie. Dziewczyna czuła się jak na przesłuchaniu.

– Po co zadaje mi pani te wszystkie pytania?

– Bo nadal próbuję zrozumieć motywy Jamesa Creightona. Dlaczego prześladował akurat panią? Co było w pani takiego szczególnego? I kiedy pierwszy raz panią zobaczył?

– Na cmentarzu.

– A może wcześniej? Czy Creighton mógł znać pani matkę, gdy była pani dzieckiem?

– Nie, powiedziałaby mi. – Amy wypiła łyk herbaty, która już stygła. Zauważyła, że Rizzoli nawet nie tknęła swojej filiżanki i siedzi, wpatrując się w nią.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim ojcu, Amy. Nie o doktorze Antrimie, tylko o biologicznym ojcu.

– Po co?

– To ważne.

– Staram się o nim nie myśleć. Nigdy.

– Ale musi go pani pamiętać. Kiedy pani matka wyszła za Mike’a Antrima, miała pani już dziesięć lat. Widziałam ich ślubną fotografię w gabinecie. Była pani druhną.

Amy skinęła głową.

– Pobrali się nad Jeziorem Latarni.

– A co z pani biologicznym ojcem?

– Uważam Mike’a Antrima za mojego jedynego ojca.

– Ale był jeszcze inny mężczyzna, Bruce Flagler. Stolarz, który imał się różnych zajęć, przenosząc się z miasta do miasta, naprawiając dachy, remontując kuchnie.

– A co Bruce ma z tym wspólnego?

– A więc pamięta go pani.

– Staram się zapomnieć. – Nagle Amy wstała i wzięła z kuchennego blatu swoją komórkę. – Wyślę mamie esemesa, żeby wracała natychmiast do domu. Tylko ona może odpowiedzieć na pani pytania.

– Muszę wiedzieć, co pani pamięta.

– Nie chcę pamiętać! Był okropny!

– Matka powiedziała, że odeszła od niego, kiedy miała pani osiem lat. Wystarczająco dużo, żeby pamiętać wiele szczegółów.

– Tak, miałam dość lat, by zapamiętać, że ją bił. I że wpychała mnie do sypialni, żeby mi nie zagrażał.

– Co stało się z Bruce’em Flaglerem?

– Niech pani zapyta moją matkę.

– Nie wie pani?

Amy usiadła i spojrzała przez stół na Rizzoli.

– Pamiętam dzień, gdy go zostawiłyśmy, wrzuciłyśmy rzeczy do walizki i wskoczyłyśmy do samochodu. Mama powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że czeka nas wielka przygoda i będziemy tylko we dwie. Na tyle daleko, że on nigdy nas nie odnajdzie i już nie będziemy się bały.

– Gdzie on jest teraz?

– Nie obchodzi mnie to. Czemu pani pyta?

– Muszę go znaleźć, Amy.

– Dlaczego?

– Bo przypuszczam, że dziewiętnaście lat temu zabił kobietę. Udusił ją w jej domu i porwał jej trzyletnią córeczkę. Powinien siedzieć w więzieniu.

Zawibrował telefon Amy. Spojrzała na ekran i zobaczyła, że to esemes od matki.

– Czy pani matka wiedziała, co zrobił Bruce? Dlatego go rzuciła?

Dziewczyna wystukała odpowiedź i odłożyła komórkę.

– Czy wiedziała, że człowiek, z którym mieszka, jest mordercą? – spytała Rizzoli.

Obie usłyszały odgłos klucza w zamku frontowych drzwi i Amy zerwała się.

– Już wróciła. Niech ją pani sama zapyta.

Julianne weszła do kuchni z torbą zakupów spożywczych. Rozniósł się zapach świeżej bazylii. Brzęknęły butelki, gdy postawiła torbę na blacie, uśmiechając się do Rizzoli.

– Pani detektyw, gdybym wiedziała, że nas pani odwiedzi, wróciłabym wcześniej.

– Amy i ja trochę sobie pogadałyśmy.

– Pani detektyw pobrała mi wymaz z gardła, mamo – oznajmiła dziewczyna.

– Od niej? – Julianne uniosła brwi. – Po co? Teraz, gdy ten koszmar się skończył…

– Tak pani sądzi? Że już po wszystkim?

Julianne przez chwilę przyglądała się Rizzoli i Amy nie spodobało się długie milczenie, które zapadło. Nie spodobało jej się, że z twarzy matki zniknął uśmiech i stała się nieprzenikniona – biała maska, którą Amy dobrze znała i wiedziała, co oznacza.

– Muszę pobrać wymaz także od pani – oznajmiła Rizzoli.

– Przecież już pani wie, że na nożu była moja krew. Widziała pani, że tamtego wieczoru skaleczyłam sobie rękę. Broniłam córki. Walczyłam z tym człowiekiem.

– Nazywał się James Creighton.

– To bez znaczenia!

– Jestem pewna, że znała pani jego nazwisko, pani Antrim. Wiedziała pani również, dlaczego tak się interesował pani córką. Miał powody.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Proszę mi opowiedzieć o biologicznym ojcu Amy. Nazywał się chyba Bruce Flagler.

– Nie wymawiamy tego nazwiska. Nigdy.

– Dlaczego?

– Bo to był błąd. Największy błąd mojego życia. Miałam siedemnaście lat, kiedy go poznałam. Zajęło mi dziesięć długich lat, by w końcu od niego uciec.

– Gdzie Bruce jest teraz?

– Nie mam pojęcia. Pewnie bije jakąś inną nieszczęsną kobietę. Gdybym go w porę nie opuściła, byłabym już martwa. Być może Amy również.

– Zrobiłaby pani wszystko dla Amy, prawda?

– Oczywiście. – Julianne spogląda na córkę. – Jest moim dzieckiem.

– Wcale tak nie uważam – powiedziała Rizzoli.

Amy wpatrywała się to w jedną, to w drugą kobietę, nie wiedząc, co zrobić. Co powiedzieć. Matka znieruchomiała, ale na jej twarzy nie było śladu paniki.

– Amy – odezwała się spokojnie. – Proszę, idź na górę do mojej sypialni. Przynieś nasz stary album fotograficzny. Ten z twoimi zdjęciami z dzieciństwa i świadectwem urodzenia. Jest w szafie, na górnej półce. Przynieś mi też paszport. Jest w szufladzie na apaszki.

– Mamo?

– Idź, kochanie. To nieporozumienie. Wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna wyszła na drżących nogach z kuchni i wspięła się po schodach do sypialni rodziców. Podeszła do szafy matki i sięgnęła po stertę leżących na półce albumów. Położyła je na łóżku i znalazła ten, o który prosiła Julianne. Wiedziała, że wybrała właściwy, bo liczył sobie kilkadziesiąt lat i jego grzbiet już się rozpadał, ale otworzyła go, by mieć pewność. Na pierwszej stronie było zdjęcie jej młodej mamy, stojącej pod dębem i trzymającej w objęciach czarnowłose niemowlę. Tuż obok, po wewnętrznej stronie okładki, znajdowało się świadectwo urodzenia Amy Wellman, która przyszła na świat w stanie Vermont i ważyła dwa i pół kilograma. Rubryka przeznaczona na nazwisko ojca była pusta. Dziewczyna zamknęła album i siedziała przez chwilę na łóżku, zastanawiając się, co się teraz stanie. Co zrobi matka… co musi zrobić.

Przeszła przez pokój do toaletki Julianne i wysunęła górną szufladę. Odsunęła na bok starannie złożone jedwabne apaszki i sięgnęła po to, co matka kazała jej przynieść.

# Rozdział trzydziesty dziewiąty

## Jane

– Ona tego nie wie, prawda? – powiedziała Rizzoli. – Kto naprawdę jest jej ojcem?

Obie kobiety mierzyły się wzrokiem przez kuchenny stół, na którym stały filiżanki, dzbanek i talerz z cytrynowymi ciasteczkami. Spokojna domowa sceneria przesłuchania.

– Pokażę pani jej świadectwo urodzenia – odparła Julianne. – Zobaczy pani na zdjęciach, jak trzymam ją w ramionach tuż po porodzie, a zdjęcia nie kłamią. Mogę udowodnić, że jestem jej matką.

– Nie wątpię, że zdjęcia są autentyczne. Że jest pani matką Amy. – Rizzoli przerwała, wbijając w nią wzrok. – Ale prawdziwa Amy nie żyje, prawda?

Julianne znieruchomiała. Rizzoli niemal widziała drobne pęknięcia, które pojawiły się na powierzchni tej maski, za którą próbowała ukryć twarz.

– Jak zmarła pani prawdziwa córka? – spytała spokojnie.

– Ona jest moją córką.

– Ale to nie Amy. Szczątki pani córeczki… prawdziwej Amy… znaleziono dwa lata temu w parku stanowym w Maine. Niedaleko miejsca, w którym mieszkała pani kiedyś ze swoim partnerem Bruce’em Flaglerem. Stolarzem, który pracował przy remoncie kuchni profesor Eloise Creighton. Był notowany za przemoc domową i wiemy, że panią katował. Czy tak zginęła Amy? Zabił ją?

Julianne milczała.

– Policja nie wiedziała, czyje kości znaleziono – powiedziała Rizzoli. – Dla nich była to tylko nieznana dziewczynka pochowana w płytkim grobie w lesie. Ale teraz wiemy, że miała imię: Amy. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakim koszmarem musiała być dla pani strata dziecka. Świadomość, że już nigdy nie będzie jej pani trzymała w ramionach. Po czymś takim odechciewa się żyć.

– On powiedział, że to był wypadek – wyszeptała Julianne. – Że spadła ze schodów. Nie wiem, jak było naprawdę… – Wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała za okno, jakby odtwarzała w pamięci tamten dzień. Tę chwilę wielkiej straty. – Chciałam umrzeć. Próbowałam się zabić.

– Dlaczego nie zawiadomiła pani policji?

– Zrobiłabym to. Ale tamtej nocy on przyniósł ją do domu. Była taka malutka, taka przerażona. Potrzebowała mnie.

– Przyniósł pani inną małą Amy, żeby pani milczała. Zastępczą Amy, w zamian za tę, którą zabił. Dlatego nie zawiadomiła pani policji. I dała mu pani alibi na noc, gdy ją porwał. Wszystko po to, by mogła pani zatrzymać nową dziewczynkę. Ale ona nie należała do pani. Czy Bruce wspomniał pani kiedykolwiek, w jaki sposób zabił jej matkę? Jak zacisnął ręce na jej szyi?

– Powiedział, że wpadł w panikę. Że kiedy dziewczynka krzyknęła, jej matka się obudziła i mógł jedynie…

– …udusić ją. Użyć jedynej broni, jaką miał. Własnych rąk.

– Nie wiem, jak to się stało! Wiem tylko, że ta mała dziewczynka potrzebowała mojej miłości. Mojej opieki. Dopiero po jakimś czasie zapomniała tamtą kobietę. Nauczyła się kochać mnie. Uznała, że to ja jestem jej matką.

– Miała również ojca, Julianne. Ojca, który też ją kochał i nigdy nie przestał jej szukać. Dlatego pani i Bruce spakowaliście się i wyjechaliście z Maine. Zmieniliście nazwiska i przeprowadziliście się do Massachusetts, potem do New Hampshire, a w końcu na północ stanu Nowy Jork. Dopiero tam udało się pani go zostawić. Zabrała pani dziewczynkę do Bostonu i tutaj, po raz pierwszy w życiu, zaczyna się pani wreszcie dobrze układać. Wychodzi pani za przyzwoitego człowieka. Mieszka pani w tym pięknym domu. Wszystko jest idealnie… dopóki Amy nie przydarza się wypadek. Pechowym zbiegiem okoliczności trafia do szpitala. I to wszystko zmienia.

Na twarzy Julianne nie pojawia się żaden nerwowy skurcz, w oczach nie widać paniki i Rizzoli zastanawia się nagle, czy się nie pomyliła. Czy ta kobieta nie przedstawi jej jakiegoś dowodu swojej niewinności.

Nie, mam rację, myśli jednak. Wiem to.

– Amy trafia na oddział intensywnej opieki, gdzie pracuje jako pielęgniarka Sofia Suarez. Sofia dostrzega na piersi Amy bliznę po operacji serca, którą przeszła w dzieciństwie. Widzi, że dziewczyna ma rzadką grupę krwi, AB Rh minus. I przypomina sobie pacjentkę, którą zajmowała się przed dziewiętnastu laty. Trzyletnią dziewczynkę, której zoperowano serce i miała grupę krwi AB Rh minus. Pamięta ją bardzo dobrze, bo niedługo po tym zabiegu przydarzyło się coś szokującego: mała Lily Creighton została porwana z domu. I nigdy jej nie odnaleziono. Teraz, dziewiętnaście lat później, Sofia widzi pooperacyjną bliznę Amy, ale w karcie pacjentki nie ma wzmianki o operacji. Zauważa też jej rzadką grupę krwi.

– Skąd się pani tego wszystkiego dowiedziała?

– Sofia Suarez pozostawiła tropy, których potrzebowałam, by to wszystko poskładać. Szukała w sieci informacji o grupach krwi. Poszukiwała Jamesa Creightona. Dzwoniła do dawnej przyjaciółki, pielęgniarki z Kalifornii, która również pamięta bardzo dobrze porwanie

Lily. Pani mąż był znajomym Sofii i nie mogła dzielić się z nim swoimi podejrzeniami. Ale zadawała ostrożnie pytania, które musiały panią zaalarmować. Próbowała się dowiedzieć, dlaczego w karcie Amy nie było wzmianki o jej operacji serca.

– To dlatego, że tak często się przeprowadzaliśmy! Amy i ja mieszkałyśmy w różnych miejscach, w różnych stanach. Dokumentacja szpitalna mogła się zgubić.

– I dlaczego nie oddała pani krwi własnej córce, gdy najwyraźniej tego potrzebowała? Nad tym też Sofia musiała się zastanawiać. Nie wiem, jaką wymówką się pani posłużyła, ale znam prawdziwy powód. Nie mogła pani oddać jej krwi, bo ma pani grupę zero Rh plus. Sofia dowiedziała się tego, gdy zadzwoniła do przyjaciółki z archiwum i poprosiła, by sprawdziła pani kartę. A skoro okazało się, że nie może być pani jej matką, to zaczęła się zastanawiać, kim są rodzice Amy. Wiedziała, że można to stwierdzić, tylko badając DNA. Szukała więc Jamesa Creightona. Odnalazła jego dawny adres i wysłała mu list. Kiedy w końcu mu go przekazano, dowiedział się, że być może jego córka Lily żyje. Nie śledził przypadkowej kobiety. Próbował stwierdzić, czy Amy jest jego córką.

– Mamo, znalazłam – powiedziała Amy. Wróciła na dół i weszła do kuchni, trzymając album ze zdjęciami. Położyła go na stole.

– Proszę. – Julianne podsunęła go Rizzoli. – Niech pani otworzy i zobaczy.

Grzbiet albumu niemal się rozpadał, a kartki w środku ledwie się trzymały. Rizzoli otworzyła go ostrożnie i zobaczyła wypłowiałe zdjęcie młodej Julianne, trzymającej w ramionach czarnowłose niemowlę.

– Widzi pani? – powiedziała Julianne. – To ja i Amy. Ma tu dopiero kilka miesięcy, ale już ma gęste włosy. Piękne, czarne włosy. – Popatrzyła na córkę. – Tak jak teraz.

– Dzięki farbie Clairol.

– Słucham? – Julianne uniosła brwi.

– Widziałam w pani domu nad jeziorem farbę do włosów Clairol. Przypuszczałam, że to pani jej używa, żeby ukryć siwe odrosty. Ale kupiła ją pani dla córki, prawda? Żeby miała czarne włosy. – Rizzoli zerknęła na dziewczynę, która stała milcząca i nieruchoma. – To kolejny szczegół, który przeoczyłam, ale pielęgniarka go dostrzegła. Pielęgniarka, która ją kąpała, myła jej włosy i zauważyła, że ma jasne odrosty. – Spojrzała ponownie na Julianne. – Kiedy Sofia w końcu to pani powiedziała? Kiedy przyznała, że wie, że Amy nie jest pani córką?

Julianne drżały ręce. Splotła palce, by się uspokoić, i zaciskała je tak mocno, że zbielały jej knykcie.

– To dlatego pojechała pani do mieszkania Sofii, żeby błagać ją, by dochowała tajemnicy? Może nie zamierzała pani jej zabić, ale wzięła pani ze sobą młotek. Na wszelki wypadek.

– Nie chciała mnie słuchać! – Julianne szlochała. – Prosiłam ją tylko, żeby milczała. Żeby nie niszczyła nam życia…

– Ale nie zgodziła się, prawda? Odmówiła, bo wiedziała, że postąpiłaby niewłaściwie. Więc wyjęła pani młotek i rozwiązała problem. Potem wybiła pani szybę w kuchennych drzwiach i zabrała kilka rzeczy, by wyglądało to na włamanie. Pewnie sądziła pani, że zadbała o każdy szczegół. Dopóki nie pojawił się James Creighton, który szukał córki. I tym problemem też musiała się pani zająć.

– To była samoobrona! Zaatakował nas.

– Wcale nie. Zainscenizowała pani napaść. Zadzwoniła pani na jego telefon na kartę i zaprosiła go do domu nad jeziorem.

Julianne chwyciła komórkę i pchnęła ją w kierunku Rizzoli.

– Proszę sprawdzić połączenia. Przekona się pani, że nigdy do niego nie dzwoniłam.

– Nie z tej komórki. Nie jest pani aż tak nieostrożna. Mamy billing telefonu Creightona. Dzwoniła pani do niego z automatu. Niewiele już ich zostało, ale znalazła pani jeden w zajeździe przy autostradzie. Pechowo dla pani, w takich miejscach zainstalowane są kamery. I wszystko się zgadza. Stała pani przy tym automacie dokładnie wtedy, gdy Creighton odebrał połączenie. Obiecała mu pani, że będzie mógł porozmawiać z córką? Umierał na raka i pozostał mu niecały rok życia. Musiał rozpaczliwie pragnąć zobaczyć dziewczynkę, którą dawno temu utracił, więc oczywiście pojechał nad jezioro. Bo pani go tam zaprosiła. Tyle że była to pułapka. Zwabiła go pani, zadźgała i włożyła mu do samochodu młotek. Posiniaczyła pani nawet szyję córce, żebyśmy uwierzyli, że panią zaatakował. Wszystkiego pani dopilnowała.

– Zrobiłam to dla nas. Dla Amy. – Julianne wzięła głęboki oddech i powiedziała cicho: – Wszystko robiłam dla niej.

Rizzoli w to nie wątpiła. Nie ma na świecie potężniejszej siły niż miłość rodziców do dziecka. Piękna, straszliwa miłość, która doprowadziła do śmierci dwóch niewinnych osób.

– Mamo – odezwała się Amy. – Co mam zrobić?

Rizzoli odwróciła się i dopiero teraz zobaczyła, że dziewczyna ma w rękach broń. Trzymała już palec na spuście, a lufa pistoletu chwiała się niepewnie. Była przerażoną młodą kobietą, która lada chwila mogła popełnić potworny błąd.

– Zrobimy to co zawsze – odparła Julianne. – Przetrwamy to, kochanie, i będziemy żyć dalej. – Wstała, wzięła od córki broń i wymierzyła ją w Rizzoli. – Wstawaj! – rozkazała. – Amy, zabierz jej pistolet.

Rizzoli wstała spokojnie i podniosła ręce, gdy dziewczyna wyciągała jej z kabury pistolet.

– Przypuszczam, że wybieramy się na przejażdżkę? – powiedziała.

– Nie chcę mieć krwi w kuchni.

– Pogarsza pani jedynie sytuację. Swoją i Amy.

– Rozwiązuję tylko problem. W ten sam sposób co zawsze.

– Naprawdę chce pani wciągnąć w to córkę jeszcze bardziej? Już jest przez panią wspólniczką zabójstwa Jamesa Creightona.

– Ruszaj – rozkazała Julianne. – Podejdź do frontowych drzwi.

Rizzoli spojrzała na Amy.

– Możesz temu zapobiec. Możesz ją powstrzymać.

– Idź. – Julianne zacisnęła dłonie na rękojeści. W przeciwieństwie do Amy trzymała broń mocno i pewnie. Już zabijała. Z pewnością nie zawaha się zrobić tego ponownie.

Gdy Rizzoli wychodziła z kuchni i zmierzała do drzwi frontowych, czuła, że kobieta do niej mierzy. Nie mogła uciec od kuli. Nie miała wyboru: musiała być posłuszna. Dotarła do drzwi, przystanęła, odwróciła się i spojrzała raz jeszcze na nie obie. Choć nie były spokrewnione, uważały się za matkę i córkę i chroniły się wzajemnie.

– Ostatnia szansa, Amy – rzuciła Rizzoli.

– Rób, co każe moja matka.

A więc tak to wygląda, pomyślała Rizzoli. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Usłyszała, jak Julianne wciąga raptownie powietrze na widok ludzi stojących na podwórku. Byli tam Barry Frost i dwaj mundurowi gotowi do akcji.

– Już po wszystkim, pani Antrim – oznajmiła.

– Nie. – Julianne skierowała lufę pistoletu we Frosta, a potem znowu w Rizzoli. – Nie.

Dwaj mundurowi mieli broń w pogotowiu i mierzyli w Julianne, ale Rizzoli uniosła rękę, nakazując im, by nie strzelali. Przelano już dosyć krwi.

– Proszę oddać mi pistolet – powiedziała.

– Musiałam to zrobić, nie rozumie pani? Nie miałam wyboru.

– Ma pani wybór teraz.

– To by zniszczyło moją rodzinę. Po wszystkim, co zrobiłam, by ją chronić…

– Jest pani dobrą matką. Nikt w to nie wątpi.

– Dobrą matką – powtórzyła szeptem Julianne. Spojrzała na broń, którą ściskała w rękach, celując nadal w policjantkę. – Dobra matka robi to, co powinna.

Nie, pomyślała Rizzoli.

Ale Julianne już podnosiła broń do swojej głowy. Trzymając palec na spuście, przytknęła lufę do skroni.

– Mamo, nie! – krzyknęła Amy. – Proszę, mamo!

Julianne całkowicie znieruchomiała.

– Kocham cię. – Amy zaczęła szlochać. – Jesteś mi potrzebna. – Przesuwała się powoli w stronę matki.

Rizzoli bardzo chciała rzucić się między nie i odepchnąć dziewczynę, wiedziała jednak, że tylko córka może przekonać Julianne i zakończyć tę sprawę.

– Mamusiu – powiedziała Amy i załkała. Objęła Julianne i położyła jej głowę na ramieniu. – Mamusiu, nie zostawiaj mnie. Błagam.

Julianne powoli opuściła pistolet. Nie stawiała oporu, kiedy Rizzoli po niego sięgnęła. Ani wtedy, gdy Frost zakładał jej za plecami kajdanki. Chwycił ją za ramię i odciągnął od córki.

– Nie, niech pan jej nie zabiera – poprosiła Amy, gdy prowadził Julianne do radiowozu.

Rizzoli założyła kajdanki na nadgarstki dziewczyny i zabrała ją do innego pojazdu. Dopiero gdy matkę i córkę rozdzielono, Julianne zaczęła się szarpać. Próbowała wyrwać się Frostowi.

– Amy! – krzyknęła, kiedy wpychał ją do radiowozu.

Jej nieludzki lament przeszedł w skowyt, kiedy drzwi się zatrzasnęły i została zamknięta w środku, odcięta od córki.

– Amy!

Gdy radiowóz odjechał, w uszach Rizzoli nadal rozbrzmiewał ten rozpaczliwy krzyk i nie milkł jeszcze długo po zniknięciu Julianne.

# Rozdział czterdziesty

## Angela

Czuję, że wszyscy na mnie patrzą, gdy stoję na lotnisku u podnóża ruchomych schodów, czekając na przylot Vince’a. Nic dziwnego, że mi się przyglądają. Wyglądam koszmarnie. Moja twarz jest jeszcze bardziej purpurowa niż cztery dni temu, po ucieczce z magazynu, a policzek tak spuchł, że przypomina nadmuchany balon. To sińce wojowniczki i wcale się ich nie wstydzę. Pokazuję je dumnie, bo chcę, żeby Vince zobaczył, jaka ze mnie twardzielka. Ilu spośród tych ludzi tłoczących się wokół mnie w oczekiwaniu na odbiór bagażu może powiedzieć, że przeżyli porwanie i – co więcej – rozbroili sąsiada?

Takie są kobiety z rodu Rizzoli. Nic dziwnego, że moja córka jest tak dobra w tym, co robi.

Kiedy czuję, jak ktoś dotyka delikatnie mojego ramienia, odwracam się i widzę młodą kobietę o życzliwym spojrzeniu, która przygląda mi się z troską.

– Przepraszam, że spytam – mówi cicho. – Ale czy dobrze się pani czuje? Nic pani nie grozi?

– Och, ma pani na myśli to? – Wskazuję na swoją twarz.

– Ktoś panią pobił?

– Taaa… Nieźle mi przyłożył.

– Ojej, mam nadzieję, że wezwała pani policję. I wniosła oskarżenie.

– Nie musiałam. On nie żyje.

Mój szeroki uśmiech chyba ją niepokoi, bo powoli odsuwa się ode mnie.

– Ale dzięki, że pani spytała! – wołam, gdy odchodzi. Jak to miło, że zainteresowała się moim samopoczuciem. Wszyscy powinniśmy być tacy jak ona, dbać o siebie nawzajem, troszczyć się o bezpieczeństwo innych. Ja robię to, bo taką mam naturę, choć często słyszę, że jestem wścibska. Mam siniaki, ponieważ zadawałam zbyt wiele pytań i wtykałam nos w sprawy innych ludzi, ale dzięki temu Larry Leopold nadal żyje, Rick Talley nie spędzi reszty życia w więzieniu, a Nina jakaś tam nie będzie już musiała się bać, że zginie.

– Angie? O mój Boże, kochanie!

Odwracam się i widzę Vince’a, który zjeżdża ruchomymi schodami. Odstawia torbę, chwyta mnie za ramiona i przygląda mi się.

– Och, kochanie – mówi. – Jest o wiele gorzej, niż mówiła mi Jane.

– Rozmawiałeś z nią?

– Wczoraj. Zadzwoniła, żeby mnie uprzedzić, że masz podbite oko, ale nie wspomniała, że ten łajdak aż tak cię pobił. Przysięgam, że gdyby sukinsyn jeszcze żył, zabiłbym go!

Ujmuję jego twarz i nachylam się ostrożnie, by go pocałować.

– Wiem, kochany.

– Nie powinienem był lecieć do Kalifornii, tylko być tutaj, żeby cię chronić.

– Myślę, że sama nieźle sobie radziłam.

– Twoja córka jest innego zdania. Twierdzi, że stałaś się kimś w rodzaju lokalnej strażniczki. Mówi, że powinienem poważnie z tobą pomówić na temat ryzyka wdawania się w cudze sprawy.

– Podyskutujemy o tym, jak dotrzemy do domu.

Ale kiedy już tam jesteśmy, nie mam ochoty rozmawiać na ten temat. Więc nie rozmawiamy. Przynoszę do salonu butelkę chianti i napełniam dwa kieliszki. Całuję Vince'a, a on mnie. Miesięczny pobyt w Kalifornii wcale nie zrobił mu dobrze. Sterczy mu brzuch, bo ciągle jadł hamburgery i siedział zamknięty w mieszkaniu siostry. I wygląda na zmęczonego, bardzo zmęczonego po podróży. Obejmujemy się i mam wrażenie, jakby mój świat wrócił na swoje miejsce, a szaleństwa ostatnich kilku tygodni nigdy się nie zdarzyły. Tak powinno wyglądać życie: Vince i ja, popijający wino, a w piekarniku kolacja.

Kiedy moją uwagę przyciąga jakiś ruch za oknem, wyglądam na ulicę i widzę Jonasa, który znów ćwiczy formę. Nie patrzy w moją stronę, bo wie, że przejrzałam jego tajemnicę. Nie jest tym, za kogo się podawał. Odkryłam tyle sekretów sąsiadów. Wiem, kto z kim romansował. Kto nie jest naprawdę komandosem. Kto obawiał się o swoje życie. A co najważniejsze, na kim mogę polegać, że ruszy dzielnie do walki u mojego boku, nawet jeśli będzie przy tym sapać i kaszleć.

Tak, poznałam ich wszystkich trochę lepiej, a oni poznali mnie, i choć nie zawsze się zgadzamy, czasem przestajemy ze sobą rozmawiać lub nawet próbujemy się wzajemnie zabijać, to moi sąsiedzi. I ktoś musi mieć na wszystko oko.

Więc dlaczego nie ja?

# Rozdział czterdziesty pierwszy

## Amy

### Sześć miesięcy później

Jasne włosy odrastały. Za każdym razem, gdy patrzyła w lustro, widziała, że pojawiają się na jej głowie jak złota korona. Jak sięgała pamięcią, zawsze były czarne, a matka co kilka tygodni farbowała obsesyjnie jej blond odrosty. „Musimy to robić dla naszego bezpieczeństwa”, mówiła. Wszystko robiły z tego powodu. Farbowały włosy. Przenosiły się z miasta do miasta. Matka ciągle przestrzegała: „Nigdy nikomu nie ufaj, Amy. Nie wiesz, kto może nas zdradzić”.

Ale potem przeprowadziły się do Bostonu, znalazła pracę w kafejce naprzeciwko szpitala i poznała doktora Michaela Antrima. Zakochali się w sobie i Julianne przestała się bać. Stali się rodziną. Mieli dom, stały dom, którego nigdy nie będą musiały opuszczać. Były wreszcie bezpieczne.

Aż z powodu pechowego wypadku Amy trafiła do szpitala, gdzie pielęgniarka o imieniu Sofia zobaczyła bliznę na jej tułowiu, adnotację o rzadkiej grupie krwi na karcie i jasne odrosty w czarnych włosach.

I nagle ich bezpieczny mały świat runął.

Teraz odrosty były dłuższe niż kiedykolwiek, dłuższe, niż mogły być wcześniej. Amy pochyliła głowę, przeczesując palcami dwukolorowe kosmyki. Nie będzie ich farbować. Pozwoli wyrastać jasnym włosom. Przeobrazi się z powrotem w dziewczynę, którą kiedyś była, a która jeszcze

wydawała jej się obca. Z każdym tygodniem będzie w niej coraz mniej Amy, aż odzyska swoją prawdziwą tożsamość.

Nie było już powodu, by Lily musiała się ukrywać. Wszyscy znali prawdę. Albo przynajmniej jej część.

Nikt nie pozna nigdy całej.

Julianne przyznała się do zabójstwa Sofii Suarez i Jamesa Creightona. Musiała się przyznać. Jej telefon do Creightona stanowił niepodważalny dowód. Dzwoniła, by mu obiecać, że spotka się w końcu z dawno zaginioną córką, Lily. Nie zakradł się nad Jezioro Latarni. Został tam zwabiony.

Badanie DNA wykazało, że był ojcem Amy, ale to oznaczało tylko, że jego sperma zapłodniła jajeczko. Nie wychowywał jej. To Julianne karmiła ją, ubierała i śpiewała jej piosenki. To Julianne ją chroniła.

I w ostatecznym rozrachunku poświęciła się dla niej. Przyznała się do obu zabójstw, więc Amy została uwolniona od wszelkich zarzutów. Była w końcu jedynie ofiarą, porwanym dzieckiem, które z czasem przywiązało się tak bardzo do swojej opiekunki, że lojalność przesłoniła jej obiektywny osąd. Kochała matkę, więc to oczywiste, że przyniosła jej broń z sypialni, kłamała w sprawie śmierci Jamesa Creightona i chroniła Julianne.

Tak jak chroniłam ją przedtem.

Przypomniała sobie obskurne czynszowe mieszkanie przy Smith Hill Road, które zajmowali z matką i Bruce’em, gdy miała osiem lat. Pamiętała zbocze wzgórza za oknem i stęchły zapach nikotyny, którym przesiąknięte były ściany. Pamiętała to wszystko dokładnie, nawet zaplamione tapety w ciasnej szafie w jej pokoju. Wypłowiałe niebieskie bławatki. Kuliła się w łóżku, słysząc krzyki w pokoju matki, i przesuwała palcem po tych kwiatach wymalowanych na papierze i szczelinie, przez którą prześwitywała stara tapeta. Wyświechtana, w zielonym kolorze. Spod najpiękniejszych powierzchni zawsze wyzierało coś odrażającego. Ileż

godzin gmerała w tej tapecie, marząc o tym, by być gdzie indziej, słuchając szlochów Julianne i odgłosów uderzeń pięści Bruce’a, gdy bił jej matkę. I słów, które zawsze wypowiadał, by była mu posłuszna: „Jeśli ja przegram, to ty też. Jeśli powiesz im, co zrobiłem, odbiorą ci dziecko”.

Aż to wszystko się skończyło. Pewnego dnia Amy nie mogła już dłużej znieść tych krzyków. Zebrała się wreszcie na odwagę, by wypełznąć ze swojego pokoju, pójść do kuchni i wyjąć z szuflady nóż. Kiedy jest się wystarczająco zdesperowanym, znajduje się siłę, by wbić komuś nóż w plecy. Nawet gdy ma się tylko osiem lat.

Ale ostrze nie weszło dostatecznie głęboko, by zabić Bruce’a. Cios tylko go rozwścieczył. Bruce zawył z bólu i odwrócił się do niej. W tym momencie nie widziała nad sobą człowieka, lecz potwora, który skupił na niej całą swoją furię.

Pamiętała, jak jego oddech cuchnął alkoholem, gdy zaciskał ręce na jej szyi i wyduszał z niej życie. A potem wszystko pogrążyło się w mroku i nic już więcej nie pamiętała. Nie widziała, jak Julianne chwyciła nóż i dźgnęła go nim kilka razy.

Pamiętała jednak, co zobaczyła, gdy się ocknęła. Bruce leżał na podłodze, patrząc błędnym wzrokiem i charcząc. A wokół była krew. Mnóstwo krwi.

– Idź do swojego pokoju, kochanie – powiedziała jej matka. – Zamknij drzwi i nie wychodź, dopóki cię nie zawołam. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

I w końcu rzeczywiście wszystko się ułożyło. Amy poszła do pokoju i czekała jakby całą wieczność. Przez zamknięte drzwi słyszała odgłos ciągnięcia czegoś po podłodze, a potem stukot kroków na ganku. Po chwili zapadła bardzo długa cisza. Dużo później do zlewu zaczęła lać się woda i rozległo się dudnienie i wirowanie pralki.

Gdy w końcu matka pozwoliła jej wyjść, Amy nie zobaczyła już Bruce’a, a podłoga w kuchni była wilgotna i tak czysta, że linoleum lśniło.

– Gdzie on jest? – spytała.

– Wyszedł – odparła lakonicznie matka.

– Dokąd?

– To bez znaczenia, kochanie. Ważne, że już nas nie skrzywdzi. Ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz, co się dziś wydarzyło. Tylko wtedy będziemy bezpieczne. Obiecaj mi.

Amy spełniła jej prośbę.

Tydzień później wyruszyły w drogę, tylko we dwie. *Ty i ja przeciw całemu światu*, śpiewały, odjeżdżając samochodem spod rudery, w której mieszkały. Amy nie dowiedziała się, co matka zrobiła z ciałem Bruce’a, i nigdy o to nie pytała. Może zakopała go na polu albo wrzuciła do opuszczonej studni. Julianne zawsze dbała o szczegóły. Z pewnością pozostawiła zwłoki w miejscu, w którym nigdy nie zostaną znalezione, i wyszorowała kuchnię tak, że właściciel domu nie domyślił się, że na linoleum są mikroskopijne ślady krwi.

Żyły tak długo w ciągłym poczuciu zagrożenia, przenosząc się z miejsca na miejsce, że miały niewielu przyjaciół i znajomych. Nikt nie zainteresował się zniknięciem Bruce’a Flaglera. Nikogo to nie obchodziło. Tylko Amy i jej matka wiedziały, co stało się w tej kuchni, w smutnej ruderze koło wzgórza, a żadna z nich tego nie wyjawi, bo oprócz odwagi miłość wymaga też czasem milczenia.

Pukanie do drzwi łazienki nagle przywróciło Amy do rzeczywistości. Była w domu w Bostonie.

– Amy?! – zawołał przez drzwi jej ojciec. – Robi się późno.

– Zaraz wyjdę.

– Czy… jesteś pewna, że chcesz ją odwiedzić?

Usłyszała niepewność w jego głosie. I cierpienie. Chociaż uparła się, by odwiedzać matkę co dwa tygodnie, Mike Antrim nadal nie chciał widywać Julianne. Pewnie z czasem zrozumie, dlaczego to zrobiła. Zrozumie, jaką czuła rozpacz, gdy tamtego wieczoru pojechała do domu Sofii i błagała ją o milczenie. I dlaczego, kiedy jej błagania zawiodły, wyciągnęła z torebki młotek.

Amy to rozumiała.

Patrzyła w lustro, zastanawiając się, czy matka skrytykuje jej jasne odrosty. Po tylu latach przebywania w ukryciu wyłaniała się ze swojego kokonu nowa dziewczyna, z każdym dniem bardziej jasnowłosa, bardziej przypominająca Lily. Nie zdecydowała jeszcze, czy to dobrze. Musi zapytać Julianne. Ona będzie znała odpowiedź.

Jak każda matka.

# Podziękowania

Manuskrypt to dopiero początek. Jestem wdzięczna za ciężką pracę i fachowość wszystkim, którzy zamienili moje zwyczajne słowa w gotową książkę. Wielkie podziękowania dla moich wydawczyń, Jenny Chen z USA i Sarah Adams z Wielkiej Brytanii, za pomoc w nadaniu tej powieści blasku, dla redaktorki tekstu za ocalenie mnie przed licznymi wpadkami i zespołom redakcyjnym z Ballantine i Transworld za ich entuzjastyczne wsparcie w ciągu wielu lat. Dziękuję również mojej niezmordowanej agentce Meg Ruley i niezrównanej Jane Rotrosen Agency. To ekipa profesjonalistów!

A dla mojego męża Jacoba podziękowania za to, że przy mnie jest. Niełatwo być mężem pisarki, ale ty radzisz sobie z tym lepiej niż ktokolwiek.